
MIECZYŚLAW WIELICZKO

UWOLNIENIE TADEUSZA KOŚCIUSZKI Z CARSKIEGO WIĘZIENIA

Postać Tadeusza Bonawentury Kościuszki (4 II 1746 – 15 X 1817) generała wojsk polskich i amerykańskich, wpisanego do panteonu bohaterów narodowych nie tylko Polski i Stanów Zjednoczonych, ale ostatnio ze względu na miejsce urodzenia na Polesiu w Mereszowszczyźnie, także honorowanego na Białorusi, nie tylko należy do powszechnie znanych, ze względu na wybitne zasługi w wojnach na obu kontynentach i przywództwo powstania 1794 roku. Mało jednak znany jest ten fragment życia, kiedy Naczelnik podniesiony został nieprzytomny od ran z pobojo-wiska bitwy pod Maciejowicami, po południu 14 października 1794 r., pojmany do niewoli i uwięziony w Twierdzy Pietropawłowskiej.

Bezpośrednio przed bitwą Kościuszko bawił w Warszawie, której bronił do 6 września. Odparł natarcie wojsk prusko-rosyjskich, a następnie zajął się porządkowaniem spraw cywilnych i wojskowych. Na wiadomość o ruchach wojsk rosyjskich generałów Fersena, Tormasowa i Chruszczowa, rozstawnymi końmi przybył do obozu wojsk powstań-czych liczących niewiele ponad 7 500 żołnierzy i 23 armaty pod Okrzeją na Podlasiu i spiesznie ruszył w stronę Korytnicy. Tu zebrał trochę rekru-ta z uzupełnień i doszedł pod Maciejowice. Zajął pozycję na wzgórzu, by przeciwdziałać łączeniu się kolumn armii rosyjskiej, które z wywiadu uzyskały informacje o pozycji powstańców i skierowały się na Maciejo-wice. Na skrzydła wyciągniętej w linię polskiej pozycji wyszły korpusy Tormasowa i Chruszczowa. Nieco dalej obeszl Polaków gen. Tołstoj i Rachmanow. Od czoła uderzył gen. Iwan Fersen, na czele 14 tysięcznego korpusu i 56 armat, który przeprowił się przez Wisłę pod Księżomie-rzem. Rosjanie mieli ponad dwukrotną przewagę liczebną w bagnietach i czterokrotną w sile ognia armat.

O 12-tej nastąpiło koncentryczne natarcie i po godzinie niezwykle krwawej walki, gen. Fersen raportował carycy: „Zdobyto 21 armat i 2 sztandary, jeńcem wzięto niższej rangi około 2000, ponad 200 oficerów i

4 generałów. Nieprzyjaciela było do 12 tysięcy.” Nie dodał jednak, że poległo ponad 4 tys. Polaków i 2 tys. Rosjan.

Obok Kościuszki, wzięci zostali do niewoli generałowie: H. Kamiński, K. Kniaziewicz i J. Sierakowski. Wszystkich osadzono w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu. Po zidentyfikowaniu, Kościuszko, stał się niezwykle starannie leczonym osobistym więźniem Katarzyny II. Rana głowy od cięcia pałaszem stosunkowo łatwo się goiła, ale zranienie nogi przebitej spisą, uniemożliwiło chodzenie i wymagało zabiegów najlepszego lekarza dworu Rogersona.

Równolegle trwało śledztwo w sprawie wybuchu powstania, bowiem caryca w miesiąc po przysiędze Kościuszki na krakowskim rynku powołała w końcu kwietnia 1794 r. 5 osobową „Komisję Smoleńską” pod przewodnictwem tamtejszego gubernatora z udziałem dwóch generałów, której celem było ustalenie „stopnia zawinienia poddanych” za niepokoje w Rzeczypospolitej. Zmuszono więc jeńców – szczególnie oficerów do złożenia raportu o swoim udziale w powstaniu i na tej podstawie określano rodzaj kary, od zesłania na Sybir, poprzez karną służbę wojskową różnego rodzaju (korpus liniowy, bataliony forteczne), po wieloletnie kary więzienne lub zesłania na rosyjskiej północy w rejonie Morza Białego. Komisja dokonała takiej kategoryzacji pojmanych do niewoli w polu lub aresztowanych i uprowadzonych z domu, a podejrzanych o popieranie powstania. Zakończyła działalność w połowie 1796 roku. Akta utajniono do dzisiaj! Przypadkiem odnaleziono zostały w 1995 roku, ale po stwierdzeniu „zawartości”, w której zidentyfikowano dwa osobiste raporty T. Kościuszki, nie dopuszczono do naukowego opracowania tych materiałów.

Trwanie tego śledztwa wypadło w czasie zmiany położenia Kościuszki, bowiem wobec napięcia i sporu między Prusami a Rosją, co do ostatecznego podziału ziem polskich, Prusacy zamierzali wszcząć akcję zbrojną z udziałem gen. Antoniego Madalińskiego, to caryca powzięła myśl podobnego użycia Kościuszki. Został więc przeniesiony z kazamatów twierdzy do Pałacu Marmurowego i otoczony troskliwą opieką, by wracał do zdrowia. Zaborcy się pogodzili. W Niemirowie nad Bugiem spotkały się ich trzy graniczne odwachy, a 21 października 1796 r. ostatecznie potwierdzono podział Rzeczypospolitej. Przestała istnieć!

Kilka dni później, 17 listopada, zmarła imperatorowa Wszechrosji i tron Romanowych objął syn Paweł I, który już następnego dnia po objęciu tronu wezwał dr Rogersona i pytał o zdrowie Kościuszki, a 27 listopada złożył wizytę w Pałacu Marmurowym.

Car przybył z synem Aleksandrem, przybocznymi oficerami i dworakami. Zachowały się dwie niezależne relacje z tej wizyty: Juliana U. Niemcewicza (1758-1841), ówczesnie osobistego sekretarza Naczelnika, który w pośmiertnie wydanych Pamiętnikach czasów moich (1848) opisał głównie reakcję Kościuszki oraz Siergieja S. Gagarina, dworzanina z

otoczenia cara. Gagarin najwyraźniej opisał z pamięci przebieg spotkania i zdaje się być to wierna relacja, choć nie pozbawiona nieco patetycznego tonu i kwiecistego stylu, w którym niewątpliwie bystry obserwator chciał oddać charakterystykę postaci obydwu rozmówców.

Wobec widocznego zażenowania, a może i skrępowania Kościuszki tą wizytą, co szczególnie zauważa Niemcewicz, car przybrał pozę wręcz konfidencjonalną i usiadł obok Kościuszki, rozpoczynając rozmowę słowem:

Czyli mię nie poznajesz, kto jestem ?

Na co Kościuszko odpowiedział: *Uznaję w osobie Pawła – Imperatora, a w darze przywróconej wolności, wyższego nad zaszczyt tronu, który posiadasz.*

Paweł I: *Ubolewałem zawsze nad losem W Pana, ale za rządów mojej matki nic pomóc nie mogłem, teraz zaś wziąłem za najpierwszy mej władzy obowiązek – udarować W Pana wolnością. Wolnym już W Pan jesteś.*

Kościuszko, skłoniwszy się, rzekł: *Nigdy nie ubolewał nad losem własnym, ale nigdy ubolewać nie przestanę nad losem Ojczyzny mojej.*

Paweł I: *Zapomnij W Pan o Ojczyźnie. Przyszła na nią kolej, jaka spotkała tyle innych państw, których pamięć tylko w dziejach została, a w tych dziejach W Pan zawsze piękne wspomnienie mieć będziesz.*

Kościuszko: *Obym był raczej zapomniany, a Ojczyzna moja wolna została. Upadło zapewne państw wiele, ale upadek Polski nie ma podobnego przykładu.*

Paweł I: *Dlaczego mój Generale ? Wszakże greckie i rzymskie państwa podzielone zostały.*

Kościuszko: *Prawda Najjaśniejszy Panie, ale były pokonane bronią i przód wolność niż egzystencję straciły; lecz Polska we własnym powstaniu swoim i wtenczas, gdy najwięcej energii i patriotyzmu pokazała, upadła. Państwa tamte, gdyby tylko na własnych granicach przestawały, gdyby im ambicja ograniczoną była żądzą świetności i potęgi, która zależy od dobroci wewnętrznego rządu, gdyby były, chciały być takie spokojne, jak Polska od wieków być zawsze nią chciała, istnieć by zawsze mogły.*

Paweł I: *Nie uraża mnie to bynajmniej, jeszcze tym więcej W Pana szanuję, mam nawet zadowolenie mówienia z nim o tym, bo pierwszy raz zdarza mi się rozmawiać z obywatelem, w którym znajduję, że prawdziwie kocha Ojczyznę. Gdyby tak była myślała przynajmniej większa część Polaków jak W Pan, jeszcze Polska mogłaby się była utrzymać.*

Kościuszko: *Ta część większa Najjaśniejszy Panie była z pewnością. Gdybyś Wasza Imperatorska Mość mógł być świadkiem tylu cnót, tylu patriotyzmów, których dali dowody niepospolite w czasie ostatniego powstania! Wiem jak starano się fałszywe i najgorsze dać Waszej Imperatorskiej Mości wyobrażenie o narodzie naszym, wystawiano go bowiem, w oczach całego świata, jako hordę lotrów niespokojnych, niecierpiących rządu i prawa, a przeto nie wartych egzystencji. Cnotliwy i powszechny zapał do ulepszenia jedynie losu Ojczyzny, wydobycia się z ucisku i nieładu, buntem nazwano; chęci najlepsze dobrego obywatelstwa poczytano za winę i za skutek rozhukanego jakobinizmu; na koniec nie tylko przeciwko wszelkiej słuszności, ale przeciwko prawdziwym interesom Rosji zniszczenie tej nieszczęśliwej Ojczyzny przez rozbiór zupełny kraju za najzbawniejszą radę podano. Ile stąd zgorszenia niebezpiecznego dla losu państw wszystkich, ile okropnych skutków, ile nieszczęścia powszechnego, ile ofiar! Gdyby ich zebrany razem widok mógł się zbliżyć do Waszej Imperatorskiej Mości, gdyby go nie zasłaniali ci, którzy wszystko za nic wazą, byle własnym posłużyli pożytkom i dlatego tylko tron otaczają, aby do niego prawda i ludzkość przystępu nie miały: tak wspaniałe, tak dobre serce Waszej Imperatorskiej Mości wzruszone by zaiste zostało losem narodu naszego.*

Paweł I, obróciwszy się do swoich generałów, rzekł: *Patrzcie co za żywość!*

Kościuszko: *Daruj Najjaśniejszy Panie, mozem się uniość za daleko.*

Paweł I: *Nie, ale dałeś mi do myślenia, mówileś do serca mego. Pożegnaj WPana ; teraz proszę nie myśleć o niczym więcej, jak tylko o zdrowiu swoim. Dałem rozkazy, aby mu na niczym nie zbywało, co do wygody jego należy. Jeśli masz co żądać, mów śmiało i zwiierz się jako przyjacielowi, bo jestem prawdziwym przyjacielem WPana i chcę być wzajemnie był moim.*

Kościuszko: *Szacunek najwyższy i najczulsza wdzięczność będą zawsze moim obowiązkiem.*

Paweł I: *Dodaj i przyjaźń, żegnam WPana do widzenia się.*

Trudno o lepszy przykład charakteryzujący osobowość Naczelnika powstania narodowego 1794 roku, o bardziej wymowny przykład ówczesnego patriotyzmu i analizy okoliczności rozbiorów. Ale nie tylko. W czasie drugiej rozmowy z carem, Kościuszko podjął sprawę uwolnienia innych uczestników powstania, a w szczególności J. U. Niemcewicza i Ignacego Potockiego (1750-1809), który kierował cywilnym rządem powstania, a ujęty przez Rosjan w grudniu 1794 r. został dołączony do więzionych w Twierdzy Pietropawłowskiej. Oto przebieg tej rozmowy w notatkach S.S. Gagarina.

Cóż tak smutnie siedzisz? – zapytał Paweł I Kościuszkę za drugą swoją wizytą w Pałacu Marmurowym.

Współbracia moi jeszcze nie są uwolnieni – odparł Kościuszko.

Car na to: *Będą uwolnieni, ufaj słowu memu.*

A Potocki i Niemcewicz? – zapytał Kościuszko.

Śłuchaj Generale – rzekł Paweł I – *pierwszy już uwolniony, ale drugi, jak mówią, charakter niespokojny i burzliwy, zastanawia mnie nieco.*

Służył on zawsze zdrową radą Ojczyźnie – odparł Kościuszko – *śmiało więc mogę ręczyć Wasza Imperatorską Mość za jego spokojność.*

Więc i on nie zostanie – zapewnił car.

O tej rozmowie Niemcewicz podaje nieco inną relację. Kościuszko miał zapytać cara: „Czy i inni Polacy będą uwolnieni?” Paweł I odpowiedział: „Wszyscy – lubo w radzie mojej wielkie znajduję trudności względem Potockiego i Niemcewicza, mieni ich niebezpiecznym: będziesz że ręczył za nich?” Kościuszko odpowiedział, że nie może ręczyć dopóki nie zobaczy się z Potockim. Na co Paweł I miał odpowiedzieć: „Możesz się z nim widzieć kiedy zechcesz”. Wobec choroby Potockiego Kościuszko odwiedził go i jak podaje Niemcewicz: „Zgodzili się obydwaj iż byłoby największym nierozumem w chwilach dzisiejszych targować się z oswobodzicielem, łatwo obrazić się mogącym i że należało ulec okoliczności”. Stąd Potocki usiłował nakłonić Kościuszkę, by starał się u cara o uwolnienie wszystkich Polaków.

W pewnym stopniu, choć niezależnie, owe zamiary Potockiego były zbieżne z propozycją Józefa Ilińskiego byłego posła na Sejm Czteroletni, który przeszedł na służbę carską i jako szambelan jego dworu, miał wpływ na Pawła I proponując uwolnienie Polaków. Podobny pomysł poddał carowi Jerzy Wielhorski, były pisarz polny litewski, który przyjął służbę na petersburskim dworze i został nawet jego marszałkiem. Proponował carowi, by nadał Kościuszcze dobra z tysiącem pańszczyźnianych chłopów i czyniąc go w ten sposób poddanym cara, skłonić do złożenia wiernopoddańczej przysięgi!

Kościuszko propozycję odrzucił, ale kiedy od złożenia tej przysięgi uzależniony został dalszy los tysięcy pojmanych Polaków, ostatecznie uległ szantażowi Wielhorskiego i w jego obecności złożył ślubowanie na ręce ks. Michała Rostockiego, kanonika i proboszcza kościoła św. Katarzyny w Petersburgu. Rotę przysięgi podpisał wspólnie z Potockim.

W jej następstwie 10 grudnia 1796 r. Paweł I ogłosił ukaz uwalniający Polaków więzionych w Rosji „...z powodu zaszyłych w Polsce zamieszek.” Amnestia objęła około 20 tys. nie tylko żołnierzy Insurekcji i wojny 1792 r., ale pojmanych w różnych okolicznościach zwolenników reform i obrońców niepodległości, począwszy od zesłanych na Sybir konfederatów barskich. Ilu Polaków odzyskało wolność po carskiej amnestii, nikt nie zdołał ustalić poza faktami, że wrócili do ojczystego domu, ale już pod zaborami.

Kościuszko podjął decyzję wyjazdu do Ameryki. Postanowił zabrać kucharza i służącego Murzyna Jana Lapierre’a oraz J. U. Niemcewicza, do których dołączył więziony dotąd w Twierdzy Pietropawłowskiej

por. Libiszewski pochodzący z Wielkopolski, który dotąd towarzyszył Tomaszowi Wawrzeckiemu (1753-1816) ostatniemu przywódcy powstania. Car w dalszym ciągu okazywał Naczelnikowi szczególne względy: przydzielił pokaźną kwotę rubli na koszt podróży, wygodną karetę oraz swoich oficerów mjr. Ostafa O. Udoma i kpt. Pawła S. Karpowa, którzy mieli odprowadzić podróżnych do Sztokholmu.

W przeddzień wyjazdu car zaprosił Kościuszkę na audiencję poże-gnalną do Pałacu Zimowego, a pragnąc nadać tej wizycie szczególny charakter, oczekiwał Naczelnika w gronie rodziny i najbliższych dworzan. Kościuszko przybył w mundurze generała wojsk amerykańskich. Ponieważ nie mógł chodzić, wyniesiono go z karety i na specjalnie skonstruowanym krześle na kółkach, które służyło dotąd Katarzynie II, przewieziono przez kilka komnat do pokoju sypialnego cara.

Rozmowa, którą S. S. Gagarin także opisał, przebiegała w atmosferze życzliwości i ostantacyjnej przyjaźni ze strony carskich gospodarzy, bowiem Maria Fiodorowna ofiarowała Naczelnikowi warsztat tokarski oraz własnoręcznie wyszywany pugilares z czekiem na 3 tys. dukatów do realizacji w banku w Londynie. W zamian prosiła o ... chłopską sukmanę w której Naczelnik występował po bitwie raławickiej i o przysłanie nasion rzadkich roślin z Ameryki. Kościuszko w zamian ofiarował carskiej małżonce tabakierkę, którą wytoczył i ozdobił, co zostało przyjęte z wyraźną wdzięcznością, bowiem Maria Fiodorowna trzymała ją w ręce w czasie uroczystości koronacyjnych.

19 grudnia 1796 r. tuż przed odjazdem przybył z pożegnaniem dr Rogerson, przyniósł pakunek lekarstw i udzielił ostatnich porad. Karetą ruszyła na trakt finlandzki. Do rogatek stolicy odprowadzał podróżnych carski adiutant Nielidow. Wtedy pisze Niemcewicz: „... od 26 miesięcy ujrzelśmy się po raz pierwszy bez świadków. Obejrząwszy się naokoło, czy kto z tyłu lub obok pojazdu nie podsłuchuje nas, zaczęliśmy mówić z sobą otwarcie o niewoli naszej Ojczyzny, o naszych osobistych cierpieniach i o tym wszystkim, co się do nich ściągało”.

Dwa dni później Kościuszko spotkał po drodze pierwszych 30 Polaków zwolnionych z robót na wyspie Kotka w Zatoce Fińskiej, gdzie pracowało około 600 zesłańców.

Pośród wielu trudności podróży związanych z zimą i załamaniem się pogody, wieczorem 26 stycznia 1797 r. stanęli w Sztokholmie. Tu Naczelnik odprawił i pożegnał swoich carskich opiekunów mjr. Udoma i kpt. Karpowa, którzy mu towarzyszyli od pobojuwiska pod Maciejowicami. Napisał też list do cara, ale jak zanotował Niemcewicz, przyszło mu to z wielkim trudem, bowiem, „...wolna dusza wzbraniała się podpisać: poddanym”.

Było to zważywszy wysokie poczucie godności osobistej Naczelnika i jego patriotyzm, była to cena wysoka, ale zarazem oznaczała amnestyjną wolność kilku tysięcy Rodaków. Tę zasługę Naczelnika przysłoni-

ły czyny osobistego męstwa, talenty inżyniera – fortyfikatora, wreszcie – bohatera – wodza powstania narodowego.¹

¹ B. Szyndler, *Tadeusz Kościuszko 1746-1817*, Warszawa 1991, s. 284-293.

TOMASZ AUGUSTYNOWICZ

Z POSŁUGĄ LEKARSKĄ W JAKUCJI

Nie zdążyłem jeszcze odetchnąć po wyczerpującej podróży na Sachalin, kiedy los rzucił mnie nad brzegi Morza Lodowatego do półdzikich plemion zamieszkujących peryferie północno-wschodniej części Syberii, za kręgiem polarnym. Nasz rząd powiadomiony przez generał-gubernatora Syberii Wschodniej o rozprzestrzenianiu się chorób syfilitycznych w okręgu jakuckim oraz przymorskim został zmuszony do podjęcia zdecydowanych kroków celem zdławienia zarazy, która już długo gnieździła się wśród tubylczych plemion. W tym celu roku 1874 wyekspediowano na owe tereny sześciu lekarzy, wśród których znalazłem się i ja.

Opis mojej podróży zacznę od wyjazdu z Irkucka do Jakucka, dokąd przyszło mi płynąć łodzią przez Lenę ponad 2 tys. wiorst. Po drodze zatrzymywałem się w wielu miejscowościach w celu zbadania objawów syfilisu wśród tutejszych mieszkańców.

Notatki z podróży

11 lipca 1874

Po otrzymaniu od generał-gubernatora Syberii Wschodniej niezbędnych wskazówek dotyczących mojego wyjazdu oraz polecenia obserwacji chorób syfilitycznych u mieszkańców okręgu kireńskiego guberni irkuckiej wyjechałem z Irkucka 8 lipca 1874 r. Do rzeki Leny najwygodniej było jechać drogą lądową 8 stacji pocztowych. Dziewiąta stacja znajdowała się w osadzie Kaczug położonej nad brzegiem Leny. Dalej trzeba było jechać łądem jeszcze pięć odcinków i cztery stacje pocztowe wzdłuż rzeki. Cała droga biegła wąskim brzegiem położonym ciasno pomiędzy Leną a wąskimi stromymi górami o wysokości 80 sążni i więcej, tak że trzy konie z ekwipunkiem z trudem mogły się nią przecisnąć. Te wysokie i strome góry przypominały gliniaste warstwy ciemno-czerwonego koloru. Podróż tym odcinkiem wydała mi się niebezpieczna i straszna. Na niebezpieczeństwo wskazywały wielkie odłamy skał rozrzucone w wielu miejscach, nie tylko nad brzegiem Leny, lecz również na wąskiej ścieżce, po której jechałem; ogarnął mnie bezwolny strach na widok wiszących nad moją głową, wysuniętych do przodu odłamów. Lena miała

w swym biegu wiele zakrętów, płynąc pomiędzy górami różnej wielkości i formy, wskutek czego droga biegnąca wzdłuż rzeki była bardzo kręta. Ciągnęła się ona albo wzdłuż brzegu albo oddalała się od niego w głąb gór. Przeprawa przez góry, gdzie wzniesienie ciągnęło się czasami dwie, trzy wiorsty, była tym bardziej ciężka, że do mojego ekwipunku z trzema końmi dołączono jeszcze trzy kolejne. Większa partia gór była porośnięta głównie sosnami i modrzewiami, pomiędzy którymi tylko gdzieniegdzie dało się dojrzeć brzozy. Tylko nieliczne góry były całkowicie nagie. Tereny nizinne porasta olcha, osika, małorośla brzoza oraz inne rośliny krzewiaste, z wyjątkiem leszczyny, której nigdzie nie spotkałem.

10 lipca przybyłem do wsi Żygajłówka położonej na lewym brzegu Leny na równinie otoczonej niewielkimi górami. Wieś sprawiała wrażenie dość schludnej. Stało w niej kilkadziesiąt domów, wśród których te należące do bogatych chłopów wyróżniały się piękną zabudową i nadzwyczaj zmyślnym rozplanowaniem pokoi gościnnych. Każdy podróżujący, który nie chce dłużej płynąć ciasną i niewygodną łodzią pocztową, powinien zatrzymać się na dwie lub kilka nocy, aby pozbyć się swojego ekwipunku oraz zaopatrzyć w sztyk, to znaczy w łódź większych rozmiarów zawierającą kabinę (rodzaj kajuty) dla pasażera i jego zapasów.

15 lipca 1874

Już trzy dni płynę Leną na swoim sztyku prowadzonym przez dwóch wioślarzy i jednego sterowego, którzy zmieniają się na każdej stacji. Stacje owe leżą to na prawym to na lewym brzegu, zależnie od warunków dla postoju, w odległości 20-30 wiorst. Jestem już 300 wiorst od Żygajłówki, dwa razy przenocowałem w łodzi na brzegu rzeki. Nocą niewygodnie jest płynąć, ponieważ można napotkać dużo mielizn, których nie widać po ciemku; do tego Lena w tym miejscu jest bardzo płytka, o czym przekonałem się wczoraj, zobaczywszy chłopą przeprawiającego się konno na drugi brzeg rzeki. Poza tym, podczas nocnego pływania istnieje niebezpieczeństwo spotkania z niedźwiedziem, który schodząc z gór na brzeg rzeki w poszukiwaniu jedzenia, atakuje łódź, o czym dowiedziałem się z opowiadań wioślarzy. Na odcinku od Żygajłówki do stacji bojarskiej, gdzie zatrzymałem się na nocleg, Lena była nadzwyczaj kręta i niczym wąż prześlizgiwała się pomiędzy górami pokrytymi sosnowym lasem z domieszką wielkich modrzewi. Pomiedzy nimi widniały wysokie oraz cienkie, a przy tym proste jak palmy, brzozy z niewielkim rozgałęzieniem u góry. Pasma górskie rozpościerało się oddalonym łańcuchem po obu stronach Leny. Każdy łańcuch składał się z falistych górskich grzbietów pokrytych ciemną zielenią drzew iglastych albo całkowicie obnażonych, stojących obok siebie, o formie jakby zburzonych ścian o mocy to starego zamku to wysokich stożkowatych wież, to cylindrycznych, grubych kolumn z obciętymi szczytami, to szpetnej głowy jakiegoś przedpotopowego zwierzęcia z rozwartą paszczą oraz wielu innych przedmiotów najdziwniejszego kształtu.

17 lipca 1874 r.

Im bliżej Kireńska, tym miejscowości po obu stronach Leny były piękniejsze. Brzegi rzeki stopniowo się wznosiły i były pokryte takimi drobnymi kamyczkami jak jej dno. Ostre zakręty przypominały nurt Amuru, a rozgałęzienia górskich grzbietów oddalających się w tajgę zarówno z prawego, jak i z lewego brzegu rzeki – niewielką wyspę Sachalin, jeśli patrzeć na nią z oddali, płynąc od miasta Nikołajewska do Cieśniny Tatarskiej. Podobieństwo to uderzyło mnie, gdy patrzyłem na strumienie spływające z wysokich gór do Leny. Zbliżywszy się do jednego z takich potoków, zauważyłem rząd wybudowanych wokół niego niewielkich młynów, w których chłopci mielili zboże wiosną, tą właśnie porą, kiedy lód w potokach taje i zmieniają się one w niewielkie rzeczki o bystrym nurcie. Ostatnimi laty stały one jednak bezużyteczne, bez żadnej opieki. Takich młynów naliczyłem w jednym miejscu do 10 albo i więcej. Wszystkie wsie spotkane po drodze położone są na wysokich brzegach Leny, gdzie nie podchodzi woda w czasie wiosennych roztopów. Chłopskie chaty są wyjątkowo piękne, zbudowane z drewna sosnowego lub świerkowego, mają drewniane dachy, ponieważ jest tutaj bardzo dużo materiału budowlanego. Komnaty ich są bardzo schludne i jasne, nie zważając na to, że w oknach zamiast okien wstawiona jest mika wydobywana przez miejscowych z gór. Wiosną i latem chłopci zajmują się uprawą zbóż. W tym celu karczują (tzn. wrywają wielkie korzenie drzew) te kawałki ziemi w tajdze, które położone są blisko wiosek oraz sieją na nich żyto, jęczmień, owies, pszenicę. Ogrodów we wioskach jest bardzo mało.

Większych pól przeznaczonych do sianokosów nie ma wcale, a spotyka się tylko nad brzegiem Leny wąskie pasma suchych bagien porośniętych osoką, którą tylko wykorzystują chłopci. Dlatego cena za siano jest tutaj tak wysoka, że w 1873 r. za niewielki wóz płacono 20 rubli srebrem. Zimą poluje się na wiewiórki i sobole. Tych pierwszych jest w tajdze bardzo dużo, lecz wartość ich futra wynosi poniżej średniej; za to soboli jest mało, lecz ich skóra warta jest od 25 do 50 rubli. Jesienią poluje się czasami na niedźwiedzie, co jednak zawsze wiąże się z pewnym niebezpieczeństwem, dlatego, że zwierzę ten jest bardzo śmiały i silny, a przy tym nadzwyczaj wysokiego wzrostu. Napada on nie tylko na bydło we wsiach, lecz także na człowieka, którego spotka w tajdze.

Opowiedziano mi o jednym nieszczęśliwym wypadku, jaki miał miejsce w pobliżu wsi Tajury położonej nad rzeczką o tej samej nazwie; niedźwiedź zadusił na śmierć Tunguza i Tunguzkę, którzy zatrzymali się ze swoimi reniferami na nocleg. Z tego powodu następnego dnia urządzono polowanie, podczas którego zwierzę zostało zabite, a zdjęta z niego skóra miała około 4 arszynów długości. Niedźwiedzia takiej wielkości spotyka się tutaj stosunkowo często, a bywa on tak silny, że zaduszonego konia czy krowę bierze oburącz i na tylnych łapach unosi w tajgę. Nierzadko zdarza się, że schwytanego psa zjada na miejscu.

Głuchy teren nad Leną sprzyja nieuczciwości i podstępowi, czego najlepszym dowodem są tutejsi zesłańcy. Pozornie wydają się pokorni, dobroduszni i usłużnymi, a tymczasem w ich myślach kryje się zawsze jakiś zły zamysł. Zabić człowieka to dla nich nic, wykorzystują do tego każdą okazję, np. często napadają na wracających z kopalni robotników z pieniędzmi, wcześniej zaprosiwszy takiego do siebie na nocleg. Ślady zbrodni ukrywa wiecznie milcząca tajga, a czasami rzeka Lena. W ogóle moralność miejscowej ludności jest skrajnie zepsuta, a skłonność do pijaństwa tak silna, że wskazywano mi na niektóre wsie, których mieszkańcy wyróżniali się szczególną słabością do wódki. Mówi się o nich ze śmiechem, że nawet ich dzieci rodzą się pijane. Między innymi dlatego nie można wykorzenić wszelkiego nieporządku w tym głuchym kraju, oddalonym setki wiorst od centrum nadzoru policyjnego, tym bardziej, że miejscowe władze gminne bardzo pobłażliwie patrzą na niektóre przestępstwa, uważając je, nie wiedzieć czemu, za niewinną psotę.

19 lipca 1874 r.

Po strasznym upale, który trwał około 3 tygodni z rzędu, po raz pierwszy powietrze orzeźwił deszcz. Pojawił się on niespodziewanie wraz z porywistym wiatrem, który to na jakiś czas ucichał, to znów się wzmagał, doganiając deszczowe chmury, silnie przy tym wzburzając rzekę i zagrażając mojej łodzi wypłynięciem na mieliznę. W przeciągu jednej godziny to pojaśniało to robiło się pochmurno, a pod wieczór zerwała się taka burza, że cała rzeka pokrywała się spienionymi falami, które powodując straszne kołysanie, z każdą minutą groziły przewróceniem łodzi. Ponieważ Lena w tym miejscu nie była jeszcze szeroka, to wioślarzom udało się dopłynąć do brzegu, chronionego od naporu wiatru przez wysokie, strome góry. W tym spokojnym miejscu spędziliśmy około godziny, przysłuchując się jękom burzy i obojętnie przypatrując najeżonemu grzbietowi wzburzonej Leny.

Cisza, która nastąpiła po krótkotrwałej burzy, a szczególnie przezroczyste powietrze, którym oddychałem od wyjazdu z Irkucka, pozwoliły mi płynąć dalej do późnej nocy. Ten, kto nie był na Syberii, szczególnie porą letnią, nie może sobie wyobrazić, jak męcząca potrafi być jazda, zwłaszcza podczas letnich upałów i to nie tyle za sprawą piekących, słonecznych promieni ile od ukąszeń much i komarów; dlatego minuta ochłody staje się dla podróżnika istną rozkoszą. Syberyjskie muchy są większe od zwykłych, a do tego tak natrętne, że nie sposób ich od siebie odegnąć. Najgorsze jest to, że one stale wpadają do oczu, wpełzają do nosa i uszu, powodując nadzwyczaj bolesne ukąszenia, po których na długo pozostaje opuchlizna. Ochroną od tutejszych komarów jest dym i siatka. Dym tworzy się w następujący sposób: do glinianego naczynia z niewielkim wgłębieniem wkłada się kilka rozżarzonych węgielków (czasami podpala się trochę suchych szczapek), które przykrywa się najpierw

suchym mchem, potem wilgotną trawą, a na koniec liśćmi i gałęziami, czasami także nawozem. Od powolnego spalania tych surowców tworzy się dym, który podtrzymuje się ciągłymi podmuchami, dodając do tego co nieco palącego się materiału. Taki dym znajduje się na zewnątrz, pod drzwiami i oknami domu, a także w sieni. Poza tym, za jego pomocą chronią się także robotnicy podczas swoich prac na świeżym powietrzu. Ale ja przekonałem się, że przynosi on mało pożytku; lepiej od komarów chroni siatka z włosia używana tylko przez chłopów albo z czarnej krepy (rodzaj materiału A.M.). Ta ostatnia jest bardzo wygodna i praktyczna. Aby ją zrobić, bierze się arszyn i ćwiartkę krepy i z całej jej szerokości robi coś w rodzaju zasłony otaczającej wokół kapelusza. Jej boki zszywa się całkowicie; przez cały dolny brzeg tej zasłony przeprowadzony jest cienki sznureczek, którym jest ściągana siatka wokół szyi, chroniąca takim sposobem od ukąszeń komarów całą głowę, twarz i szyję.

20 lipca 1874 r.

Dziś przyjechałem do miasta Kireńska, przebywszy w ciągu pół doby 39 wiorst (jeden odcinek) od ostatniego noclegu we wsi Biezurkowaja. Kireńsk leży na prawym brzegu Leny, która otoczywszy miasto z jego północnej strony, robi zwrot w lewo i ukrywa się pomiędzy wysokimi skalistymi górami pokrytymi sosnowym lasem z domieszką modrzewia i świerku. Miasto znajduje się na malutkiej wysepce, tworząc się od dwóch koryt rzeki Kiriengi przy jej ujściu do Leny. Wysepka ta posiada nieco wyżyn, a na jednej z nich, najwyższej, wybudowana jest drewniana cerkiew, która nadjeżdżającemu ze strony Irkucka już z dali rzuca się w oczy. Za nią ciągnie się rząd domów stojących w jednej, prostej linii, z której prawej strony widać grupy wysokich, sosnowych drzew zakrywających sobą klasztorną zabudowę. Znajdują się w niej dwa bądź trzy domki, w których mieszkają mnisi; największy jest zamieszkały przez archimandrytę i niezbędną służbę. Wszystkie budynki, tak jak samo ogrodzenie są drewniane. Pomędzy nimi, na niewielkim placu, stoją dwie cerkwie, z których jedna jest już do tego stopnia zniszczona, że od długiego czasu nie odprawia się tam mszy. Najprawdopodobniej należy ona do pierwszych budowli pochodzących z roku 1655, kiedy to powstał Kireńsk, lub ostatecznie może istnieć od 1764 r., tzn. od tego okresu, kiedy stał się on okręgowym miastem guberni irkuckiej.

Większość budowli w mieście jest drewniana, z wyjątkiem niektórych kupieckich domów, które są murowane i dość efektowne. Niektóre z nich są nawet dwupiętrowe. Ludność miasta składa się z mieszczan, chłopów-przesiedleńców, kupców, osób duchownych oraz urzędników. Liczba mieszkańców to około tysiąc osób obu płci, nie wliczając w to jednak miejscowej jednostki wojskowej, urzędników służących w okręgowej policji oraz więźniów.

Spędziłem w Kireńsku 10 dni, zajmując się badaniem chorób syfilitycznych, zarówno w mieście, jak i w sąsiednich wsiach. Utrzymując stały kontakt z miejscowymi, miałem możliwość przyjrzenia się nie tylko materialnej stronie ich życia, lecz także moralnej. Szczególną moją uwagę przyciągnęli chłopi i przesiedleńcy, których bujny charakter oraz słabość do wódki od razu jasno rzuciły się w oczy. Trudno spotkać człowieka o przyjemnej powierzchowności, wszyscy oni są podrapani i pobici, a na przybyłych patrzą zadziornie i nachalnie. Od rana do wieczora można na ulicach ujrzeć kilka osób pijanych do nieprzytomności, śpiewających nieskładne piosenki lub kłócących się ze sobą na całe gardło. Kłótnia zazwyczaj kończy się bitką, która ma miejsce albo w karczmach, których tutaj jest nadzwyczaj dużo, albo za miastem. Kilka dni temu zdarzył się taki wypadek: o godzinie 23 kancelista miejscowej policji wracający do domu, przechodząc koło karczmy, zauważył pijących robotników, którzy bardzo nieostrożnie obchodzili się z ogniem. Podszedłszy do otwartego okna, zaczął ich napominać i kazał rozejść się do domów. Jeden z biesiadujących wybiegł na ulicę i przewróciwszy policjanta, zaczął go kopać i obiema rękoma dusić za gardło. Potem wybiegło z knajpy jeszcze dwóch pijanych, którzy zaczęli bić ofiarę, gdzie popadło, jeden – pałką, a drugi – żelaznym pogrzebaczem. Następnego dnia pobitego prawie na śmierć kancelistę z opuchniętą i zakrwawioną twarzą, a w niektórych miejscach prawie przebitą do czaszki głową, zawieziono do szpitala. Winni ukryli się bez śladu. Takie zdarzenie powinno postawić na nogi całą policję, a tymczasem odniosła się ona do tego zupełnie obojętnie, obwiniając nawet nieszczęsnego kancelistę, że sam dał ku temu powód. Za miastem także zdarzały się różne wykroczenia, szczególnie latem, w okresie sianokosów, kiedy często jeden drugiemu zadaje rany nożem lub kosą. Wszystko to dzieje się w stanie nietrzeźwym, gdyż według wprowadzonego tu obyczaju, poza zapłatą za dzienną robotę, gospodarz powinien także ugościć robotnika wódką. Wiele dziwnych rzeczy, niezgodnych z rosyjskimi zwyczajami, można zaobserwować w sposobie życia tutejszej ludności. Mieszkańcy miasta na przykład nie uważają za konieczne gotować sobie pożywienia, zadowolając się jedynie herbatą, którą parzą kilka razy dziennie. Taki nawyk być może nastąpił u nich na skutek wysokich cen żywności, gdy nie byli oni w stanie płacić 8 kopiejek za funt chleba czy 35 za funt wołowiny najniższego gatunku. Do tego to zgubne upodobanie do alkoholu prowadzące do tego, że są gotowi oddać ostatnią kopiejkę za kieliszek wódki, a spożywanie posiłków stało się ich potrzebą wtórną. Obserwuje się to głównie wśród niższych warstw społeczności miejskiej oraz we wsiach.

5 sierpień 1874 r.

Pomimo że wszystkie moje zajęcia w Kireńsku oraz w okolicznych wioskach zostały zdecydowanie zakończone, do tej pory przebywam w tym ze wszech miar nudnym miasteczku, gdzie nie istnieją żadne stosunki towarzyskie pomiędzy mieszkańcami, gdzie każdy żyje uparcie tylko

sam dla siebie, nie mając pojęcia o współżyciu społecznym. Nikt tutaj nie interesuje się ani książkami ani żurnalami, ani nawet wieściami z guberni, na które można się natknąć tylko w miejscowej jednostce policji i w miejskim kantorze.

Wszyscy zajęci są tylko zdobywaniem pieniędzy, nie gardząc najbardziej nagannymi sposobami, a zdobytą kopiejkę od razu przepuszczają w winiarni. W takim środowisku trudno o odpoczynek w czasie wolnym od zajęć, a jeszcze trudniej urozmaicić sobie czymś cały szereg nudnych dni ciągnących się powoli i beczynn timer. Bezwolnie opanowuje człowieka nuda, której nie można urozmaicić nawet spacerami, ponieważ jedynym miejscem gdzie można je sobie urządzać, jest brudny brzeg, na którym leżą wywrócone dnem do góry rybackie łodzie i suszące się sieci. Oczy tymczasem kierują się ku wielkim, skalistym góróm, które wznosząc się nad lewym brzegiem Leny, naprzeciw samego miasta otoczonego ze wszystkich stron odnogami rzeki Kirengi, stanowią wysoką (ok. 70 sążni) ścianę zagradzającą wyjście z miasta. Oto wszystko, czym można rozkoszować się w tym mieście, przechadzając się brzegiem. Za miastem nie ma już żadnych miejsc do spacerów: wokół góry, gdzie można spotkać niedźwiedzia, i niewielkie pola położone na nizinach z lewej strony rzeki, do tego tak wilgotne, że poza kosiarzami, którzy przybywają tam w okresie letnim, nikt ich nie odwiedza. Jednakże, odkryłem niektóre miejsca poza miastem, dokąd urządzałem sobie wycieczki botaniczne, które zawsze dostarczały mi niemałych kłopotów. Najwięcej sprawiał mi wynajem wioślarzy; trzeba było ich szukać po całym mieście, ponieważ po nocnych zabawach najspokojniej spali w jakimś ciuchym kąciku knajpy. Kiedy ci sami wioślarze byli także woźnicami podczas wycieczek po nieznanym mi głuchym miejscach pomiędzy górami, to nie raz bałem się, że stanę się ofiarą ich żądzy pieniądza. Te myśli rozdziły się we mnie, kiedy oni rozmawiali szeptem, być może niewinnie, ale nie mniej jednak zmuszali mnie do ostrożności i ciągłego trzymania się na niejaką odległość.

12 sierpień 1874 r.

Wreszcie nastał dzień mojego wyjazdu z Kireńska – miasta z którym nie wiąże mnie żadne przyjemne wspomnienie, a myśl o mijającej nudzie pozwalała mi patrzeć ze szczególnym zadowoleniem na czekającą mnie daleką drogę. Wszystko jest już gotowe do odpłynięcia i razem z tutejszym isprawnikiem płynę w dół Leny celem leczenia mieszkańców gminy pietropawłowskiej i witimskiej.

16 sierpień 1874 r.

Wczoraj wieczorem przybyliśmy z isprawnikiem do wsi Darinskaja leżącej 1151 wiorst za Kireńskiem, który opuściłem cztery dni wcześniej. Na całej odległości pomiędzy miastem a tą wsią brzegi Leny są wysokie i piękne, a leżące nad nimi miejscowości tak różnorodne, że na każdym

prawie kroku spotyka się inny widok. Bogactwo widoków zawdzięcza fantastycznym skalistym góróm ciągnącym się łańcuchem po obu stronach Leny. Łańcuch ten czasami się urywa i wtedy za zakolami rzeki pojawiają się pojedyncze góry; w jednym miejscu wielkie i całkowicie obnażone wznoszą się od tajgi po sam brzeg Leny i całym swym ciężarem zanurzają się w wodzie, a w drugim – dużo małychgórek mających formę piramid i pomników, ozdobionych szarym bądź białym kwiatem, gromadzących się na niewielkiej przestrzeni wzniesionego brzegu, przypominając stary cmentarz. W ogóle tutejsze miejscowości mają całkiem inne oblicze niż te znad górnych biegów Leny. Sama rzeka im dalej od Kireńska, tym robi się szersza, głębsza i bardziej bystra, ale przy tym posiada dużo mielizn niebezpiecznych dla nocnego pływania. Jednak w tych głuchych miejscach i bez tego nie można go uważać za bezpieczne ze względu na często zdarzające się tutaj zabójstwa, o których opowieści nie raz słyszałem od wioślarzy. Wkrótce zdarzył się fakt, który je potwierdził. 12 dnia tego miesiąca wioślarze, odpłynawszy od Kireńska nie więcej niż 17 wiorst, zauważyli na powierzchni wody jakiś przedmiot nieokreślonej formy i wskazali mi na niego. Kazałem skrócić łodzią bliżej, aby przyjrzeć się tej nieoczekiwanej znajdzie. Trudno było określić, co to takiego, lecz przyjrząwszy się lepiej, rozpoznaliśmy trupa człowieka okrytego workiem i pływającego w pozycji stojącej. Worek był narzucony na głowę i ramiona i obwiązany wokół tułowia, poniżej klatki piersiowej, tak że ręce znajdowały się w nim, a nogi zwisały swobodnie. Do tak jawnego dowodu przemocy wioślarze odnieśli się nadzwyczaj obojętnie i ku memu wielkiemu zdziwieniu prawie się roześmiali na widok tej strasznej ofiary, czyniąc przy tym same nieprzyzwoite porównania, wypowiedane przez nich z wielkim cynizmem. Zwróciłem im na to uwagę, a oni odpowiedzieli mi na to następująco: „Wielkie rzeczy. Tylko człowiek zabity i wrzucony do wody. Nic więcej. W zeszłym roku i jeszcze później takich wypadków było dużo we wrześniu, kiedy chłopcy wracają z kopalni. Jak taki topielec przyplynie do wsi, to my odprawiamy go z powrotem rzeką, odpychamy wiosłami, żeby ławnik nie wezwał nas na śledztwo”. Ta naiwna odpowiedź najlepiej charakteryzuje moralność owej ludności, a także dowodzi, jak trudno tutejszej miejscowej policji tropić wszelkie przestępstwa wśród tłumu pozbawionych zasad robotników wracających z kopalń z dużym zapasem pieniędzy, z powodu których dochodzi tutaj do morderstw. Wieczorem tego dnia zgłosiłem zdarzenie na stacji pocztowej (Aleksiejewskaja) i trup został wyłowiony z rzeki, po czym wszczęto śledztwo celem wykrycia winnych.

18 sierpień 1874 r.

Zbliżam się do jednej z najznakomitszych osad w kraju nad Leną, a mianowicie do Witimska, od którego znajduję się 22 wiorsty na noclegu. Obejrzałem już wszystkich mieszkańców w gminie pietropawłowskiej.

Było wśród nich wiele osób mających wole. Rozwój tej choroby, którą zauważyłem już w górnych brzegach Leny zaczynających się od Kaczugi, osiągnął tutaj swoje apogeum. Dotyka ona wszystkich niezależnie od wieku czy płci. Przede wszystkim narażone są na nią kobiety, zwłaszcza młode dziewczyny w takiej skali, że na 10 z nich w różnym wieku można znaleźć tylko 2-3 zdrowe. Wole ma paskudną formę i zajmuje zazwyczaj całą przednią część szyi, dosięgając do podbródka zwisając aż do obojczyka. Jednakże zawiadomienie isprawnika o szerzącym się w tej miejscowości syfilisie nie potwierdziło się, i nawet przy bardzo szczegółowych oględzinach w całej gminie wszystkich chorych znalazłem tylko 16 osób obu płci.

26 sierpień 1874 r.

19 sierpnia przybyłem do Witimska leżącego na otwartej wyżynnej przestrzeni po lewej stronie Leny. Miejscowość niewielka. Domy są tutaj różnej wielkości i formy, w większości stare i drewniane. Cerkiew jest także drewniana i stoi na niewielkim placu oddalonym od domów w stronę rzeki. W Witimsku na stałe mieszka albo ławnik albo pomocnik isprawnika. Jest tutaj także urząd pocztowy dla odbioru zwykłej korespondencji oraz przesyłek pieniężnych pod kierownictwem nadzorca stacji; jest także kilka kramików z towarami kolonialnymi, kilka winnic z trunkami sprowadzonymi z Moskwy, dwie albo trzy hurtownie z winami, gospody i wiele knajp. Witim leży w miejscu, przez które każdego roku w połowie września przechodzą robotnicy wracający z kopalni złota do swoich domów. Ich napływ bywa bardzo znaczny, czasami zbiera się ich do 5 tysięcy; spędzają tutaj kilka dni z rzędu hulaszczego życia, na które wydają zarobione przez siebie pieniądze, czasami nawet po kilkaset rubli. Miasto to jest popularne wśród przemysłowców całej Wschodniej Syberii, nazywane przez nich (oczywiście żartobliwie) San Francisco nad Leną. Nazwa wzięła się stąd, że jest tutaj wielu aferzystów przybywających w konkretnych celach; można tu spotkać rdzennych Sybiraków, Rosjan, Polaków, Niemców, Anglików, Tatarów, Żydów. Każdy z nich ma jakieś konkretne zajęcie. Niektórzy posiadają małe kramiki, na których drogo sprzedają różne towary; inni prowadzą winnice, gdzie mają wina różnego gatunku, wśród których jest i szampan sprzedawany po 8 rubli za butelkę; inni prowadzą czasowe gospody lub zatrudniają się jako sprzedawcy czy pomocnicy. Jednak te zajęcia nie zaspokajają w pełni ich żądzy pieniądza.

Myśli ich krążą ciągle wokół poszukiwania złota, wchodzą w ciemne interesy z miejscowymi złodziejami złota, często wpadającymi w ręce policji. Mieszkający tutaj Tatarzy roznoszą swoje towary po kopalniach, podczas okresowych podróży kręcą się po tajdze w nadziei natknięcia się na kawałek złota, a Żydzi, siedzący w ciemnych kątach niczym pająki, z wielką niecierpliwością czekają na szansę, kiedy będą mogli schwytać złotą muchę w zastawione przez siebie sieci. Jednym słowem, każdy stara się tutaj zdobyć jak najwięcej pieniędzy, nie przepuszczając żadnej

okazji i nie gardząc żadnymi środkami. Nigdzie jezuickie prawo: „cel uświęca środki” nie ma takiego zastosowania jak w przypadku witimskich przemysłowców. Każdy tutejszy aferzysta posiada mniejszy lub większy zapas pieniędzy. Przyjrząwszy się z boku, można stwierdzić, że to prosty chłop lub budzący litość, oberwany Żyd, kiedy widzi się, jak wydaje swój znaczny kapitał wynoszący 20-30 tys. rubli.

Najwięcej zysków przynosi wrzesień, kiedy robotnicy wracający z kopalń zatrzymują się w Witimsku na kilka dni i dosłownie rzucają pieniędzmi na lewo i prawo. W gospodach żądają lepszych win, nie martwiąc się w ogóle o ich cenę, tylko żeby na butelkach były kolorowe etykiety ze złotymi literami; podaje się im byle jaką zabarwioną miksturę ze spirytusu, za którą karczmarz bierze potrójną zapłatę od wartości zamówionego wina. Na straganach kupuje się wielkimi kawałami perkal lub materiały jedwabne, wyścielając nimi drogę od jednej knajpy, po której prowadzą pod rękę pierwszego hulakę w towarzystwie licznych pijaków. W knajpach wyrabia się czasami różne skandale kończące się stłuczeniem wszystkich butelek z wódką, za co płacą potrójną, a nawet poczwórną cenę. Na wszystko to miejscowi, a nawet policja, patrzą przez palce, uważając te bezceństwa za niewinną zabawę. Lecz czasami doprowadza ona do całkowitej rozpusty z wszelkimi konsekwencjami. Formy tej demoralizacji są czasami tak odrażające, że nie zdecyduję się na odsłonięcie zasłony nocy, która je zakrywa, a powiem tylko, że następnego dnia rano policji zdarza się znajdować dwa lub trzy trupy ludzi zamordowanych z powodu zazdrości. Krótki pobyt robotników w Witimie przemienia to miasto w Sodomę i Gomorę i staje się podstawą do niezliczonych opowieści obnażających wszelkie bezceństwa tutejszych gości; kradzieże i szachrajstwa, z których od dawnych czasów jest znany Witim, w porównaniu z opisanymi potwornościami wydają się tylko „niewinna zabawa”.

30 sierpnia 1874 r.

Już dwa dni z rzędu, z powodu święta, na głównej ulicy Witima słychać pieśni śpiewane przez naród: pijani chłopcy bezceremonialnie zagląдают do okien, stukają do drzwi, a nawet wchodzą do domów, szukając okazji do jakiejś kradzieży. Skłonność do pijaństwa jest tak silnie rozwinięta wśród tutejszych mieszkańców obu płci, że nawet dzieci od najmłodszych lat zapoznają się z alkoholem. Zepsucie obyczajów sprzyja aferzystom, którzy wykorzystują to na swój użytek, wyłudzając od amatorów wszelkich zabaw i niedozwolonych swawoli ostatnie pieniądze.

2 września 1874 r.

Wczoraj razem z ławnikiem odwiedziłem dwie „rezydencje złotych przemysłowców”. Jedna z nich nazywa się „Wiska” (spadek po szacownym obywatelu Trapeznikowie) i zajmuje 5 wiorst na drugim brzegu Leny; druga – Leńsko-Witimska (spółki Bazunowa i Sybirakow) – obejmuje 15 wiorst na prawym brzegu tej rzeki. Wybudowane tam dwa szpi-

tale są oddziałami głównych szpitali stojących przy samych kopalniach 300-400 wiorst od Witima. Są one dobrze utrzymane oraz położone w dogodnym miejscu, a przy każdym z nich znajduje się apteka z podstawowym zapasem leków. W obydwu szpitalach, w ciągu całego roku, było tylko 6 chorych na syfilis; tym samym i tutaj nie potwierdziła się informacja kireńskiego isprawnika o silnym rozprzestrzenieniu się tej choroby w gminie witimskiej; przy najdokładniejszym oglądzie mieszkańców zarówno w samym mieście, jak i we wioskach, naliczyłem 10 osób zarazonych. W ogóle, na całym przebadanym przeze mnie terytorium pomiędzy Kireńskiem a Witimem (ponad 800 wiorst) znalazłem 42 osoby (w tym 16 osób w szpitalu leńsko-witimskim) dotknięte tą chorobą w różnym stadium rozwoju.

8 sierpień 1874 r.

Wciąż znajduję się w Witimie, zajmując się 10 chorymi osobami. Każdemu przybyłemu do tego miasta rzuca się w oczy straszna drożyzna na wszystko, począwszy od świec do prania bielizny; co zaś się tyczy zapłaty za usługi, to miejscowi chłopcy są już do tego stopnia rozpieszczeni, że wyceniają swoją pracę na ruble. Na przykład wysłanemu w jakiejś sprawie na drugi koniec miasta trzeba zapłacić 1 rubel; za przyniesienie bądź przywiezienie wody, która znajduje się w pobliżu, w Lenie, żądają także rubla. Do szczodrego wynagrodzenia za każdą błahostkę przyzwyczaiły tutejszych kopalnie złota, gdzie liczą się tylko pieniądze. Robotnicy całkowicie oddają się pijaństwu i za jeden kieliszek wódki potrafią oddać ostatnią koszulę. Chociaż wokół znajdują się placówki wojskowe, a Kozacy kulami zwalczają wszelkie próby prowadzenia zakazanego handlu napojami alkoholowymi, to nie zniechęca to jednak handlarzy spirytusem, którzy ryzykując życiem, ukradkiem dostarczają robotnikom zakazane napoje, żądając za nie niebywałych cen. Za butelkę nieoczyszczonego spirytusu, a przy tym tak rozcieńczonego wodą, że ledwo czuć zapach wódki, robotnicy chętnie płacą po 25 rubli, a czasami i po 10 za jeden kieliszek. Płacą gotówką lub złotem ukrytym przed właścicielem kopalni i trzymanym gdzieś w tajdze. Do Witima, jak już powiedziałem wcześniej, robotnicy napływają wielkim tłumem na raz w połowie września. Dzień ich przybycia jest zawsze świętem dla wszystkich mieszkańców. Powstaje niezwykły ruch; wszyscy biegną do przystani, starając się wyprzedzić jeden drugiego, przekrzykują się, szturchają, śmieją oraz obraźliwie warczą. W każdym domu piecze się pierogi i wołowinę; tymczasowe restauracje upiększone świeżymi i sztucznymi kwiatami z cienkiej, kolorowej bibuły, zaopatrują się w przeróżne wina, nalewki i chłodne zakąski, pokrojone w małe kawałeczki; otwierane są liczne karczmy. Wszyscy ubierają się świątecznie, a mężatki, dziewczyny oraz dziewczynki powyżej 12 lat, a nawet staruszki, zakładają swoje najlepsze sukienki. Już dzień wcześniej są gotowi do przyjęcia drogich gości. Na koniec płyną łodziami z robotnikami i śpiewają pieśni. Wszyscy od małego do dużego biegną na spotkanie nad brzeg Leny z rozpostartymi ramio-

nami, nie troszcząc się o to, czy wpadnie w nie znajomy z zeszłego roku czy obcy. Tylko żeby przyciągnąć do siebie jak najwięcej chłopców pragnących nabawić się dowoli. Każdy zaprasza ich do siebie do domu pod różnym pretekstem. Podniecone i zarumienione dziewczęta, przechadzając się niewielkimi grupkami brzegiem rzeki, od czasu do czasu kokieteryjnie zaczepiają przechodzących obok nich chłopców, uśmiechają się przyjaźnie i żartobliwie grozą palcem, starając się tym niewinnym sposobem zwrócić na siebie ich uwagę; niektóre stosowały bardziej stanowcze i śmiałe środki dla przyciągnięcia do swoich domów gości. Grupy spacerujących dziewczyn szybko się zmniejszają; każda znajduje swojego kawalera i razem z nim odchodzi do domu, radując się w duszy, że złapała złotą rybkę. Nie mniejszy udział w przyzywaniu robotników do domów mają też chłopcy, którzy biegną od jednego do drugiego, chwytają za koszule i szerokie spodnie oraz natrętnie ciągną za rękę, obiecując gościowi największy pieróg i dużo wódki. Gwar, głośnie powitania, wzajemne obejmowanie się, dźwięki harmonii słyszane w różnych miejscach trwają do tego czasu, dopóki nie skończą się rozmowy i zapraszanie do domów. Wtedy właśnie cały ten głośny tłum, podzieliwszy się na mniejsze grupy, długim korowodem ciągnie do osady z pieśniami i muzyką w towarzystwie żandarmów przysyłanych tutaj każdego roku po to, aby pilnować porządku i ciszy.

Jedni robotnicy idą do mieszkań, zgodziwszy się zapłacić za dobę od 3 do 10 rubli, a inni prosto do gospod; pozostali atakują karczmy, których są panami przez cały czas pobytu w Witimie i gdzie wydają swoją ostatnią, zarobioną kopiejkę. Zaproszonych do mieszkań gospodarze witają z otwartymi ramionami, a drogi gość rozochocony tak serdecznym przyjęciem czuje się jak u siebie w domu i bez żadnego skrepowania daje upust wszelkim swoim potrzebom: szasta pieniędzmi i hula cały dzień do późnej nocy, pławiąc się we wszelkich przyjemnościach. Następnego dnia rano dopiero co obudzonego gościa, ale już bez kopiejki przy duszy, gospodarz wyrzuca won, a przy tym jeszcze czasami zanosząc na niego skargę na policję, jakoby nie zapłacił za nocleg. Robotnicy z suto nabitymi portfelami świętują z gospodarzami bądź krewnymi trzy, cztery dni, urządzając spacerów z domów do karczmy z muzyką i pieśniami. W trakcie takich spacerów każą sobie wyścielać drogę kreponem oraz jedwabiem w drodze powrotnej do domu. Z przodu idą dwie harmonie, za nimi w kolorowej koszuli pijany chłopiec z kilkoma butelkami szampana w każdej ręce, podtrzymywany przez dwóch towarzyszy bądź dwie wybrane siostry i otoczony całą rodziną gospodarza, u którego na drogiego przybysza czeka obfita zakąska. Wreszcie nadchodzi dzień rozliczenia się z gospodarzem, któremu przybysz płaci czasami do 200 rubli, nie wliczając w to pieniędzy wydanych na prezenty dla jego krewnych oraz na wino w gospodzie. Te rozliczenia zawsze wiążą się z jakimiś nieprzyjemnościami, które spotykają zawsze nieszczęśliwego robotnika.

15 wrzesień 1874 r.

Wczoraj przybyłem do ostatniej stacji pocztowej w guberni irkuckiej – Żerbińska, doznając po drodze wielu niewygód w postaci głodu i chłodu. Na całym odcinku pomiędzy Witimem a Żerbińskiem z trudem można było dostać kawałek żytniego chleba, nie mówiąc już o innych produktach, o które się nawet nie starałem, bo dowiedziałem się od woźniców, że tutejsza ludność jest bardzo uboga. Chłód był nadzwyczaj odczuwalny, a teraz panuje pochmurna, deszczowa jesień. Wczoraj o 10 rano zastała nas burza trwającą przez całą dobę ze strasznym nasileniem. Z pierwszym porywem wiatru rzeka wzburzyła się, pociemniała i najeżyła swój grzbiet, na początku nieustannie pluskała wzdłuż brzegu, a potem rozwścieczyła się tak, że zaczęła rzucać na wszystkie strony wielkie fale pokrywające się białą pianą. Moja nieszczęsna łódź, podobna do małej szczapki, to krążyła w jednym miejscu to podnosiła się do góry prawie pionowo, to stopniowo opuszczała w dół pomiędzy dwoma wysokimi falami gotowymi, jak się wydawało, pociągnąć nas na dno rzeki. Wioślarze porzucili swoje wiosła, gdyż okazały się one całkowicie zbędne, ruszyli na pomoc sternikowi, który całkiem opadł z sił, aby stale kierować czołno łodzi prosto na fale i nie pozwolić im uderzać po bokach, od czego mogłaby ona łatwo się przewrócić. W ten sposób długo walczyliśmy pośrodku rzeki ze wzburzonymi falami; na koniec wioślarzom udało się wykorzystać chwilowe uspokojenie burzy, aby zbliżyć się do brzegu, który od wiatru chroniły wysokie skały. Tutaj już niebezpieczeństwo było mniejsze. Sternik przy pomocy wioślarzy stale utrzymywał łódkę na nijaką odległość od brzegu, która sama z siebie płynęła wraz z bystrym nurtem rzeki, przecinając niewielkie fale i robiąc około 8 wiorst na godzinę. Płynęliśmy bezustannie do 9 wieczorem, mijając przystanie stacji pocztowych i nigdzie nie cumując do brzegu, aż do samej osady Żelebińsk, gdzie już z pomocą woźniców ze stacji pocztowej i innych mieszkańców osady moja łódź znalazła się w bezpiecznym miejscu w przystani, i gdzie została przywiązana grubymi sznurami do pnia, przymocowanego do ziemi wzniesionego brzegu rzeki. Nocowałem w kajucie, która służyła mi za pokój, gdzie czując się bezpiecznie, przysłuchiwałem się wyciu burzy trwającemu całą noc do 5 rano.

Choć burza na rzece zdecydowanie ucichła, na brzegu jednak trwał silny, chłodny wiatr wiejący stale z zachodu i pędzący ciężkie chmury, idące tak nisko, że w swoim szybkim pochodzie dotykały niektórych szczytów wysokich gór. Powietrze było mgliste i wilgotne. Z opowiadań miejscowych wiem, że taka pogoda trwa tutaj przez cały wrzesień i pływanie jest wtedy niebezpieczne.

19 września 1874 r.

Już trzy dni mieszkam w Olekmińsku, okręgowym mieście obwodu jakuckiego. Leży ono na prawym brzegu Leny, na otwartej przestrzeni

rozpościerającej się daleko na wszystkie strony; góry i lasy widać tylko z daleka, a w pobliżu rosną niewielkie wierzbowe krzaczki i młode brzozy. Olekiminsk jest dużo gorszy od Kireńska; posiada tylko jedną ulicę, do tego brudną, gdzie tylko od czasu do czasu można ujrzeć Jakuta jadącego na wole. Woły wykorzystuje się tutaj zamiast koni do różnych prac gospodarczych, zarówno do wyciągania wody z rzeki, jak i do wożenia drewna. Ludność miasta to Rosjanie (mieszczanie i kupcy), Jakuci oraz osiedleńcy i raskolnicy (skopcy) zesłani tutaj na mocy nakazu administracyjnego. Ci ostatni są bardzo pracowici i prowadzą się bardzo przykładnie. Rdzenni Jakuci są bardzo leniwi, niechlujni, nieżyczliwi i chciwi. Jako wioślarze są roztropni i śmiali, ale nudzą się pasażerowi swoimi śmiesznymi sygnałami, które dają za każdym razem, gdy zbliżają się do stacji pocztowej, żeby zawołać na brzeg woźniców. Ich sygnały to ciągle krzyczenie „aaa...u” powtarzane bez ustanku. Pierwszy sygnał daje sternik, a za nim wszyscy troje krzyczą to przeciągłe „aaa...u”. to ostatnie „u” jest wymawiane bardzo głośno i w sposób przerywany, jakby wystrzałem ze strzelby i kończy się słowami: „dawaj woźniców!”.

Na ulicy jest strasznie brudno, a chłód i wilgoć sprawiły, że straciłem wszelką ochotę na spacer po mieście. Trzy dni siedzę w mieszkaniu, nie wychodząc i patrząc przez okno na Lenę, zastanawiając się, jakie niespodzianki szykuje ona dla mnie w drodze do Jakucka, do którego stąd 700 wiorst.

21 wrzesień 1874 r.

Sam sobie nie mogę uwierzyć, że płynąc łodzią niepełną dobę, można było zrobić 132 wiorsty. Taka odległość jest pomiędzy Olekiminskim a stacją pocztową w Czekursku, do której przybyłem o 10:30 rano i gdzie zatrzymałem się na krótki czas, żeby zaopatrzyć się w jakiś prowiant. Dzisiejszy dzień, podobnie jak wczorajszy, był słoneczny, lecz chłodny. O godzinie 11 zaczął wiać wiatr, który wzburzył Lenę, pół godziny temu jeszcze nieruchomą i błyszczącą jak lustro. Wioślarze śpiewali swoje piosenki (jakuckie improwizacje) i korzystając ze sprzyjającego wiatru, mknęli jak strzała do następnej przydrożnej stacji, gdzie mieli zostać zmienieni przez kolejnych. Trzeba nadmienić, że Jakuci śpiewają swoje pieśni nie do rymu, a przy tym nie są one dobrze wyuczone. Po prostu w natchnieniu, które wzbudza u nich wszelki przyciągający uwagę przedmiot, działający na ich wyobraźnię, jak na przykład skała o dziwacznej formie, rozłożyste i wysokie drzewo, orzeł, jeleń przepływający przez rzekę z jednego brzegu na drugi, a w końcu miejscowość, która spodoba im się bardziej niż inne. Ku chwale tych zjawisk układają pieśń, śpiewając ją półgłosem, smętną recytacją, co wprawia słuchacza w nastrój melancholijny. Tym razem moich wioślarzy natchnęła oczekiwana przez nich burza. Pieśń, którą przetłumaczył jeden z nich była następującej treści: „Lena się przebudziła, Lena jest niezadowolona, że rozbudzili

ją wiosłarze; Lena zaczyna rozplatać swe mokre warkocze; wiatr przeskadza Lenie; Lena szybko się gniewa, widać jak posiniała: wiatr się śmieje, śmieje się, śmieje i otworzywszy paszczę, wieje Lenie prosto w oczy; wkrótce wiatr zawyje na wszystkie dzikie głosy; zaraz Lena wpadnie w szal; wkrótce nastanie bieda; no! drogi (towarzyszu), zgodnie! No! Drogi, silniej uderz wiosłami i...basta!”.

Jest 6 wieczorem. Zrobiłem zaledwie dwa odcinki pocztowe ze stacji Czekurskaja z powodzeniem i szybko dzięki wysiłkowi wiosłarzy i pomyślnemu wiatrowi wiejącemu, kiedy w końcu sprawdziły się przewidywania Jakutów i nastąpiła burza.

25 wrzesień 1874 r.

O 10 rano przybyłem do stacji pocztowej do wsi Bestachskaja leżącej 130 wiorst od Jakucka, zrobiwszy cztery odcinki z tymi samymi wiosłarzami, których wynająłem we wsi z następującego powodu. Ze stacji pocztowej Batajemska do wsi Bestachskaja można przepłynąć tylko pięć odcinków rzeką, pozostałe pięć do Jakucka trzeba jechać łądem wozem, ponieważ stacje pocztowe są oddalone od brzegu o 10-15 wiorst. Im bliżej Jakucka, tym Lena staje się szersza i pojawiają się na niej niewielkie trawki. Wygląd gór także się zmienia: nie są już one skaliste lecz uformowane z gliny, a składają się jak gdyby z najdrobniejszego białego piasku, którym są pokryte brzegi rzeki. Góry ciągną się po prawej stronie Leny i jeśli spojrzeć z oddali, sprawiają wrażenie białych piramid stojących jedna przy drugiej w linii prostej, lecz jeśli by się zbliżyć, to okazuje się, że to nic innego jak grzbiety górskie stojące prostopadle do Leny. Przednia ich część jest całkowicie obnażona, biała i nie tak twarda jak kreda czy wapń. Wyglądają bardzo pięknie. Boki grzbietów porasta las świerkowy z domieszką młodej brzozy. Lewa strona Leny jest nizinna, pokryta białym piaskiem, którego w dużej odległości od brzegu nie porasta żadna roślinność. Takie miejsce można spotkać tylko w drodze do Bestachowskiej stacji pocztowej; lecz kilka wiorst dalej fizjonomia terenu zaczyna się zmieniać i płaski, lewy brzeg stopniowo staje się pagórkowaty. Pierwsze góry stoją rzędem wzdłuż brzegu i wydają się wielkimi, kamiennymi ścianami o wysokości nie więcej jak 15-20 sążni i tak bardzo pochylone do przodu, że nieprzyjemnie było koło nich płynąć ze strachu, żeby się nie zwały. Ściany ich były białe i jakby zbudowane z grubych cegieł. O 7 wieczorem zatrzymaliśmy się na brzegu, na przeciwko osady Pokrowskiej leżącej 84 wiorsty od Jakucka, a od nas mniej niż wiorstę. Usłyszeliśmy dźwięk dzwonu oraz szczekanie psów. To połączenie dźwięków pochodzących z różnych źródeł obudziło w mojej piersi najbardziej radosne uczucia, jakich doznałem po raz pierwszy, płynąc od Olekiminska po pustynnych przestrzeniach, gdzie można było widzieć w górze tylko skłon niebieski, na dole – wodę, a po bokach – milczące skały i posępna tajgę. Jeśli wziąć pod uwagę prawie codzienne burze, to łą-

two sobie wyobrazić, w jakim stanie ducha znajdował się nieszczęsny podróżnik narażony stale na te niepokojące zjawiska. Czy można się tedy dziwić, że nawet psie szczekanie przypominało mu wtedy słowiczy śpiew przypominający żywy świat?

26 wrzesień 1874 r.

O 11 rano znajdowałem się 30 wiorst od Jakucka i byłem gotowy spierać się z każdym, że na pewno pożegnam się z Leną, kiedy nagle spotkał mnie nieoczekiwany postój. Po przepłynięciu niecałych trzech wiorst wiatr pchnął moją łódź na mieliznę, skąd nie mogłem się wy dostać aż do 11 w nocy. Już z samego rana wiał nieustannie chłodny wiatr, który nie pozwalał nam przepłynąć więcej niż 4 wiorsty na godzinę. Większych fal nie było, które jak już zauważyłem zawsze były zwiastu nami burzy, więc nic nie szarpało łodzią. Szła ona płynnie, w ogóle nie kiwając się na boki. Nagle w samo południe zerwała się burza. Płynęliśmy w tym czasie w odległości 50-60 sążni od brzegu, ku któremu wio ślarze w tym czasie skierowali łódź, lecz, przy wszystkich swoich wysił kach w ciągu całej godziny, nie mogli do niego przycumować. Pozostało nam jedno: skierować łódź na mieliznę i tam oczekiwać końca burzy. Łódka była ustawiona w takim kierunku, że wiatr uderzając w jeden z jej boków, z każdą minutą groził przewróceniem bądź rozbiciem. Wioślarze zrobili z drągów podpory przeciwne do kierunku wiatru, ale i te mały przyniosły pożytek i prawie że rozbiły cienką ściankę kajuty, wciskając się w nią przy każdym silniejszym porywie wiatru. Do tego okazało się, że nie mamy ani kawałka chleba, nie mówiąc już o innych produktach, gdyż uznałem, że zaopatrywanie się w nie jest zbędne, skoro znajdowałem się tak blisko miasta, a poza tym, i tak nie było skąd ich wziąć. To pustynne miejsce, od którego góry odsunęły się na kilka wiorst, sprowa dza na człowieka straszny smutek. Lena w tym miejscu jest bardzo szeroka, a jej brzegi lekko pochyłe. Na dużą odległość od brzegów rzeki, na ile można było ogarnąć okiem, widać było tylko biały piasek i wodę; wo kół była tylko martwa cisza, niezakłócona nawet lotem ptaków.

27 wrzesień 1874 r.

Wreszcie o 5 rano udało się nam odbić się od mielizny, na której spędziliśmy około 17 godzin o chłodzie, głodzie i bez snu. Burza ucichła o 4 rano, ale wiatr jeszcze trwał, nie zmieniając swego kierunku, i wiał nam naprzeciw, spowalniając podróż. Moja łódź jednakże sunęła do przodu, nie napotykając na żadne przeszkody ze strony Leny, spoczywając spokojnie w swoim korycie wśród głębokich piasków. Im bliżej Jakucka, tym chłód doskwierał bardziej, a 12 wiorst od niego zauważyłem na rzece lód ciągnący się wąskim pasmem wzdłuż lewego brzegu, w pobliżu którego płynęliśmy. Oceniając po dzisiejszym chłodzie i zamrzniętej ziemi, przypuszczam że w tym miejscu temperatura obniżyła się do 5 stopni. Oba brzegi rzeki są dość wysokie, a za nimi rozciąga się wzdłuż płaski, równy teren

pozbawiony wszelkiej roślinności, z wyjątkiem niewielkich krzaczków rozrzuconych małymi grupami w dużej odległości od siebie. Płynąc wciąż w pobliżu brzegu, nie zauważyłem jak w południe moja łódź zatrzymała się na przystani, z której widać było tylko wieże cerkwi w Jakucku leżącym na równym terenie po lewej stronie Leny. O 3 po południu przyjechałem do miasta.

*Z języka rosyjskiego tłumaczyła
Anna Mrozowicka*

*

Tomasz Augustynowicz reprezentuje wszechstronny umysł podróżnika i badacza. Z wykształcenia lekarz, odwiedzający Syberię w celach zawodowych, okazał się także bystrym obserwatorem życia codziennego i obyczajów tutejszych plemion. Urodził się on w 1809 r. w Kokiszkach na Wileńszczyźnie, a zmarł w 1891 r. w Święcianach. Ukończył Wydział Medyczny na Uniwersytecie Wileńskim. Pracował jako lekarz w europejskiej części Rosji, gdzie opublikował prac z zakresu medycyny i botaniki W 1871 r. został oddelegowany na Sachalin wraz z komisją do zbadania warunków pracy katorżników dokąd udał się drogą lądową przez Syberię. Tam, jako pierwszy z Polaków, poczynił obserwacje etnograficzne wśród Giliaków, Oroczonów i Ajnów. W latach 1874-1876 przebywał w Jakucji będąc członkiem ekspedycji lekarskiej, gdzie zebrał materiały etnograficzne o tamtejszych plemionach (Czukczach, Jakutach, Tunguzach, Jukagirach). W 1878 r. w Moskwie odbyła się wystawa zebranych przez niego strojów tych ludów.

T. Augustynowicz przemierzył Syberię wzdłuż i wszerz, czego owocem było kilkanaście artykułów, korespondencji oraz sprawozdań poświęconych tematyce etnograficznej, geograficznej oraz przyrodniczej. W rosyjskiej literaturze naukowej został nazwany „jednym z pierwszych pionierów wyspy Sachalin i okręgu jakuckiego”. Wprawdzie autor tego artykułu nie był zesłańcem zdecydowaliśmy się jednak na opublikowanie jego relacji z Jakucji bowiem potwierdza ona raz jeszcze, że w epoce zaborów Polacy kończący uczelnie na terenie Imperium Rosyjskiego często podejmowali pracę w odległych rejonach Syberii. Ponadto Jakucja znana jest przynajmniej części czytelników „Zesłańca” z okresu zesłań i deportacji w latach 1940-1941 i być może odnajdą oni w tym artykule jakieś interesujące wątki z ich jakuckiego „domu niewoli”.

Tłumaczony tekst pochodzi ze zbioru: F. M. Augustynowicz, *Жизнь русских и инородцев на острове Сахалин*, przygotowanego przez W. M. Łatyszewa, Južno Sachalińsk 2007. Redakcja dziękuje mu za wyrażenie zgody na przedruk i tłumaczenie tekstu na język polski. Pierwotnie opublikowany on został w zbiorze „Drewnaja i Nowaja Rossija”, 1880, tom XVIII, s. 641-733, pt. *Tri goda w siewiero-wostocznoj Sibiri za poliarnym krugom*.

Anna Mrozowicka

ADAM CZESŁAW DOBRŃSKI

RAPORT O POLAKACH NA POŁUDNIU KAZACHSTANU

Sprawozdanie z podróży służbowej na trasie Kujbyszew – Taszkient – Alma Ata – Dżambul – Czymkent – Kujbyszew odbytej w dniach 22 stycznia – 7 marca 1942 roku przez attaché Ambasady RP – Andrzeja Powierzę, nie jest tekstem w ogóle nieznanym, ale z pewnością nie zostało należycie docenione przez badaczy.¹ Raport zawiera bowiem wiele interesujących i miejscami zaskakujących spostrzeżeń i dobrze oddaje ówczesne kierunki działalności Ambasady RP w Kujbyszewie. Ciekawie zwłaszcza wypada konfrontacja tego tekstu z licznymi pamiętnikami polskich sybiraków. A. Powierza² wyjaśnił w pierwszym akapicie swego raportu, że jego zadaniem na terenie republik i obłasti południowych ZSRR było „przestawienie działalności opiekuńczej na nowe tory, zgodnie z przyjętymi przez Ambasadę zasadami realnej pomocy”, zorganizowanie nowo utworzonych delegatur lub przeorganizowanie wcześniej powstałych oraz przekazanie placówkom polskim wszelkich materiałów instrukcyjnych.

Ponadto chodziło o nawiązanie współpracy między delegaturami i miejscowymi władzami radzieckimi na podstawach uzgodnionych mię-

¹ Raport był tylko fragmentarycznie wykorzystywany przez badaczy, m.in. Daniela Boćkowskiego w monografii: *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Warszawa 1999. Korzystałem z powielonego tekstu raportu, przechowywanego w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie, sygn. B. 2691. Swój artykuł opublikowałem w książce pamiątkowej dedykowanej ks. prof. Tadeuszowi Krahelowi zatytułowanej *Mój Kościół w historię wpisany*, Białystok 2007, s. 75-97. Wersja niniejsza jest bardziej zbliżona do tekstu raportu, z uzupełnioną częścią I. Przekazuję ją do druku w „Zesłańcu” w przekonaniu, że trafi do znacznie szerszych kręgów odbiorców zainteresowanych tematyką sybiracką, a mam nadzieję, że i do tych członków Związku Sybiraków, którzy w owym czasie przebywali na zesłaniu w Kazachstanie lub podążali przez jego tereny ku wolności, jaką była formująca się Armia Polska pod dowództwem gen. Władysława Andersa.

² A. Powierza przybył do Moskwy w końcu sierpnia 1941 r. z grupą pierwszych pracowników etatowych Ambasady i objął stanowisko sekretarza.

dzy Ambasadą RP oraz Ludowym Komisariatem Spraw Zagranicznych (LKSZ)³ ZSRR w grudniu 1941 i styczniu 1942 roku. Do tego dochodziła również konieczność oceny rzeczywistego położenia ludności polskiej na południu ZSRR, z czym z kolei wiązało się zbadanie możliwości poprawienia sytuacji rodaków i zebrania doświadczeń (materiałów) z pracy terenowej do wykorzystania ich na innych obszarach działania Ambasady RP. Wysłannik Ambasady miał też przygotować przeprowadzenie na większą skalę akcji udzielenia doraźnej pomocy gotówkowej polskim ofiarom wywózek. A. Powierza nie zdołał objąć swym działaniem Republiki Uzbeckiej, na polecenie Ambasady przerwał pobyt w Taszkencie, a powierzchowne z konieczności uwagi z tego miasta zawarł w raporcie nr 1 z dnia 5 stycznia oraz w raporcie o kwestiach personalnych z dnia 1 lutego 1942 roku.

C z ę ś ć I

1. Ałma-Ata (4 – 10 II)

A. Powierza rozpoczął objazd południowych obszarów Kazachstanu od miasta stołecznego Ałma-Aty uważając za celowe poczynienie tam uzgodnień z władzami Republiki i uzyskać od nich wsparcie przed rozmowami w Dżambule i Czymkencie.⁴ W stolicy Kazachstanu miał dwa spotkania ze Smirnowym, przedstawicielem LKSZ i jedno z wicepremierem Babkinem. Ze strony polskiej brał w nich udział również delegat Ambasady RP w Ałma-Acie, Kazimierz Więcek. Dokładny przebieg rozmów został zawarty w trzech protokołach dołączonych do omawianego raportu.

Rozmowy odbyły się w życzliwej atmosferze. Polacy dla pozyskania gospodarzy wyrażali się pozytywnie o stosunku centralnych władz radzieckich⁵ do problemu opieki nad naszymi rodakami. Z kolei Smirnow zaproponował K. Więckowi spotkanie z zastępcą przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Republiki Kazachskiej w celu ustalenia rozwiązań wprowadzanych następnie w całej republice, na terenie której znajdowało się wówczas 7 delegatur. Babkin zachęcał ponadto Polaków do nawiązania kontaktów resortowych, w tym z poszczególnymi ministrami. Ogólne wnioski A. Powierzy brzmiały następująco:

- Władze urzędujące w Ałma-Acie zdecydowane były, przynajmniej na razie, podejść szczerze do problemów polskich i udzielić naszym obywatelom pomocy w ramach określonych przez władze centralne.
- Gospodarzom było na rękę zalegalizowanie polskiej delegatury w Ałma-Acie („którą dotąd mogły w najlepszym razie tylko tolerować”), by zyskała ona do pewnego stopnia charakter nadrzędny wobec in-

³ Autor używał tylko skrótu: Narkomindiel.

⁴ W raporcie i w znacznej części opracowań: Czymkient.

⁵ Takiej terminologii używał w analizowanym sprawozdaniu A. Powierza, tylko sporadycznie pojawiał się przymiotnik „sowiecka”.

nych delegatur na terenie Kazachstanu (obawiano się wcześniej, że taki punkt widzenia może budzić opór władz centralnych ZSRR). Delegatura w Alma-Acie miała otoczyć opieką rodaków przebywających w rejonie almaackim (tu już istniało 7 rejonów) i w całej Republice Kirgiskiej, gdzie dopiero trwało organizowanie sieci mężów zaufania na zasadach zaakceptowanych przez Ambasadę telefonicznie w dniu 10 listopada. Prace te najbardziej były zaawansowane w mieście i rejonie Frunze. Smirnow oświadczył, że przybycie A. Powierza przyjmuje jako gest Ambasady podkreślający znaczenie Kazachstanu w dziele poprawienia sytuacji ludności polskiej.

A. Powierza, uwzględniając trudne warunki pracy delegatury almaackiej, oceniał pozytywnie osiągnięcia tamtejszego nielicznego personelu. Wciąż brakowało odpowiedniego lokalu, utrudniony był kontakt z własnymi obywatelami i wysłannikami w terenie, nie obsadzono stanowiska zastępcy delegata Ambasady RP. K. Więcek został paradoksalnie zganiony przez zwierzchnika za nie rozkładanie wysiłku i „tendencję do brania zbyt wiele na siebie, na czym cierpią tak jego własne siły, jak i praca.”⁶

Wysłannik Ambasady nie mogąc dotrzeć osobiście do rejonu ilijskiego (podejrzał, że wynikało to z chęci władz „odcinania” go od terenu) przesłał list na ręce działającego tam męża zaufania. Przypomniawszy w nim o strasznej klęsce Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 roku (nie wymieniając jej sprawców), ale również o trwającej walce narodu i państwa polskiego, o dokonaniach lotników i marynarzy, bojach na terenie Francji, pod Narwikiem, w obronie Tobruku. Walczyła również „milionowa rzesza ludzi wyzutych z ojcowizny”, rzuconych bez ich woli na Wschód i była to walka o utrzymanie się przy życiu oraz polskości. Powierza poinformował rodaków o udzielanej pomocy: w uzyskaniu pracy, sprawowaniu opieki nad osobami niezdolnymi do pracy, dziećmi i starcami, chorymi. I choć działania te nasilały się dzięki pożyczce uzyskanej od władz radzieckich i darom napływającym z zagranicy, to nadal była to kropla w morzu potrzeb. List kończył się radą, by nie żądać zbyt wiele, liczyć jak dotychczas przede wszystkim na siebie. Najważniejsze jednak, by nie upadać na duchu: „pomnijcie na górną i chmurną przeszłość narodu polskiego, który tyle burz dziejowych przetrwał i nie załamał się. I niech przed oczyma Waszymi stanie obraz Polski Dzisiejszej, cierpiącej, lecz walczącej, Polski, która nie zginęła i nie zginie.”⁷

2. Dżambuł (13 – 19 II)

Pomimo licznych trudności delegatura tu ulokowana funkcjonowała stosunkowo niezłe, zwłaszcza miała dobre relacje z władzami. Paradoks polegał na tym, że formalnie delegatura ta dotychczas podlegała almaackiej, przy czym podpisy K. Więcka przebywającego w stolicy Ka-

⁶ *Sprawozdanie...*, s. 2. A. Powierza użył określenie, że stanowisko zastępcy delegata powinno być „obsadzone bardzo mocno”.

⁷ Zał. nr 4 do *Sprawozdania...* Autor „dyplomatycznie” nie wspomniawszy, kto był drugim agresorem w 1939 roku.

zachstanu nie były tam honorowane miały jednak moc w Dżambule. Jednak pomoc świadczona przez delegaturę dżambulską A. Powierza uznał za nieracjonalną i nie sięgającą głęboko w teren. Była to zdaniem kontrolującego działalność typowa dla placówek wspierających jedynie rodaków w codzienności, nie wiążących ich ze stałą pracą. Sciągano – napisał autor raportu – zesłańców polskich do „magazynu pomocy i stołu zapomóg”, nie zastanawiając się, co będzie dalej. Dotychczasowy delegat Kazimierz Łęczyński miał dużo dobrych chęci i spory zasób doświadczeń, narzekał natomiast na brak instrukcji, pieniędzy i oficjalnego uznania przez władze radzieckie. Przyjazd następcy, pułkownika Feliksa Dziewickiego, z liczną rodziną i kilku nowymi pracownikami, też nie wywołał oczekiwanej zmiany. On bowiem nie miał żadnego doświadczenia w pracy społecznej, a ponadto zachodziła obawa, że z racji swego zaawansowanego już wieku nie będzie dość ruchliwy. Powierza miał nadzieję, że F. Dziewickiego wesprze jego zastępca Łęczyński, trzeci zaś filar tej delegatury (p. Poloczek) też nie dawał gwarancji na działanie dynamiczne, więc miał go zastąpić Zaufall. Zwołani na odprawę mężowie zaufania zrobili na A. Powierzy mieszane wrażenie, z czego wynikła sugestia, by część ich wymienić, gdy tylko znajdą się bardziej odpowiedni kandydaci. Za szczególnie newralgiczną placówkę uchodziła ta w miejscowości Ługowaja, o której spieszne obsadzenie prosił dowódca miejscowej 10 Dywizji Piechoty.⁸

Stosunek władz radzieckich w Dżambule do polskiej placówki był „raczej dobry”, nie kończyło się tam na obietnicach słownych („czasem idą na rękę, w przeciwieństwie do wielu innych, pozornie życzliwych urzędów”). Gorzej bywało w niektórych innych okręgach i rejonach, więc A. Powierza w trakcie spotkania z przewodniczącym wykonawczych władz obwodowych (*oblispolkomu*) i jego zastępcami złożył ustne oświadczenie, zaprezentowane już wcześniej w Ałma-Acie. Autor komentował w nim porozumienie podpisane 23 grudnia 1941 r. między Ambasadą RP a Ludowym Komisariatem Spraw Zagranicznych („opieka nad obywatelami polskimi weszła w nową fazę”) i dowodził, że przyjęte wówczas ustalenia w zakresie opieki nad Polakami wymagają wsparcia ze strony miejscowych władz radzieckich. „Bez tej współpracy, w jak najszerszym znaczeniu tego słowa, opieka ta jest niemożliwa i pozostałaby fikcją, jaką niejednokrotnie była dotychczas.” Jednym zaś z celów „jest stworzenie dla ludności polskiej takich warunków, w których mogliby oni egzystować i być pożytecznymi dla kraju, w którym przebywają, a który niewątpliwie potrzebuje ich pracy na rzecz wysiłku wojennego”. Kryje się za tym – pisał wysłannik Ambasady – zamysł rządów polskiego i radzieckiego stworzenia po wojnie „prawdziwej przyjaźni

⁸ Do m. Ługowaja Powierza skierował Stefanowicza. Pomijam w dalszej części artykułu nazwiska osób ze składu delegatur, jeśli były one wymienione w raporcie tylko w związku ze zmianą miejsca pełnienia swych obowiązków.

między naszymi narodami, przyjaźni – której podstawy budujemy dzisiaj.” Aby jednak „polityka rządów harmonizowała z wolą narodu, należy stworzyć dla miliona obywateli polskich, przebywających na terytorium Związku Radzieckiego, takie warunki, w jakich mogliby oni zapomnieć o krzywdach, jakie spotkały ich na tych ziemiach, na których znaleźli się wbrew ich woli, na skutek wypadków wojennych. Przeświadczenie bowiem, z jakim ludzie ci powrócą do Polski, stać się musi przeświadczeniem i stanowiskiem całego narodu polskiego.”⁹ Trudno ocenić, na ile autor wierzył w powojenną „prawdziwą przyjaźń” między „naszymi narodami”, a na ile traktował zaistniałą sytuację w wymiarze taktycznym, bo trzeba było wykorzystać każdą nadarżającą się okazję do ratowania ginących rodaków. Zręcznie w ten tekst wkomponowana została kwestia rekompensat za krzywdy poniesione przez obywateli II RP zesłanych „wbrew własnej woli”, a z jeszcze większą finezją A. Powierza wprowadził wątek narodowych ocen historycznych po zakończeniu wojny.

Na takie dobrze przygotowane wystąpienie reprezentanci gospodarzy odpowiedzieli, że otrzymali właśnie z Moskwy ścisłą instrukcję w sprawie polskiej, którą uważają za początek okresu nowej współpracy. Obiecali jednocześnie udzielić delegatowi Ambasady RP wszelkiej dalszej pomocy. A. Powierza poruszył w tym kontekście jeszcze jedną bardzo ważną kwestię, czyli konieczność stworzenia możliwości osadniczych dla ludności polskiej, która wiosną napłynie na tereny południowe ZSRR. W trakcie rozmowy doszło też do charakterystycznej polemiki słownej. Na uwagę ze strony gospodarzy, że nie wszyscy obywatele polscy zasługują na pomoc, gdyż część z nich łamie prawo (była to aluzja do stwierdzonych wypadków rozboju i kradzieży) padła odpowiedź: obywatele ci w Polsce nie byli przestępcami i gdyby mieli pracę i zarobki w kraju, który ich do siebie ściągnął, to nie musieliby kraść.¹⁰ To jeszcze jeden dowód na potwierdzenie umiejętności prowadzenia gry politycznej przez wysłannika Ambasady RP oraz znajomość mentalności „aparatchków” sowieckich.

A. Powierza złożył w Dżambule również wizytę sekretarzowi obwodowego komitetu partii oraz tow. Buczenko, kierownikowi „Ewaku punktu” i członkowi Rady Najwyższej Republiki Kazachskiej. Ten drugi zasługiwał na szczególne uznanie, bo okazał serce ratując życie obywatelom polskim. Mówiąc o niedoli Polaków miał łzy w oczach. Gdy Polak wspomniał mu o rozpoczęciu w pełni oficjalnej pracy delegatury w Dżambule, Buczenko machnął ręką i powiedział: „My z Łęczyńskim robiliśmy swoje już od dawna, nie oglądając się na paragrafy”. Niestety,

⁹ *Sprawozdanie...*, s. 4 i zał. nr 1. Autor umiejętnie użył argumentu w postaci polskich zasobów siły roboczej, coraz bardziej potrzebnej do zastąpienia miejscowych mężczyzn mobilizowanych do armii.

¹⁰ *Sprawozdanie...*, s. 4. Powierza dodał: „Odniosłem wrażenie, za go to zastanowiło”.

wieść głosiła, że miał on odejść na nowe stanowisko do Ałma-Aty. Przypadek ten zachęca do poszerzonych badań nad postawą władz sowieckich, w tym zwłaszcza terenowych, wobec polskich zesłańców. Nie można poprzestać jedynie na zapisach pamiętnikarskich mówiących o totalnej wrogości wobec ludności polskiej funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, środowisk partyjnych, władzy wykonawczej.

A. Powierza wyjechał z Dżambułu w przekonaniu, że praca została tu postawiona na dobre tory, konieczna jednak będzie kontrola za parę miesięcy i niezbędne jest dalsze „zbliżenie Ambasady do terenu i terenu do Ambasady”, co można osiągnąć poprzez osobiste kontakty, bo jedynie one stanowią gwarancję wyrobienia obiektywnych ocen. Następna podróż inspekcyjna musiałaby jednak ograniczyć się niemal wyłącznie do spotkań z personelem placówek polskich, gdyż interwencje z upoważnienia Ambasady RP u władz okręgowych i republikańskich budziły zastrzeżenia sowieckich urzędów centralnych. Co się tyczy delegatury dżambulskiej, to A. Powierza przyjął zapewnienia pułkownika F. Dziewickiego, że dołoży on starań (da z siebie maksimum wysiłku), aby jak najszybciej podjąć swoje obowiązki, których wagę rozumie. Zakładał jednak pilne śledzenie prac delegata i wytykanie mu błędów, które ten zwłaszcza w pierwszym okresie niewątpliwie popełnił. Nie ma wątpliwości, że A. Powierza był bardzo surowym w ocenie współpracownikiem, ale wynikało to nie z cech charakteru a realizmu w ocenie sytuacji i skali zadań czekających personel podległy Ambasadzie RP.

3. Czymkent (20 II – I III)

W delegaturze południowo-kazachstańskiej panował stan dezorganizacji, na co złożyły się następujące przyczyny: brak właściwego kierownika (Antoni Zaleski okazał się zbyt młody i nie dość doświadczony, choć wykazywał dużo dobrych chęci), zdziśiatkowanie kierownictwa przez epidemię tyfusu, personel doraźnie zebrany i bez kwalifikacji, wadliwa struktura sieci terenowej. Część mężów zaufania została mianowana w Ałma-Acie i w ogóle nie skontaktowała się z delegaturą z Czymkencie. Obowiązek uzdrowienia sytuacji personalnej A. Powierza przekazał Bohdanowi Kościałkowskiemu i wyznaczył dwóch kandydatów na stanowisko zastępcy delegata. Na odprawę przyjechało jedenastu rejonowych mężów zaufania. Niektórzy na dotarcie do Czymkentu stracili 5 dni, a w sumie musieli przeznaczyć na to przedsięwzięcie 2 tygodnie, co potwierdzało skalę trudności związanych z przemieszczaniem się po rejonach południowego Kazachstanu. Dla wielu z nich był to dopiero pierwszy kontakt z delegaturą, a kilka rejonów pozostawało bez obsady. Jednego z mężów zaufania trzeba było przesunąć w inne miejsce ze względu na jego zatargi z lokalnymi władzami.

Wysłannik Ambasady RP odbył w Czymkencie również rutynowe spotkania z przedstawicielami miejscowych władz, w tym i NKWD. Ich

stosunek do problemu opieki nad naszymi rodakami A. Powierza uznał za „dotąd raczej niechętny”, część jednak winy za taki stan mógł ponosić i delegat polski, który z powodu braku formalnego uznania nie nawiązywał kontaktów, jak czynił to delegat w Czambule. A. Powierza nie tracił jednak optymizmu oceniając, że następowała jednak i tu poprawa dzięki instrukcjom nadchodzącym z Moskwy przez Ałma-Atę. Nadzieja potrzebna była więc nie tylko sybirakom walczącym o przetrwanie, ale także tym, którzy mieli zorganizować im szybką pomoc.

Część II

1. Statystyka¹¹

Wygnańcy polscy rozmieszczeni byli w południowej części Kazachstanu w pasie równoleżnikowym długości 800 i szerokości 200 km. Według szacunków przytoczonych przez A. Powierzę, w marcu 1942 roku ludność polska liczyła na terenie obwodu ałmaackiego około 5 tys. osób, natomiast w obwodzie dżambułskim znajdowało się około 35 tys. naszych obywateli, a w południowo-kazachstańskim (czymkenckim) – około 21 tysięcy. Ponadto delegatura w Ałma-Acie miała opiekować się 22 tysiącami (dane nie sprawdzone) rodaków zamieszkałych w Republice Kirgiskiej, a delegatura z siedzibą w Czymkencie 8 tysiącami osób (dane pewne) zamieszkałych w obwodzie kyzylordyńskim. Nie wiadomo jeszcze, jaki procent tutejszych Polaków zaciągnie się do wojska, a z drugiej strony, jak liczny będzie napływ nowych uchodźców z północy. Większość z wymienionych około 69-70 tys. obywateli II RP znalazła się w południowym Kazachstanie wskutek przymusowej (październik – listopad 1941 r.) oraz dobrowolnej reewakuacji z Republiki Uzbekistańskiej, reszta zaś napłynęła z kierunków północnych od października 1941 do stycznia 1942 roku. W miesiącu lutym 1942 roku migracja Polaków z terenów północnych znacznie osłabła, nie przybywało wówczas więcej jak kilkadziesiąt osób tygodniowo. Natomiast wraz z wiosną ruch znów się wzmógł, szlakami z Nowosybirsk i z Czkałowa napływało tygodniowo ponad 500-800 Polaków. Transporty korzystające z linii czkałowskiej składały się głównie z obywateli II RP wywiezionych ze stron rodzinnych do obwodów archangielskiego i wołogodzkiego oraz z Republiki Komi. Liczyły one przeciętnie po kilkaset osób i były bardzo źle zaopatrzone na tak długą podróż, a polskie placówki znajdujące się „przy tra-

¹¹ W raporcie A. Powierza wydzielił w części II następujące działy i podrozdziały: Dane o stanie ludności polskiej (jako wstęp). Praca (kolchozy, sowchozy, sadownictwo i warzywnictwo, przemysł i kopalnictwo, myślistwo i rybołówstwo, artele. Warunki mieszkaniowe. Żywność, pomoc w naturze. Stan odzieżowy. Stan zdrowotny. Opieka nad dzieckiem. Opieka nad starcami i inwalidami. Akcja nadzwyczajnej pomocy społecznej. Działacze terenowi, stosunek władz sowieckich. Stan duchowy. Niestety, niektóre z działów zostały ledwie naszkicowane i wiele wątków powtarza się, co sprawiło, że wprowadziłem swój podział.

sie” nie mogły dostarczyć im żywności w dostatecznej ilości. W transportach tych znajdowało się wielu chorych, m.in. na tyfus, a co najmniej kilka osób w każdym eszelonie umierało w drodze. Zachodziła obawa, że w nadchodzących miesiącach sytuacja może wymknąć się spod kontroli władz, jak miało to miejsce od października do grudnia ubiegłego roku. Obawiano się skokowego wzrostu liczby rodaków na ziemiach objętych działaniem delegatur w Ałma-Acie, Dżambule i Czymkencie.

Dane ze sprawozdania A. Powierzy pozostają w zgodzie z innymi szacunkami przytaczanymi w literaturze przedmiotu. Nieco tylko zawyżona (o 3-4 tys. osób) była liczba Polaków w obwodzie południowo-kazachstańskim (Czymkent). Sytuacja jednak szybko się zmieniała.¹²

2. Stosunek Polaków do pracy w kołchozach

Około 80% cywilnej ludności polskiej z terenów południowego Kazachstanu przebywało zimą z 1941 na 1942 r. w kołchozach. W miastach w tym czasie gromadzili się głównie polscy Żydzi, zmuszeni do sprzedaży posiadanych jeszcze cenneści i do spekulacji, co z kolei wywoływało nastroje antysemickie. Rodacy żyjący w kołchozach najczęściej nie mieli przed wojną związków z rolnictwem i okazywali negatywny stosunek do narzucanej im pracy. A. Powierza nie miał wątpliwości, że takie nastawienie trzeba koniecznie zmienić i jest to „pierwsze zadanie” Ambasady RP oraz osób z nią współpracujących.¹³ Nie dziwiły go przyczyny takiej postawy rodaków, od „czynnika niefachowości” poczynając. Co gorsze, osadzenie kilkuset tysięcy obywateli polskich w kołchozach na obszarze republik południowych ZSRR miało miejsce już po zakończeniu sezonu roboczego 1941 roku, zatem nie dawało realnych szans na uzyskanie lepiej honorowanej pracy i szybką jej „rozpłatę”. Okazać się miało, że mobilizacja do wojska Kazachów i Uzbeków zaczęła się dopiero wiosną 1942 roku, nawet więc w lutym i marcu 1942 roku kołchozy nie odczuwały braku rąk do pracy. Tryb zaś osiedlania się polskich zesłańców cechowały chaos i gwałtowność. Docierali oni do nowych miejsc zamieszkania w bardzo złym stanie zdrowia, wyczerpani fizycznie, nawet więc po zatrudnieniu nie mogli pracować intensywnie. I co najważniejsze, wielu rodaków uwierzyło w szybką ewakuację z ZSRR a do tego czasu w skuteczną pomoc gotówkową i w naturze ze strony placówek podległych Ambasadzie w Kujbyszewie. Ci odnieśli się zdecydowanie negatywnie do pracy w kołchozach, przyjmując jako „jedyne rozwiązanie” czekanie na zasadniczą odmianę ich położenia.

A. Powierza powtarzał, że taka postawa jest nieporozumieniem, koniecznością pozostaje podjęcie pracy, bo tylko ona może być „jedyną real-

¹² S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946. Zesłańcy lat wojny*, Wrocław 1996, s. 49-50.

¹³ *Sprawozdanie ...*, s. 7. Ten motyw wracał wielokrotnie w analizowanym tekście, autor uważał go za najważniejszy i zarazem najtrudniejszy.

na podstawą egzystencji” i taki stan utrzyma się jeszcze przez czas dłuższy. Z tej prawdy wypływał nakaz uświadomienia rodakom, że „żadne decydujące zmiany w ich położeniu nie zajdą w ciągu najbliższych miesięcy i że, aby żyć, muszą pracować sami na siebie, choćby nawet w trudnych i obcych im warunkach, gdyż o żadnym wyjeździe zagranicę nie może być mowy, a pomoc ze strony rządu polskiego przeznaczona jest w pierwszym rzędzie dla dzieci i tych, którzy rzeczywiście nie są zdolni do pracy, względnie dla tych, którym umożliwi ona podjęcie pracy.”¹⁴

Autor był przekonany, że nie tylko chłopci i osadnicy rolni mogli sprostać oczekiwaniom władz kołchozowych. Zdarzało się, że i osoby nie związane wcześniej z pracą na roli po krótkim okresie przejściowym osiągały 2/3 normy w pracach na plantacjach bawełnianych. Sprawą więc kluczową było poważne traktowanie obowiązku pracy, a wówczas zmieniłby się zdaniem piszącego i stosunek pozostałych kołchoźników do naszej ludności. Opinię najgorszą mieli ponoć polscy Żydzi, którzy przewodzili w ucieczkach z kołchozów i byli określani mianem „putiesestwienników” (podróżników). Z tej przyczyny nie chciano ich w ogóle zatrudniać, choć zdarzały się wyjątki, które wysłannik Ambasady skomentował słowami: „nawet ten element zdolny jest do przełamania się i przetrwania na roli ciężkiego okresu”.¹⁵ Postulował on także, by w rejonach, gdzie większość stanowili obywatele polscy narodowości żydowskiej, mężami zaufania, lub przynajmniej ich zastępcami byli właśnie przedstawiciele tej nacji.

Tam, gdzie większość wśród Polaków stanowił element chłopski i osadniczy – na przykład 75% w rejonie dżuwalińskim obwodu południowo-kazachstańskiego – sytuacja rodaków była bardziej ustabilizowana. I nie chodziło tylko o to, że chłopci byli bardziej predestynowani do pracy na roli, ważne okazało się ich „przyłgnięcie” od pierwszej chwili do nowego miejsca pobytu, wyciąganie maksimum korzyści z tej przymusowej sytuacji. A. Powierza nie miał jednak złudzeń, że „propaganda pracy w kołchozach” w ciągu paru tygodni czy miesięcy zachęci inteligencję polską do pracy na roli.

Autor sprawozdania starał się zrozumieć racje gospodarzy, co tak bardzo różni jego zapis od wspomnień polskich sybiraków okresu II wojny światowej. Nie potępił wprost, ale i nie „rozgrzeszał” rodaków znikających z kołchozów po zaliczkowym pobraniu produktów, o które z reguły starał się wcześniej mąż zaufania. Tymczasem dowództwa niektórych formujących się dywizji polskich zmuszone były kierować do kołchozów na pewien czas część poborowych, bo w obozach wojskowych brakowa-

¹⁴ *Sprawozdanie...*, s. 8 i następne. Wyczuwało się w tych fragmentach tekstu zdziwienie i zniecierpliwienie.

¹⁵ *Sprawozdanie...*, s. 9. W wielu miejscach raportu pojawiają się wątki żydowskie. Autor starał się ich nie eksponować. Czy tylko ze względu na słabsze kontakty i mniejszą wiedzę o tej części obywateli II RP?

ło kwater i żywności. Jeszcze bardziej bolała autora swoista beztroska obywateli II RP zamieszkujących w miastach. W jednym z nich delegatura załatwiła z trudem 150 miejsc pracy w browarze i te przez trzy tygodnie pozostawały nie obsadzone, choć szacowano, że bez stałych źródeł utrzymania pozostaje tam kilka tysięcy rodaków.

Sprawozdanie zawierało zalecanie następujących działań, inspirowanych przez Ambasadę RP:

- Uświadamianie drogą radiową, w prasie i wszelkimi innymi sposobami, jakie realne korzyści przynosi trwałe podjęcie pracy.
- Oddziaływanie w tym kierunku poprzez bezpośrednie kontakty z delegaturami i mężami zaufania.
- Bardziej kategorię ujęcie tej kwestii w nowej instrukcji dla delegatów i mężów zaufania.
- Opracowanie i rozesłanie do placówek terenowych ustaw sowieckich dotyczących zatrudnienia, przetłumaczonych na język polski.
- Zobowiązanie mężów zaufania do interweniowania w przypadkach naruszania prawa przez pracodawców.
- Stosowanie preferencji przy podziale pomocy w naturze i w gotówce na rzecz tych, którym „opłaci się” tej pomocy udzielić, czyli chcących pracować, ale pozbawionych środków na przykład na zakup butów lub pokrycie kosztów przejazdu do odległego kołchozu.

3. Warunki życia i pracy w kołchozach

Andrzej Powierza opisał czynniki stałe i zmienne wpływające na warunki pracy Polaków w kołchozach. Te przedsiębiorstwa rolne znalazły się w szczególnie trudnej sytuacji z powodu narzuconych im nadmiernych obciążeń na rzecz wojska. Żądano od nich wciąż większych dostaw produktów, likwidowania wszelkich zapasów. Kazachstan po utracie Ukrainy stał się podstawowym spichlerzem ZSRR, więc nakazano, by w niektórych kołchozach bawełnianych 60% gruntów przeznaczyć na zasiew ziarnem zbożowym. Tych faktów Polacy zdawali się nie dostrzegać. A prawdą było również, że położenie kołchozów znacznie pogorszyła i konieczność żywienia zimą – „choćby w skali głodowej” – znacznej ilości napływających obywateli polskich. Do tego doszły trudności transportowe, niedostatek taboru kolejowego i jego dezorganizacja oraz pobór koni. Obiektywnie rzecz ujmując, w okresie nieprodukcyjnym (przednówek) sytuacja kołchozów bawełnianych była jeszcze gorsza niż zbożowych, a te pierwsze dominowały przecież na południu Kazachstanu i w Kirgiskiej SSR. Dlatego i sytuacja ludności polskiej była szczególnie trudna w rejonach: frunzeńskim, turkiestańskim, saryagaczkim, karatańskim i bostandyńskim.

Trzeba było jak najszybciej przeprowadzić dokładną analizę we wszystkich rejonach, by dokonywać ewentualnych przemieszczeń ludności polskiej i zaplanować przybywanie kolejnych eszelonów. Kołchozy

stare, lepiej zagospodarowane i kierowane, położone na ziemiach urodzajniejszych, mogły nadal zapewnić naszym rodakom minimum egzystencji, natomiast w kołchozach biednych wszyscy cierpieli niedostatek, bez względu na narodowość i okoliczności zatrudnienia. Na przykład kołchoz „Bogatyj milionier” w obwodzie dżambułskim przyjął na jesieni 1941 roku pewną ilość Polaków, wydając im *pajoki*¹⁶ dwukrotnie większe, niż w innych kołchozach. Niestety, część przebywających tam rodaków nie wiedząc, jaka jest rzeczywista sytuacja w tej części Kazachstanu, porzuciła kołchoz zostawiając cenne miejsca dla ewakuowanej ludności sowieckiej. „Zdarzały się wypadki, że ubogie kołchozy, pragnąc – na skutek tych czy innych pobudek – dostarczyć naszym ludziom pewnej ilości żywności, którą nie rozporządzały w granicach normalnej gospodarki, zmuszone były ograniczyć racje swych własnych członków, a nawet naruszyć rezerwy siewne, narażając się na surowe represje ze strony władz.” Wypadki takie miały miejsce wprawdzie bardzo rzadko, a zdarzały się.¹⁷ Nie bez znaczenia był także stosunek przewodniczącego kołchozu i *sielsowietow* (rad wiejskich) do naszej ludności. W praktyce to od przewodniczącego zależała wysokość przydziałów żywności i pomieszczeń do zamieszkania oraz rodzaj wykonywanej pracy, z czym wiązała się możliwość lub niemożność wyrobienia norm. Niestety, Polacy bardzo często otrzymywali najcięższe prace, na przykład przy drugim zbiorze bawełny, gdzie wydajność robotnika jest z konieczności dwukrotnie mniejsza.

A. Powierza ocenił, że „stosunek władz kołchozowych do naszych ludzi jest różny, zwykle jednak niechętny”. Nie wspominał o względach ideowych, bo te dla wszystkich były oczywiste i o skutkach propagandy sowieckiej, wskazał zaś na trudności spotęgowane przez samych Polaków. Powtórzył informacje o okresie „jałowym” (po zakończeniu najważniejszych prac polowych), zmiennych nastrojach, postawieniu się w roli współkonsumentów a nie współproducentów. Z wielu powodów ludność miejscowa nie potrafiła zrozumieć, że „nasz obywatel nie mógł być tak wydajny, jak ich własny.” Można było usłyszeć i takie opinie: „Przyjmujemy pewną ilość waszych obywateli, lecz muszą dobrze pracować, bo wy, gdy chcecie, umiecie pracować dobrze”. Ale pojawiał się i protest: „Nie chcemy wiecznych podróżników”. Autor raportu zwracał uwagę, że trzeba inaczej podchodzić do władz kołchozowych, a inaczej do administracyjno-partyjnych. Zdarzało się, że przewodniczący kołchozów wręcz drwili sobie z poleceń władz rejonowych powiadając: „Pracujemy dla siebie, a nie dla nich”. W tej sytuacji kierownicy polskich placówek (mę-

¹⁶ Przydział żywności. We wspomnieniach i opracowaniach podkreśla się, że przydział określony rozporządzeniami z reguły różnił się od faktycznego *in minus* zarówno pod względem ilościowym (waga), jak i jakościowym.

¹⁷ *Sprawozdanie...*, s. 10. To jeszcze jeden przykład skłaniający do bardziej ważonych ocen w odniesieniu do postawy władz kołchozowych.

zowie zaufania, delegaci) powinni więcej kontaktować się z władzami kołchozowymi, urabiać ich poglądy. Nieźle pod tym względem było już w obwodzie dżambułskim, gorzej w ałmaackim, a najgorzej w południowo-kazachstańskim.¹⁸

Utrzymywały się istotne różnice lokalne, nie można było poprzestać na stwierdzeniu, iż sytuacja w Kazachstanie jest „bardzo zła”, bo w rzeczywistości w niektórych rejonach była ona znośna, w innych zaś katastrofalna. „Zaczęły się prace przygotowawcze do sezonu wiosennego, wymagające nie tak wielu rąk roboczych. Nadal więc utrzymywało się częściowe bezrobocie, niektóre osoby otrzymywały jedynie coś w rodzaju zaliczek na przetrwanie. Było to od 100 do 800 gramów zboża dziennie na osobę traktowaną jako potencjalnego pracownika. Produkt zamienny stanowiły *lepioszki* (rodzaj placka). Przy tym dawano ziarno najgorszego gatunku, przeważnie jęczmienne, zanieczyszczone otrębami i piaskiem. Posiadało ono, podobnie jak i *lepioszki*, minimalne własności odżywcze. Jedzący dostawali wymiotów, nim nie przywykli do takich substytutów. Niekiedy zamiast zboża wydawano mąkę lub chleb, a niektóre kołchozy od czasu do czasu przekazywały głodującym również nie-duże ilości ziemniaków. Luksusem była szklanka mleka dziennie dla dzieci. Istniały i takie kołchozy, w których ludność polska nie otrzymywała nic poza dachem nad głową (przykładem rejon saryagaczski).

Niezdolni do pracy mogli liczyć co najwyżej na 50% powyższych norm, chyba że mieli zaświadczenie lekarskie stwierdzające niemożność podjęcia roboty. „Oczywiście na normach tych wyżyć nie można, nawet jeśli się uwzględni pomoc w naturze. Ludzie nasi albo dokupują produkty, jeśli mają na to pieniądze i mogą coś dostać na wolnym rynku, albo tracą siły z dnia na dzień. Wypadki śmierci z głodu są nadal na porządku dziennym”.¹⁹ Taka niezwykle trudna sytuacja naszych rodaków miała, zdaniem autora raportu, potrwać jeszcze parę tygodni, bo w kwietniu powinny ruszyć prace wiosenne i kołchozy będą potrzebowały większej liczby rąk do pracy, w związku z czym wzrosną również normy żywnościowe, zbliżające się do granicy minimum egzystencji.

Należało zatem maksymalnie opóźnić napływ nowych transportów ludności polskiej z północy. Wstępnie ustalono, że pewna ilość rodaków mogłaby znaleźć na wiosnę mieszkania i pracę w większości ziem obwodu ałmaackiego, w rejonach Czu i kokterskim w obwodzie dżambułskim oraz w rejonach: lengierskim, karatałskim i dżuwalińskim obwodu południowo-kazachstańskiego, gdzie już kierowano rodziny osób wcielonych do 8 Dywizji. Warunki pracy mogły tam wszędzie być określane z udziałem

¹⁸ *Sprawozdanie...*, s. 11. Taka kolejność pojawiała się najczęściej i przy innych porównaniach. Przypomnę, że w obwodzie dżambułskim było wówczas najwięcej ludności polskiej.

¹⁹ *Ibidem*, s. 12. Patrz też: S. Ciesielski, op. cit., rozdz. V, *Wyżywienie zesłańców*. Tu i dramatyczne przypadki spowodowane głodem.

łem przedstawiciele polskich placówek, jeśli te do tego czasu zdobędą należyte uznanie u lokalnych władz.

4. Inne miejsca pracy

Niestety, niewielu Polaków trafiło do sowchozów, które oferowały lepsze warunki od kołchozów. Te znajdujące się na południu Republiki Kazachstańskiej wydawały i po 400 gramów chleba dziennie albo płaciły po 4-7 rubli sprzedając 700 gramów chleba po cenie 85 kopiejek za kilogram, a za zupę trzeba było zapłacić 28 kopiejek. Względnie korzystne warunki zapewniały też przedsiębiorstwa sadownicze i warzywnicze, rozwinięte zwłaszcza na terenie obwodu ałmaackiego, przypisane delegaturom w Dżambule i Czymkiecie. Wszędzie tam istniała także szansa zorganizowania polskich ogrodów warzywnych. Należało jednak zbudować pomieszczenia i zakupić nasiona na koszt placówek podległych Ambasadzie RP.²⁰

Przemysł w południowych obwodach Kazachstanu prawie nie istniał. Niewielka tylko liczba rodaków znalazła zatrudnienie w charakterze *czarnoroboczych* w dwóch cukrowniach i w jednym lub dwóch browarach. W ogóle nie nabierano Polaków do zakładów przemysłu wojennego, ewakuowanych z terenów zajętych przez wojska niemieckie. Niedostępne dla naszych zesłańców okazały się również dwie kopalnie węgla brunatnego w obwodzie południowo-kazachstański (Lengier i Czok-Pak), natomiast spodziewano się, że na wiosnę będzie można skierować kilkuset ludzi do rejonu talaskiego, gdzie budowano baraki dla 1500 osób przy kopalniach siarki. Istniała ponadto możliwość stworzenia w obwodach dżambułskim i południowo-kazachstańskim „drużyn” myśliwskich i rybactw, co rodziło nadzieję na pozyskanie dodatkowej puli produktów żywnościowych dla naszych zakładów zamkniętych.

I na koniec A. Powierza wskazał na artele, jako korzystną formą zatrudnienia obywateli polskich, choćby ze względu na: lżejszy rodzaj pracy, dużą podaż sił kwalifikowanych, możliwość wyszkolenia pewnej ilości młodzieży, zwłaszcza w wieku przedpoborowym. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że zdaniem autora psychice Polaków bardziej odpowiadał system podziału dochodu w artelach. Musiałyby to być firmy czysto polskie ze względu na zakup surowców przez nasze placówki, konieczność bardziej swobodnego dysponowania wytworami i obawę, aby indywidualne warsztaty pracy nie zostały przejęte przez państwo. Na początek można byłoby w tym systemie przerobić partie skór, wysłanych przez Ambasadę do Dżambułu i Czymketu. Jeden artel szewski już istniał w rejonie lengierskim, należałoby założyć inne tej branży, a także podjąć wyrób chodaków drewnianych i tkanin oraz usług krawieckich i stolarskich. Niestety, Polacy przebywający na południu Kazachstanu po-

²⁰ *Sprawozdanie...*, s. 13. Zmieniała się w zależności od wielu czynników wartość rubla i jego realna cena nabywcza, więc ceny te są trudno porównywalne.

siadali niewielką ilość maszyn do szycia, a i tym groziło niebezpieczeństwo rekwizycji²¹ A. Powierza polecił zbadać możliwość zakupu na miejscu surowców i warsztatów pracy. Przewidywano jednak duże trudności, bo na przykład skóra była „na wagę złota”. Prostsza kombinacją wydawał się zakup przez delegaturę w Czkałowie wagonu drzewa chodakowego i skierowanie go na przykład do Czymkentu, do przerobienia przez stworzony tam artel. Istniały więc różne możliwości poprawy sytuacji rodaków w południowym Kazachstanie, ale i tak rolnictwo kołchoznicze pozostawało „podstawową dziedziną pracy”.

5. Rodzaje pomocy i opieki

Zjawisko „bezdomności” było groźne w okresie zimowym, wiosną straciło na znaczeniu, choć bywało dokuczliwe między innymi dla osób przybywających tzw. niezorganizowanymi transportami. Powszechnym zjawiskiem pozostawała jednak „bezdomność względna”, zmuszająca do zajmowania wspólnych pomieszczeń, izb ciasnych, niezdrowych. 80% naszej ludności w południowych obwodach Kazachstanie gnieździło się w niskich i wilgotnych lepiankach, często bez drzwi i okien oraz zwykle bez podłogi.²² Należało zatem podjąć starania w celu przenoszeniu ludzi z kołchozów oferujących bardzo złe kwatery, interweniować w ramach akcji *żyłpłoszczad* (powierzchnia mieszkalna), organizować drużyny robocze dla docierania do kołchozów i tam naprawiania lepianek oraz baraków, bielenia ich, budowania nowych pomieszczeń. Brakowało jednak dotkliwie budulca. Możliwym było kleczenie lepianek, ale zaopatrzenie ich w dach, lub stawianie nowych baraków nie wchodziło w rachubę z powodu niedostatku drzewa, zwłaszcza w okręgu dżambułskim, gdzie były kłopoty nawet ze słomą. Jedynym wyjściem stało się sprowadzenie drzewa z innych terenów: z Republiki Kirgiskiej, Kraju Ałtajskiego lub obwodu czkałowskiego. A. Powierza uważał za celowe, by Ambasada zleciła delegaturze w Barnaulu zakupienie i wysłanie na południe kilku wagonów drzewa tartego z myślą o stawianiu domów (baraków). A czas był stosowny, gdyż w większości rejonów w obwodach dżambułskim i południowo-kazachstańskim od maja do października nie padały deszcze i ludność zamieszkiwała pod gołym niebem.

Powracającym tematem była pomoc żywnościowa. Była ona niezbędna tym bardziej, że władze 15 lutego 1942 roku wprowadziły tzw.

²¹ Dwie maszyny zostały pod przymusem wymienione na mąkę. Przewodniczący kołchozu zastosował szantaż, zagroził wstrzymaniem *pajoków*, a interwencja męża zaufania u prokuratora okazała się spóźnioną. *Sprawozdanie...*, s. 15.

²² To temat obecny we wszystkich pamiętnikach, łącznie z wyrobem *kiziaków*. Adaptacja prymitywnych pomieszczeń była jedną z pierwszych czynności osób deportowanych (zesłanych). E. Kowalska, „Przystosować się lub zginąć...”. *Uwagi do problemu adaptacji Polaków w miejscach przymusowego osiedlenia w Kazachstanie*. [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia i współczesność*, pod red. naukową S. Ciesielskiego i A. Kuczyńskiego, Wrocław 1996, s. 309-318. *Sprawozdanie...*, s. 16.

„twarde” ceny bazarowe, wskutek czego jeszcze bardziej zmalała podaż towarów i produktów. Pomoc z zewnątrz mogła pochodzić z trzech źródeł: od władz sowieckich, z zagranicy, ze strony placówek polskich. Dopiero połączenie ich dawało nadzieję na skuteczność działania.

Strona sowiecka przekazywała *fondy* i *nariady*, uchwalane co miesiąc przez władze republikańskie na rzecz ludności polskiej oraz niektórych grup stałych mieszkańców. Wprowadzano je od niedawna, więc A. Powierza nie w pełni orientował się w tym systemie. Pod obu terminami kryły się kontyngenty towarów odstąpionych do dyspozycji Polaków po wspomnianych cenach twardych (ustalonych, oficjalnych). Na przykład *nariady* żywnościowe w lutym 1942 roku wyniosły: dla obwodu dżambułskiego 3050 pudów (ok. 50 ton) mąki, a dla południowo-kazachstańskiego 2440 pudów (około 40 ton). Dyspozycje władz republikańskich przekazywano do obwodów, gdzie po konsultacjach z delegaturami polskimi te dodatkowe przydziały rozdzielano na rejony. Należało pilnować, aby wysokość (tonaż) towarów była proporcjonalna w stosunku do ilości naszych rodaków²³ i uwzględniała warunki bytowania. W rejonie frunzeńskim zdarzyło się, że władze rejonowe próbowały faworyzować ludność miejscową, a w rejonie kurdajskim w ogóle nie zrealizowano *nariadu* tłumacząc się brakiem produktów. Strona polska była zdania, że część pomocy sowieckiej winna dotrzeć również do zakładów zamkniętych i szpitali, a w razie możliwości i do tak zwanych wspólnych kotłów kołchozowych. Cały ten system wymagał dokładniejszego rozeznania, poznania stosownych przepisów i mechanizmów.²⁴

W ramach pomocy z zagranicy delegatury w Ałma-Acie, Dżambule i Czymkencie otrzymały po jednym wagonie towarów, ale zapowiadano dalsze transporty. Te już dostarczone zawierały towary uznane za raczej luksusowe i w niewielkich ilościach. A jednak już odczuwano ich wielkie znaczenie, „podniosły one bowiem wiarę ludzi w pomoc ze świata, oraz – co jest bardzo ważne – autorytet naszych władz i placówek.” A. Powierza szacował, że pomoc zagraniczna będzie wszędzie odczuwalna, gdy jedna tona żywności, pozyskanej w ten sposób, przypadnie na tysiąc mieszkańców miesięcznie i zmieni się skład nadsyłanych produktów. Przede wszystkim oczekiwano tłuszczów i cukru, ale przyznawano, że i na przykład herbata jest bardzo cenna ze względu na dużą wartość wymienną.²⁵ Wysłannik Ambasady nie miał jednak złudzeń, transporty z zagranicy, nawet jeśli osiągną planowane 500 ton miesięcznie, nie odegrają decydującej roli w żywieniu naszej ludności, pozostaną natomiast atrak-

²³ W lutym 1942 r. pokrzywdzono obwód południowo-kazachstański, bo uznano, że przebywa tam 15 tys. obywateli RP, a bliższy prawdzie był szacunek 21 tys. osób. *Sprawozdanie...*, s. 17.

²⁴ Np. istniał przepis obowiązujący na kolei, że przepadały *nariady* nie odebrane z magazynów przed ostatnim dniem każdego miesiąca.

²⁵ Autor wymieniał 25 gramów herbaty na 2 funty masła wartości kilkuset rubli.

cyjnym i wartościowym uzupełnieniem. Nie stwierdzono nigdzie trudności z magazynowaniem przesyłek i ich transportem koleją, a następnie samochodami, końmi oraz wielbładami. Rozdział na poszczególne kolchozy przeprowadzali rejonowi mężowie zaufania, zaś odbierali produkty wyznaczeni pełnomocnicy.

Autor sprawozdania miał zastrzeżenie do zastosowanych w placówkach zasad podziału. Na przykład w obwodzie czymkeńskim podzielono cały transport na 8 równych części, nie biorąc pod uwagę nawet liczebności skupisk obywateli II RP w poszczególnych rejonach. Po pierwszych obserwacjach zobowiązano placówki do pamiętania przede wszystkim o pomocy żywnościowej dla dzieci i licznych rodzin. Faworyzowani mieli być także ci, którzy nie uchylają się od pracy. Kwestią wstydliwą stało się natomiast „notorycznie na południu występujące zjawisko sprzedawania bądź wymieniania darów opieki”. Wysłannik Ambasadory uznał je za „w zasadzie szkodliwe”, ale „nie do uniknięcia, przede wszystkim ze względu na luksusowy często charakter darów”. Za puszkę kakao, tabliczkę czekolady lub pidżamę można było nabyć znaczącą ilość mąki lub chleba, odsunąć przynajmniej na krótki czas widmo głodu. Zarzuty formowały natomiast władze lokalne: „proście nas o pomoc, a sami macie za dużo”. Pojawiły się nawet groźby wstrzymania *nariadów*, więc placówki polskie miały przeciwdziałać „złym” praktykom.²⁶

Trzeci rodzaj pomocy, czyli poprzez zakupy dokonywane ze środków uzyskanych przez placówki polskie, przebiegał z dużymi trudnościami. Władze sowieckie zdecydowały, że po tzw. cenach twardych można nabywać jedynie wspomniane *fondy* i *nariady*, zaś inne zakupy mogą się dokonywać wedle cen bazarowych, które wciąż rosły. Za kg masła trzeba było zapłacić w lutym 1942 roku od 200 do 300 rubli, za kg ryżu – 25 rb., pud mąki (16,38 kg) kosztował około 400 rb., kg mięsa od 40 do 50 rb. Zdarzały się tylko sporadycznie okazje, zakupów na korzystnych warunkach.²⁷ W niektórych kolchozach po stosunkowo niskich cenach można było kupić mleko dla dzieci, co miało szczególne znaczenie przy uruchomieniu większej ilości sierocińców. Oczekiwano, że sytuację ułatwią zbliżające się miesiące, kiedy będzie można centralnie zakupić owoce i jarzyny, tak ważnych ze względu na panującą powszechnie awitaminozę.

Nie mogło zabraknąć w prezentowanym sprawozdaniu uwag o stanie odzieży Polaków przebywających na południu Kazachstanu. Bardzo często sprzedawali oni cokolwiek jeszcze warte ubrania i buty dla kupienia biletu kolejowego, by dojechać „do wojska”. Następnie, w ciągu

²⁶ W pamiętnikach wspomina się i o niesprawiedliwym podziale darów, obdzielaniu przez pełnomocników swych znajomych. Do tego dodać trzeba trudności z dotarciem do wszystkich rodaków, zwłaszcza zamieszkujących w małych grupkach, miejscowościach i kolchozach oddalonych od ośrodków rejonowych, ze złym do nich dojazdem.

²⁷ Przykładem możność zakupu w Czymkencie dużej ilości masy pomidorowej w cenie 4 rb. za kg. *Sprawozdanie...*, s. 20.

zimy, zachowane okrycia, noszone bez zmiany, uległy zniszczeniu. Lepiej prezentowali się na ogół nasi rodacy osiedleni w miastach, najgorzej zaś byli łągiernicy i więźniowie. Przede wszystkim problemów nastroczało obuwie; „dochodzi do tego, że w niektórych rodzinach jest tylko jedna para butów, tak, że wychodzenie do pracy odbywa się na zmianę. Spodni dziurawych nie ma czym łątać. Palta, o ile nie zostały wymienione na żywność, są kupą łachmanów.”²⁸ W tym względzie trzeba było liczyć niemal wyłącznie na pomoc zbiorową z zewnątrz, gdyż zakup na rynkach miejscowych przekraczał możliwości rodaków. *Nariady* za luty 1942 roku wyniosły: obuwia skózanego dla obywateli II RP w obwodzie dżambułskim na sumę 60 tys. rb. i w obwodzie południowo-kazachstańskim za 50 tys. rb., natomiast obuwia wełnianego²⁹ dla obu wymienionych jednostek terytorialnych przeznaczono 300 i 200 par. Z zagranicy nadeszło bardzo mało odzieży i w dodatku niemal zupełnie nieprzydatnej. A oczekiwania były wyjątkowo silne. Dziwiło to Powierzę, bo przecież para spodni w transporcie zajmuje tylko samo miejsca co puszka kakao, a umożliwia „rozebranemu dotąd człowiekowi pójść do pracy i utrzymać rodzinę”.

Stan zdrowotny był pochodną „sytuacji w dziedzinie pracy, wyżywienia, mieszkaniowej i odzieżowej, z uwzględnieniem lokalnych warunków zdrowotnych, tj. klimatu i opieki lekarskiej.” Plagą stały się epidemie, choroba dopadająca jednego członka rodziny przechodziła i na pozostałych, śpiących pokotem w wilgotnej lepiance na gołej ziemi lub w barłogach. Wyzdrowienie następowało wolno, „brak desek na trumny sprawia, że zwłoki umarłych pozostają nieraz nie pochowane, wśród żywych, przez szereg dni.” Działo się tak i z powodu niedostatku lekarzy, lekarstw, miejsc w szpitalach. „Walka, jaką władze radzieckie prowadzą z epidemią tyfusu, jest bardziej energiczna niż skuteczna”. Sprowadzała się ona głównie do egzekwowania rygorów dezynfekcyjnych, zwłaszcza wobec osób w podróży. W rejonie frunzeńskim w lutym 1942 roku odsetek chorych wśród Polaków sięgał 45%, a śmiertelność w rejonie miejscowości Ługowaja wyniosła w styczniu 8%.³⁰ A. Powierza oceniał, że w ciągu zimy w południowym Kazachstanie zmarł co dziesiąty Polak. W okresie wiosennym oczekiwano epidemii malarii.

Negatywny wpływ na stan zdrowia rodaków miały i ich kontakty z miejscową ludnością, wśród której szerzyły się choroby weneryczne oraz panował alkoholizm. W celu poprawy należało zorganizować sieć lekarzy okręgowych i rejonowych obsługujących społeczności polskie oraz

²⁸ Nawet jeden z rejonowych mężów zaufania miał ze względu na swój wygląd kłopoty z dostaniem się do stołówki w Czymkencie.

²⁹ Okazało się jednak, że *walonki* źle zdają egzamin w Kazachstanie, zwłaszcza wiosną. *Sprawozdanie ...*, s. 21.

³⁰ *Ibidem*, s. 22. W literaturze istnieje duża rozbieżność w szacowaniu wskaźnika zgonów. Zwłaszcza we wspomnieniach są one zawyżane. Patrz wyliczenia D. Boćkowskiego i dyskusje prowadzone w Instytucie Historii PAN.

„pomocniczych sił lekarskich” w kołchozach, co uczyniono już w rejonie kurdajskim. Pilną potrzebą stawała się również sprawna dystrybucja lekarstw. Starano się kupować leki, dostępne były jednak tylko prymitywne apteczki, nawet wapno do dezynfekcji lepierek stało się nieosiągalne. Niestety, brakowało polskich lekarzy, felczerów, aptekarzy, a ci nieliczni byli na ogół zainteresowani odejściem do wojska.³¹ Z myślą o pomocy z zagranicy sporządzono spis najbardziej potrzebnych leków. Charakterystyczne, że pojawiająca się propozycja oddania lekarstw w zarząd wojskowych służb medycznych budziła wiele zastrzeżeń.

Za najpilniejszą uznano opiekę nad dziećmi. Ich odsetek wśród Polaków przybywających w południowym Kazachstanie był mniejszy niż w innych obwodach i wynosi od 20 do 30%. Zdecydował o tym skład osobowy transportów, zwłaszcza w pierwszym okresie, w których dominowali kandydaci do armii. A. Powierza przyznawał, że opieka nad dziećmi była bez istotnych zastrzeżeń wspierana przez władze miejscowe. Dożywanie najmłodszych odbywało się dzięki *nariadom*, pomocy w naturze i zakupom w kołchozach. W lecie zamierzano dożywiać dzieci zbiorowo w świetlicach. Na nowe tory, dzięki odgórnym instrukcjom, weszła sprawa sierocińców, gorzej natomiast posuwały się sprawy szkolne. Pierwsza szkoła miała powstać w Dżambule, gdzie już był lokal i personel nauczycielski, brakowało jedynie formalnej zgody władz republikańskich. Autor sprawozdania domyślał się, że przyczyną „zatoru” stała się kwestia języka wykładowego. Takich przeszkód nie oczekiwano przy tworzeniu przedszkoli i internatów, w których poza zajęciami paralekcyjnymi (bez podręczników) zapewniano dożywanie i opiekę lekarską. „Nie można jednak zapominać, że wszelkie lokalne rozwiązania tego zagadnienia będą tu zawsze tylko półśrodkiem i że jedyną trwałą i skuteczną drogą do uratowania dzieci jest wywiezienie ich z tego kraju. Rozpoczęta przez Ambasadę akcja wywozu dzieci do Indii i Iranu, pomimo wszelkich trudności na jakie napotyka, powinna być prowadzona dalej niestrudzenie, dopóki żadne polskie dziecko, pozbawione opieki rodzicielskiej, nie zostanie w kraju, w którym silni i zdrowi narażeni są na wegetację.”³²

Nigdzie do lutego 1942 roku nie realizowano w południowym Kazachstanie zorganizowanej opieki nad starcami i inwalidami. Możliwości takie jednak istniały, czego przykładem stało się rozmieszczenie przez męża zaufania 93 inwalidów w kołchozach na terenie rejonu dżuwalińskiego. Emocje budziła akcja nadzwyczajnej pomocy społecznej. Przewidywano przekazanie przez Ambasadę RP do każdego obwodu do końca maja po około milionie rubli, co w przeliczeniu na jedną osobę wynieść

³¹ Według A. Powierzy lekarze żydowscy nie zadeklarowali jasno swych zamiarów, część z nich wahała się do jakiego wojska pójść, polskiego czy sowieckiego. *Sprawozdanie...*, s. 22.

³² Ibidem, s. 24. Wykaz placówek opieki, w tym przedszkoli, sierocińców i punktów dożywania oraz zarejestrowanych zakładów pracy: D. Boćkowski, op. cit., zał. 10.

miało od 50 do 100 rubli. A. Powierza wydał placówkom terenowym zalecenie, by uprzedzić, że będzie to pomoc jednorazowa. Ustalono również, że „rozprowadzanie pieniędzy musi się odbyć w sposób jak najbardziej dyskretny, aby nie drażnić miejscowej ludności, od której stosunku do naszych obywateli bardzo wiele zależy oraz aby nie zwracać uwagi władz lokalnych”. Dlatego nie zamierzano skorzystać z pośrednictwa poczty lub banków, co dodatkowo oznaczałoby konieczność uiszczenia opłat manipulacyjnych. Sprawa była delikatna. W jednym z rejonów obwodu południowo-kazachstańskiego nowy mąż zaufania rozgłosił, że w najbliższym czasie będą wydawane większe zapomogi oraz otwarte zostaną polskie szpitale i stołówki. Efekt był taki, że część Polaków porzuciła natychmiast pracę, a NKWD nakazało zamknąć bezpłatną stołówkę dla naszych rodaków z następującym wyjaśnieniem: władze sowieckie mają dość własnych głodujących obywateli, natomiast polskimi mają się odtąd zająć placówki podległe Ambasadzie RP.³³

6. Polacy i „oni”

Powracał wątek: polscy działacze terenowi a miejscowe władze. Tych pierwszych, z odpowiednim przygotowaniem, nadal brakowało. A praca to była wyjątkowo trudna, zaznaczała się bowiem duża rozpiętość między „kruchymi często możliwościami a ogromem zadań i odpowiedzialności”. Przy tym „niejedna placówka utrzymała się tylko pełnią poświęcenia, o chlebie i wodzie.” Tym bardziej cieszyła dobra ocena wystawiona większości rejonowych mężów zaufania przez wysłannika Ambasady. Stwierdził on tylko jeden przypadek znaczących niedociągnięć.³⁴ Działacze niedojadali, stali się mniej odporni na choroby, a stykając się z wieloma ludźmi łatwiej padali ofiarą epidemii. W stosunku do potrzeb byli oni jednak wciąż za mało mobilni, co wynikało nie z wygodnictwa, ale braku środków transportu. Niektórzy zamiast żądać podwód z *sielso-wietu*, który obowiązywał je dostarczyć, wędrowali kilometrami na piechotę. Za najslabszą jednak stronę polskich działaczy A. Powierza uznał nieumiejętność „podejścia do władz sowieckich”, od czego bardzo wiele zależało. „Notorycznym zjawiskiem jest proszenie i czekanie”, zamiast stawianie zadań zgodnych z ustaleniami moskiewskimi. Praktyka wykazywała, że „bardzo ważnym jest przekonanie tych władz, iż opieka nad obywatelami polskimi jest ich obowiązkiem, wynikającym z woli rządu radzieckiego, i że nieprzyjazny stosunek wobec naszych obywateli jest równoznaczny ze sprzeciwianiem się decyzjom tego rządu.”

³³ *Sprawozdanie...*, s. 25. Umowa o pożyczce została podpisana 31 grudnia 1941 roku. Miało to być 100 mln. rb., przy czym pierwsza rata wyniosła 20 mln. Również w tym czasie zapadły decyzje o możliwości zorganizowania specjalnych placówek dla dzieci. Było to pokłosie wizyty premiera gen. W. Sikorskiego w Moskwie.

³⁴ *Sprawozdanie...*, s. 26. Zdarzyły się i dwa wypadki okradzenia mężów zaufania, „spowodowane nieostrożnością, wobec czego winnych natychmiast usunąłem ze stanowisk, choćby dla przykładu”.

„Oficjalnie uznani, uświadomieni o przysługujących im uprawnieniach i zapoznani z miejscowym ustawodawstwem pracy – nasi mężowie zaufania będą dziś w stanie rozwinąć na szeroka skalę działalność interwencyjną, bez której nieświadomość naszych obywateli będzie zawsze wykorzystywana w sposób sprowadzający ich do roli podrzędnej warstwy społecznej”. Były już pozytywne przykłady, w „szeregu kołchozów przewodniczący zdejmowani byli z urzędu na skutek protestu męża zaufania, usprawiedliwionego wyraźnie krzywdzącym postępowaniem wobec polskich obywateli.”

Za nie mniej ważne uznał A. Powierza nawiązanie i wykorzystanie kontaktu z władzami NKWD oraz sekretarzami partyjnymi. W rezerwie pozostawał prokurator, który miał obowiązek reagowania w wypadkach jawnego pogwałcenia ustaw. „Odniosłem wrażenie, że tak władze Republiki Kazachstańskiej, jak i władze oblastne (*obwodowe*) przekonane są, iż współpraca ich z placówkami i obywatelami polskimi jest obecnie intencją rządu centralnego. Trudno przewidzieć, jak długo ten stan rzeczy potrwa, przekreślić go może jedno rozporządzenie rządu centralnego, popsuć zaś, niezręczne postępowanie naszych placówek.”

Były przykłady wskazujące na dobrą koniunkturę w terenie dla spraw polskich Mąż zaufania interweniujący w Czymkencie uzyskał zmianę decyzji w sprawie podziału *nariadu* i powiedziano mu: „W takich wypadkach zawsze telegrafujcie, gdyż otrzymaliśmy ścisłą instrukcję okazywania obywatelom polskim daleko idącej pomocy”. W Dzambule zaś władze okręgowe same zwróciły uwagę, że mąż zaufania w rejonie świerdłowskim nie wykorzystuje możliwości założenia sierocińca w ofiarowanym pomieszczeniu. „Te same władze prosiły również Delegaturę o poparcie w Ałma-Ata ich starań o zwiększenie „nariadów” dla obywateli polskich, gdyż "same robią co mogą”.

Ciekawie zabrzmiała uwaga następująca autora sprawozdania: „W dziedzinie stosunków z władzami musimy również liczyć się z wyraźnie zarysowanym, tak wśród władz, jak i ludności rosyjskiej narodowościowym i politycznym kompleksem wyższości w stosunku do Polaków, występującym jednak jedynie w pokoleniu sowieckim. U jego źródła leży wieloletnia propaganda, wzmocniona ostatnimi kongresami dla działaczy partyjnych, łatwe sukcesy na ziemiach polskich, oraz – w największym stopniu – ostatnie powodzenia na froncie. Obywatel sowiecki, który na każdym kroku słyszy, iż jego ojczyzna jest jedynym krajem, który skutecznie oparł się hitleryzmowi – w każdym cudzoziemcu widzi dziś istotę niższego rzędu. Polak, wydziedziczony ze wszystkiego i wiecznie proszący, jest dlań uosobieniem skrachowanego (upadłego) kapitalizmu, i to kapitalizmu słowiańskiego, dla którego jedynym ratunkiem może być ucieczka pod opiekuńcze skrzydła Związku Radzieckiego.”³⁵

³⁵ *Sprawozdanie...*, s. 28. Wydaje się, że odmiennie w tym względzie wyglądała sytuacja na terenach syberyjskich, gdzie pamiętano o zasługach Polaków – zesłańców

A. Powierza pokusił się o dotknięcie kwestii bardzo trudnej, stanu duchowego ludności polskiej zgromadzonej w południowych obwodach Kazachstanu. Chodziło bowiem o zestawienie czynników, „których gra kształtuje się niejednokrotnie zupełnie różnokierunkowo”. Przykładem była klęska wrześniowa 1939 roku, spowodowała ona sublimację uczuć patriotycznych graniczącą z egzaltacją, ale i „pewne zwichnięcie zasad moralnych”, jako wynik drastycznego zejścia poniżej standardów życia w cywilizowanym świecie.

„Pomimo ciężkich przeżyć i beznadziejnej zwykle sytuacji materialnej, ludność nasza okazuje nadal dużą odporność duchową”. Najmocniej trzymali się chłopci i osadnicy, znacznie gorzej ekstremalne warunki znosiła inteligencja. U wszystkich jednak zaznaczyło się dotkliwie osłabienie cielesne, co też miało wpływ na stan ducha. „Przeciętny obywatel – to cichy, przygaszony, często nawet apatyczny, proszący, lecz prawie nigdy nie żądający człowiek, którego jedynym, obok chleba, pragnieniem jest powrót do Polski. Wszystko jedno jakiej, byle Polski”. Nie słychać było pytań: „gdzie jest nasz rząd” i „co się dzieje pod tamtym zaborem?”, każdy najchętniej mówi o swoim *posiolku* i swoim kołchozie, w którym „na pewno jest najgorzej”. Egocentryzm i zobojętnienie zanikały jednak z chwilą poprawienia się warunków egzystencji. W ostatnich miesiącach wzrosły uczucia patriotyczne, czego dowodem stał się pęd do polskiej armii, narastał też głód polskiego słowa pisanego oraz „rzecz u Polaka rzadka – wyrozumienie dla własnych władz”. Sybiracy polscy wierzyli przedstawicielom Ambasady RP, powtarzano opinię, że „z wiosną na pewno będzie lepiej, bo i praca będzie, i przyjdzie większa pomoc.”³⁶

Autora sprawozdania zmartwiła zmiana w postawie kobiet, które dotąd okazywały większą odporność duchową i fizyczną niż mężczyźni. Coraz liczniej zdarzały się przypadki prostytucji, a pobór ojców, mężów i synów do wojska sprzyjał szerszeniu się tego procederu. „Roztoczenie opieki nad młodą kobietą jest dziś jednym z pierwszych zadań naszych placówek.” W ogóle moralność obniżała się zdaniem piszącego „w granicach uświęconych wojną”. Coraz liczniejsze były kradzieże, zwłaszcza żywności, łapanie i zabijanie psów. Zdarzały się i sceny drastyczne, na przykład matka kilkorga dzieci, wskazując na sine maleństwo na rękach, powiedziała: „A to jakoś nie chce umrzeć.” „Ogrom nędzy sprawił, że wszystkie ustalone kryteria moralności zostały dziś zachwiane.”

„Dzieci są blade, ciche i nieśmiałe. Choć w transportach z Północy umierały masowo, na Południu śmiertelność wśród nich nie była większa, niż wśród dorosłych. Również epidemii tyfusu oparły się stosunkowo lepiej niż starsi. Wytracone z równowagi kilkuletnim brakiem szkoły, zmuszone do ciężkiej walki o byt wspólny z rodzicami, a często i bez nich, zatraciły dziecięcość. W wieku około dziesięciu lat są już małymi doro-

dla rozwoju cywilizacyjnego tamtych ziem.

³⁶ Ibidem, s. 29.

słymi i wiedzą o wiele więcej, niż ich rówieśnicy sprzed wojny.” Stały się bardziej zaradne, same podróżowały, często z konieczności, bo zagubiły w drodze rodziców lub opiekunów. Wzrosła i liczba samotnych dzieci w kołchozach. Kiedy mówiono ojcom takich „sierot”, by wrócili z wojska i zaopiekowali się własnymi pociechami, ci odpowiadali ze łzami w oczach: „wrócić mogę, ale dzieci będą się gniewać, bo je objadam”. Taka była prawda, że ojcowie chcąc wydajniej pracować zjadali częściej nie tylko swoje minimalne racje, ale i część produktów, jakie ewentualnie kołchoz wydawał ich dzieciom.

Wyraźnie wzrosły uczucia religijne i słyhać było zewsząd wołanie o księży. Jedyny ksiądz w Dżambule odprawiał msze po mieszkaniach prywatnych, bo tylko na taką „niepubliczną formę praktyk religijnych” zgodziły się miejscowe władze. Niestety, kapłan ten zmarł na tyfus i istniała pilna potrzeba pozyskania osób duchownych z wojska, by mogły one objeżdżać rejonu.³⁷

7. Wnioski

„Położenie ludności polskiej w południowych *oblastiach* Kazachstanu jest dziś bardzo ciężkie. Wpływa na to cały szereg czynników, jak: brak zarobków w kołchozach, powodujący trwałe wygłodzenie, złe warunki mieszkaniowe i odzieżowe oraz związany z tym okropny stan zdrowotny, spotęgowany epidemią tyfusu, jak wreszcie nie funkcjonowanie dotąd pomocy w wielu rejonach.

Układ tych czynników decyduje o wyraźnie zarysowanej tendencji: poczynszy od Ałma-Ata, gdzie warunki są stosunkowo znośne, sytuacja pogarsza się w kierunku zachodnim, poprzez *oblast* dżambułską, osiągając największe natężenie w zachodnich rejonach *oblasti* południowo-kazachstańskiej, gdzie położenie jest wręcz tragiczne (odsetek pracujących w rejonie suzaskim wynosi 20%, reszta to dzieci i starcy, chorzy oraz ludzie nie mogący pracować z braku odzieży. Wskutek poboru stosunek ten jeszcze się pogorszy). Nie należy spodziewać się, aby w ciągu najbliższych tygodni w sytuacji tej zaszły jakieś istotne zmiany na lepsze. Odwrotnie, krytyczny okres nastąpi dopiero w końcu marca; może go pogorszyć napływ nowych ludzi z Północy, którzy, mimo ostrzeżeń Ambasady, kierują się na Południe. Pogorszy go również epidemia malarii oraz dalsze wycieńczenie kołchozów

Szereg przyczyn pozwala przypuszczać, iż po krytycznym okresie nastąpi pewna poprawa. Przyczyny te, to:

1. Rozpoczęcie prac wiosennych i związane z tym zwiększenie chłonności kołchozów na ręce robocze.
2. Stworzenie zalegalizowanych delegatur w największych centrach, wraz z podległą im siecią placówek terenowych.

³⁷ Aktualne w tej mierze pozostają postulaty sformułowane przez autorów artykułów zawartych w tomie: *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946*, pod red. S. Ciesielskiego, Wrocław 1997.

3. Oparcie współpracy z władzami radzieckimi na zasadach uzgodnionych z rządem centralnym oraz możliwość wykorzystania lepszego obecnie stosunku władz miejscowych do naszych obywateli i placówek.
4. Oparcie naszej działalności opiekuńczej na zasadach realnej pomocy, opracowanych przez Ambasadę i rozprowadzonych w teren.
5. Możliwość wykorzystania dość znacznej pomocy zagranicznej w naturze oraz pomocy gotówkowej.

Z drugiej strony, stanąć możemy wobec niebezpieczeństwa, jakie grozi dziś całemu krajowi, i w obliczu którego wszystkie z wyżej przytoczonych czynników tracą swą moc – wobec niebezpieczeństwa głodu. Drugie niebezpieczeństwo, to udary słoneczne, jakie osłabionym i wycieńczonym ludziom dadzą się na pewno dotkliwie we znaki z chwilą nastania letnich upałów.

W hierarchii zadań Ambasady i placówek odnośnie terenów południowych – niezależnie od szeregu konkretnych obowiązków, wskazanych w niniejszym sprawozdaniu – stać powinno na pierwszym miejscu: celowe oddziaływanie na ludzi w kierunku przełamania psychozy ich wysiłku, a więc w kierunku trwałego związania ich z pracą, z którą dotąd, dla całego szeregu powodów nie czuli się związani, oraz stworzenie mocnej sieci rejonowych placówek opartej na odpowiednim doborze działaczy terenowych, od wysiłku których dziś zależy, czy wszystkie dotychczasowe zasadnicze osiągnięcia będą właściwie wykorzystane i czy nasza działalność opiekuńcza wyjdzie wreszcie z fazy improwizowanej filantropii, do jakiej z konieczności sprowadzała się w początkowym trudnym okresie na wielu gorzej zorganizowanych terenach. Dalszym detyderatem jest stworzenie wydzielonego ośrodka instrukcyjno-opiekuńczego dla całego Południa, które wymaga stałej i czujnej kontroli wykonywania opracowanych przez Ambasadę wskazań.

Poza tym Ambasada winna, w porozumieniu z delegaturami południowymi, a zwłaszcza z przedstawicielstwem w Ałma-Ata, opracować plan przeniesienia i rozsiadlenia pewnych kontyngentów ludzkich, których utrzymanie na Północy, mimo wszelkich w tym kierunku wysiłków, będzie rzeczą niemożliwą.³⁸

*

Sprawozdanie A. Powierzy zawiera interesujące dane statystyczne, które pochodziły głównie od osób związanych z polskimi placówkami podległymi Ambasadzie RP. Można je uznać za wiarygodne w odniesieniu do przypadków jednostkowych, natomiast nie dokumentują one precyzyjnie sytuacji rodaków w całym południowym Kazachstanie. Większą pod tym względem wartość mają zestawione przez autora katalogi problemów istotnych dla obywateli RP i jego oceny zjawisk. Cały tekst jest cennym źródłem dla odtworzenia kierunków polityki polskiej Ambasady, planowanych zamierzeń w trudnym okresie przedwiośnia 1942 roku.

³⁸ *Sprawozdanie...*, s. 29-30.

Szczególnie wartościowe są odniesienia do relacji polsko-sowieckich, zwłaszcza w terenie (rejony, obwody), do form pomocy rozwijanej przez nasze władze i do rodzajów opieki nad najbardziej zagrożonymi grupami społeczności zesłańców (osób deportowanych). Jest to w sumie punkt widzenia niejednokrotnie odmienny od prezentowanych we wspomnieniach polskich sybiraków okresu II wojny światowej, zarazem jednak osoby rozumiejącej ówczesne uwarunkowania i oczekiwania rodaków, którym ZSRR zgotował taki dramatyczny los.

DARIUSZ WĘGRZYN

GÓRNOŚLĄZACY JAKO FORMA REPARACJI. DEPORTACJE Z GÓRNEGO ŚLĄSKA DO ZSRR W 1945 ROKU

W 1945 roku z terenu Górnego Śląska Sowieci wywieźli do pracy przymusowej w ZSRR kilkadziesiąt tysięcy osób cywilnych jako część reparacji wojennych należnych ZSRR z racji poniesionych strat podczas walki z III Rzeszą. Górnoślązacy zostali uznani arbitralnie za Niemców i potraktowani z całą surowością.

Skomplikowana rzeczywistość

Teren Górnego Śląska był od wieków obszarem pogranicza, na którym ścierały się różne organizmy polityczne i różne kultury. Nie da się właściwie zrozumieć sytuacji tej krainy historycznej w końcówce II wojny światowej bez zasygnalizowania uwarunkowań, jakie się tu wytworzyły w latach dwudziestych XX wieku. Od 1922 roku Górny Śląsk był podzielony pomiędzy państwo polskie i niemieckie. Część polska tworzyła województwo śląskie i na jej obszarze znajdowały się takie miasta jak Katowice, Chorzów czy Mysłowice. Zachodnia część tzw. Śląsk Opolski z takimi miastami jak Bytom, Zabrze czy Gliwice oraz rejonem rolniczym w okolicach Opola i Strzelec, wchodziła w skład III Rzeszy jako tzw. rejencja opolska. Niosło to za sobą konsekwencje prawne. Górnoślązacy mieszkający w województwie śląskim mieli obywatelstwo polskie, natomiast ci z terenu Śląska Opolskiego niemieckie. Wytworzona w 1922 roku granica sztucznie dzieliła jedną krainę historyczną. Po jej obu stronach mieszkali zarówno Polacy jak i Niemcy oraz cała rzesza Górnoślązaków uznających się za „tutejszych”, bez skryształizowanych postaw narodowych, związanych z ziemią, na której mieszkali. Na ten teren przybywali z zewnątrz zarówno Polacy jak i Niemcy, którzy wiązali się z lokalną ojczyzną lub też nie.¹

¹ Zob. szerzej M.W. Wanatowicz, *Historia społeczno-polityczna Górnego Śląska i Śląska Cieszyńskiego w latach 1918-1945*, Katowice 1994.

Wybuch II wojny światowej jeszcze bardziej skomplikował sytuację. Po pokonaniu II RP III Rzesza włączyła polską część Górnego Śląska do swojego terytorium i całkowicie sprzecznie z prawem międzynarodowym objęła tamtejszą ludność przymusem wpisania na niemiecką listę narodowościową [Deutsche Volksliste (DVL)] nadającą w różnej formie mieszkającym tam osobom obywatelstwo niemieckie.² Był to wyraz przekonania władarzy III Rzeszy, że obszar ten w okresie dwudziestolecia międzywojennego został tylko „częściowo spolonizowany” i można było tamtejszych Górnoszlązaków „odzyskać dla Niemczyzny”. Do jesieni 1943 roku z terenu polskiej części Górnego Śląska na DVL wpisano 1,29 miliona osób, co stanowiło 95% ogółu tamtejszych mieszkańców. Zdecydowana większość, bo ponad 70%, otrzymała III grupę DVL.³

Jedną z najistotniejszych konsekwencji tego faktu było powoływanie mężczyzn do służby w wojsku niemieckim. To z kolei miało wpływ na znajomość przez władze ZSRR problematyki DVL. Mianowicie Górnoszlązacy jako żołnierze Wehrmachtu dostawali się do niewoli sowieckiej i władze ZSRR musiały posiadać wiedzę o tym, czym była niemiecka lista narodowościowa. Późniejsze potraktowanie wszystkich mieszkańców Górnego Śląska przez Sowieców jako Niemców miało czysto koniunkturalny charakter i związane było z pozyskaniem darmowej siły roboczej do pracy w łagrach umiejscowionych w ZSRR.

Preludium

² Niemiecka lista narodowościowa [Deutsche Volksliste (DVL)]. Została wprowadzona *Zarządzeniem o niemieckiej liście narodowościowej i niemieckim obywatelstwie na wschodnich ziemiach wcielonych do Rzeszy z 4 III 1941 roku*. Funkcjonowała na terenach włączonych do Rzeszy: Górnym Śląsku, części województwa krakowskiego, Wielkopolsce, części województwa łódzkiego, Pomorzu i Wolnym Mieście Gdańsku oraz części Mazowsza. Osoby, którym przyznawano DVL podzielono na następujące grupy: Grupa I – Niemcy aktywnie działający przed wojną w organizacjach niemieckich w Polsce demonstrujący swą przynależność do narodu niemieckiego. Grupa II – Niemcy, którzy nie wykazywali aktywności w przedstawionej wyżej materii, ale zachowali swą niemieckość. Osoby z tych dwóch grup mogły otrzymać pełne prawa obywatelskie. Ci którzy kwalifikowali się do grupy III mieli niemieckie pochodzenie, ale ulegli polonizacji; osoby, których współmałżonek był Niemcem; ludność innych narodowości skłaniająca się ku niemieckości (Ślązacy, Kaszubi, Mazurzy). Zakwalifikowani do tej grupy mogli otrzymać obywatelstwo niemieckie w drodze indywidualnego nadania na okres 10 lat. Do IV grupy zaliczono osoby pochodzenia niemieckiego, które uległy całkowitej polonizacji i przed wojną działały w polskich organizacjach i odnosiły się wrogo do Niemczyzny. Zaszeregowani do tej kategorii w zasadzie nie mogli przebywać na ziemiach wcielonych i przewidywano ich przesiedlenie. S. Jankowiak, *Deutsche Volksliste (DVL)*, Biuletyn IPN 9/2001, s. 11. Zob. szerzej: Z. Boda – Krężel, *Sprawa Volkslisty na Górnym Śląsku. Koncepcje likwidacji problemu i ich realizacja*, Opole 1978; L. Olejnik, *Zdrójcy narodu? Losy volksdeuschów w Polsce po II wojnie światowej*, Warszawa 2006 (tam najnowsza literatura tematu).

³ L. Olejnik, *Zdrójcy narodu...*, s. 31.

W styczniu 1945 roku wojska Armii Czerwonej ruszyły do ofensywy. Jednostki I i IV Frontu Ukraińskiego wkroczyły na obszary Górnego Śląska. W pierwszej części operacji, do 7 lutego 1945 roku, Sowieci opanowali tereny po Odrę. Z kolei w ramach tzw. operacji opolskiej (15-31 marca 1945 roku) zajęto pozostałą część Śląska Opolskiego z wyjątkiem południowych skrawków powiatów grodkowskiego i nyskiego.⁴

Jednostki Armii Czerwonej, które w wyniku tych działań wojennych weszły na Górny Śląsk, były przekonane, że wkracząc na tereny niemieckie. Żołnierze frontowi przesuając się na zachód i wyzwajając tereny ZSRR widzieli olbrzymią skalę okrucieństw popełnionych na narodach ZSRR i pałali chęcią zemsty. Zjawisko potęgowała propaganda sowiecka. Doskonale obrazują to słowa jednego z pełnomocników frontowych należącego do „Komitetu Narodowego Wolne Niemcy”, który z Armią Czerwoną wkroczył na Górny Śląsk. Zapisał on:

Wraz z sowieckimi armiami wdarło się barbarzyństwo Hunów z azjatyckich stepów i nie tylko w propagandzie, ale i w traktowaniu ludzi [...]. Trudno sobie wyobrazić, co oznaczało stałe powtarzanie, coraz częstsze, przez wiele lat – Kałmukom, Tatarom, mieszkańcom Kaukazu i Syberii – ludziom pierwotnym, ograniczonym, którzy żyjąc w swej ojczyźnie wśród rozmaitych niebezpieczeństw, biedy i prymitywu, nie szanowali tak życia ludzkiego, jak czynią to obywatele wysoko cywilizowanych krajów: »Niemcy są faszystami, a faszyci to dzięki zwierzęta i trzeba ich zabić!«. Przez z górą trzy lata sowieckie radio monotonna, jak młotem, wbijało w umysły ludzi słowa: „Zabijajcie faszystowskiego okupanta”.⁵

Trudno przedstawić wszystkie wypadki rabunków, gwałtów i morderstw popełnionych przez czerwoarmistów na Górnym Śląsku w chwili wkroczenia na jego teren. Celowym wydaje się więc pokazać najbardziej drastyczne przypadki. Bardzo symptomatyczna jest historia zajęcia przez Sowietów dwóch miast górnośląskich: Gliwic i Olesna. Gliwice były pierwszym dużym górnośląskim miastem przed wojną znajdującym się w granicach III Rzeszy. Tak więc czerwoarmiści wkraczali do niemieckiego „gorodu Głajwic”. Miasto było bronione przez nieliczne jednostki Wehrmachtu i Volkssturm, a przewaga Sowietów była ogromna i w dniach 22-24 stycznia 1945 roku Gliwice znalazły się w ich rękach. Po zajęciu miasta rozpoczęły się sądne dni dla jego mieszkańców. W pierwszej kolejności doszło do mordów w dzielnicach najwcześniej zajętych,

⁴ Szerzej zob. H. Stańczyk, *Od Sandomierza do Opola i Raciborza*, Warszawa 1998; H. Stańczyk, *Operacja sandomiersko-śląska I Frontu Ukraińskiego. Bitwa o Górny Śląsk*, Warszawa 1996; D. Tomczyk, *Śląsk Opolski – 1945. Militarne i polityczne problemy okresu wyzwolenia*, Opole 1989; B. Warzecha, *Działania wojenne na Górnym Śląsku w 1945 roku* [w:] *Województwo śląskie 1945-1950*, pod red. A. Dziuroka i R. Kaczmarka, Katowice 2007, s. 38-55.

⁵ Cytat za Z. Woźniczka, *Skutki wkroczenia Armii Czerwonej i działalności NKWD w 1945 roku* [w:] *Województwo śląskie 1945-1950*, pod red. A. Dziuroka i R. Kaczmarka, Katowice 2007, s. 56-57.

takich jak Szobiszowice, Żerniki i rejon parafii pod wezwaniem Chrystusa Króla. Represje dotknęły przeważnie kobiet, dzieci i starców, bowiem głównie ci pozostali w Gliwicach. Największe nasilenie tych zbrodni miało miejsce w pierwszym tygodniu po zajęciu miasta. W samym Bojkowie (dzisiaj jedna z dzielnic Gliwic) zamordowano z zemsty bądź podczas rabunków i gwałtów około 120 osób, w tym kobiety i dzieci. Józef Bonczol analizując księgi zgonów parafii rzymsko – katolickich ustalił 817 mieszkańców Gliwic pomordowanych w styczniu 1945 roku. Szacuje się, że całkowita liczba ofiar cywilnych mogła sięgnąć nawet 1500 osób.⁶

Trzeba jeszcze w tym miejscu dodać, że w styczniu 1945 roku w Gliwicach miały miejsce 124 samobójstwa, co można głównie tłumaczyć obawą przed nadejściem Armii Czerwonej.⁷

Oto jedna z relacji mieszkańca Gliwic obrazujących co się działo w mieście:

Rankiem 26 I 1945 roku mogłem obserwować, jak dwóch rosyjskich żołnierzy wkroczyło na klatkę schodową w domu moich dziadków i dwoma strzałami zamordowali słabo słyszającego, około osiemdziesięcioletniego współmieszkańca, po tym jak kilka razy wzywali go po rosyjsku do zatrzymania się, co w skutek głuchoty ignorował [...]. Weszli do mieszkania dziadków, podnieśli mojego małego brata za nogi i demonstrowali jak SS rzekomo zabijało małe dzieci. Po naszych okrzykach strachu puścili go i odeszli. Najwyraźniej byli pijani. Godzinę później dwóch innych sowieckich żołnierzy wyprowadziło dwóch lub czterech niemieckich mężczyzn z położonego naprzeciw budynku i zaprowadzili ich do stodoły, w której ich zastrzelili [...]. Po drodze przez miasto widziałem do 40 zastrzelonych niemieckich starych mężczyzn leżących w wejściach do domów.⁸

Przerażające są też wspomnienia mieszkańca Bojkowa:

U nas w Bojkowie nie toczyły się żadne walki, tam tylko plądrowano i podpalano domy. Z pewnością spalono jedną trzecią domów. Gdy do nas do miejscowości wpadli Rosjanie, z pewnością zabito 200 do 300 osób.⁹ Byłem przy tym, gdy później zbierano zwłoki i przenoszono do zbiorowej mogiły.¹⁰

⁶ J. Bonczol, *Styczeń i luty 1945 r. na ziemi gliwickiej i bytomskiej* [w:] „Rocznik Muzeum w Gliwicach”, t. XIII, Gliwice 1998; J. Bonczol, *Rok 1945* [w:] *Historia Gliwic*, red. J. Drabina, Gliwice 1995; B. Tracz, *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945*, Gliwice 2004; Z. Woźniczka, *Gliwice (1945-1946). Trudne wrastanie w nową rzeczywistość*, „Rocznik Muzeum w Gliwicach”, t. XIV, Gliwice 1999, s. 239-273.

⁷ J. Bonczol, *Styczeń i luty 1945 r. na ziemi gliwickiej i bytomskiej...*, s. 245.

⁸ Okręgowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Katowicach (dalej OKŚZpNP IPN Katowice); akta śledztwa S 2/04/Zk t. 2. Protokół przesłuchania świadka H. S. na potrzeby śledztwa IPN, Sąd Rejonowy Olpe 25 I 2005, uwierzytelnione tłumaczenie z języka niemieckiego, k. 249-253.

⁹ W rzeczywistości liczba ofiar była mniejsza. Jak już przedstawiono powyżej liczbę ofiar w tej miejscowości szacuje się na 120.

¹⁰ OKŚZpNP w Katowicach; akta śledztwa S 2/04/Zk t. 4. Protokół przesłuchania świadka G. B. Südjessen 1 VIII 2005, uwierzytelnione tłumaczenie z języka niemieckiego, k. 606-611. Jako koszmar wkroczenie Sowietów zapamiętał Wolfgang Bittner, który zapisał: *Następnego dnia, gdy Armia Czerwona zajęła miasto i zrobiło się*

Gliwice nie tylko poniosły straty ludnościowe, ale też w infrastrukturze miasta. Przyjmuje się, że zniszczono 978 budynków, co stanowiło około 20% całej ówczesnej zabudowy (we wcześniejszym okresie wojny nie odnotowano strat w tkance miasta spowodowanych np. bombardowaniami). Było to tylko częściowo efektem działań wojennych. Gliwice zajęto w dość krótkim czasie, a walki prowadzone w centrum miasta nie były zażarte. Zniszczenia przedstawione powyżej w dużym stopniu wynikały z podpażeń i działań czerwonarmistów już po zajęciu Gliwic (chodziło o celowe podpalania lub zaproszenie ognia w sytuacji, gdy przeszukiwano piwnice posiłkując się świecami lub pochodniami oraz ogrzewając ogniskami kwatery). Nie wyklucza się podpażeń wynikających z działań sabotażowych, ale dotyczyć mogły one głównie obiektów przemysłowych pracujących na potrzeby Armii Czerwonej. Po zajęciu miasta spłonął między innymi Teatr Miejski.¹¹

Zupełnie inna historia dotyczy zajęcia Olesna. Miasto po wycofaniu się oddziałów niemieckich w dniu 20 stycznia 1945 roku dostało się w ręce Sowiec. Olesno, w którym przed wojną mieszkało 7000 osób, w tym momencie, po ewakuacji, liczyło kilkuset starców, kobiet i dzieci. Po wejściu na rynek czerwonarmiści rozpoczęli fetowanie zwycięstwa, co dwóch z nich przypłaciło życiem, zastrzelonych przypadkowo przez towarzyszy broni. Doszło też do strzelaniny przy podziale łupów, co znowu przyniosło kolejne ofiary śmiertelne (między innymi w sklepie zegarmistrza, gdzie doszło do sporu o „czasy”).¹²

W okolicznych miejscowościach Sowczyce i Bodzanowice zdobyto gorzelnie ze sporymi zapasami alkoholu. Według niepotwierdzonych informacji w gorzelniach tych sześciu czerwonarmistów utopiło się w kadziach z alkoholem. W mieście w okresie od 20 do 29 stycznia 1945 r. trwały nieustannie rabunki, gwałty oraz podpalenia. Sytuacja pogorszyła się zwłaszcza po 22 stycznia 1945 r., gdy jednostki pierwszej linii ruszyły dalej na Zachód, a do Olesna weszły oddziały tyłowe. Mieszkańcy zatrzymywani na ulicach pytani byli o narodowość. W przypadku odpowie-

znowu ciszej, żołnierze wtargnęli do naszego domu i zabrali wszystko, co im się spodobało. Wygląd mieli azjatycki, pistolety maszynowe z okrągłymi bębenkami i dziwnie przelamanymi lufami. Jeden z żołnierzy miał na swoim mundurze futro z norek, inny miał na całej ręce pełno zegarków, zegarek koło zegarka – wydało mi się to śmieszne. Na podłodze leżały rzeczy, ubrania oraz zawartość szaf i szuflad. Nasze pianino roztrzaskali na podwórzu, próbując spuścić je na linie przez okno. Dalej ten sam świadek pisze: Niektóre z okolicznych mieszkań zostały zajęte przez Rosjan. Szaleli straszliwie, stale prześladowali kobiety, załatwiali swoje potrzeby do garnków, włosy myli w muszli klozetowej. W. Bittner, Gliwice zwano kiedyś Gleiwitz, Oberhausen – Wrocław 2003, s. 103-104.

¹¹ B. Tracz, *Gliwice pod zarządem Komendantury Wojskowej Armii Czerwonej (styczeń – marzec 1945)* [w:] *Zakończenie wojny na Górnym Śląsku*, pod red. Z. Woźniczki, Katowice 2006, s. 171-172.

¹² A. Pawlik, „Wyzwolenie” Olesna czyli prawda, która boli, „Oleski Telegraf”, 363/16-28 II 2005.

dzi „Niemiec” mogło się to skończyć pobiciem lub internowaniem i wysłaniem w głąb ZSRR. W przypadku, gdy ktoś odpowiadał „Polak” otrzymywał nakaz, by w ciągu 3 dni udać się do Polski (rozumiano pod tym pojęciem tereny Górnego Śląska należące przed wojną do II RP).¹³

Konsekwencje wkroczenia Armii Czerwonej do niebronionego miasta są zatrważające. Straty Armii Czerwonej wraz z tymi, co zginęli na przedpolach miasta, szacowano na około 40 żołnierzy. Olbrzymie спустoszenie w infrastrukturze Olesna poczyniły pożary, których z powodu ucieczki mieszkańców nie miał kto gasić. Jak donosiła administracja polska, która objęła władzę w mieście w marcu 1945 roku, zniszczonych było kompletnie 254 domów, a ocalało 250 budynków, w samym centrum nie przetrwała w całości ani jedna budowla.¹⁴

Przedstawione powyżej przykłady obrazują proces wkraczania Armii Czerwonej do miejscowości Górnego Śląska i ich niszczenia, widoczny zwłaszcza w wypadku organizmów miejskich przed wojną znajdujących się na terenach III Rzeszy. Strat nie uniknęła także stolica Górnego Śląska – Katowice, gdzie 29 stycznia 1945 roku spłonęło centrum miasta, a na tle pożaru sowieccy operatorzy kręcili zdjęcia do kroniki filmowej.¹⁵

¹³ G. Duda, *Rok 1945 w Oleśnie*, zob. <http://www.powiatoleski.pl>.

¹⁴ Archiwum Państwowe w Katowicach, Urząd Wojewódzki Śląski, Wydział Ogólny (dalej AP Kat UWŚl/Og), Sprawozdania Starostwa Powiatowego w Oleśnie z 1945 roku, sygn. 185/1/103. Charakterystyka powiatu oleskiego i jego miasta, Olesno 30 VI 1945, k. 3-8.

¹⁵ Z. Woźniczka, *Katowice 1945-1950. Pierwsze powojenne lata. Polityka – społeczeństwo – kultura*, Katowice 2004, s. 27. Trudno przedstawić wszystkie fakty mordów dokonanych przez żołnierzy Armii Czerwonej na mieszkańcach Górnego Śląska. W świadomości Górnoszlązaków dość głęboko tkwią np. zbrodnie dokonane w dzielnicach Bytomia, takich jak Miechowice, Stolarzowice i Górniki, gdzie liczbę ofiar szacuje się na około 500 osób. Zwłaszcza opisy zbrodni dokonanych w Miechowicach budzą grozę. Ofiarami były bardzo często osoby z widocznym kalectwem. Czerwonoarmiści uznali bowiem, że zostały one okaleczone służąc w wojsku niemieckim na froncie wschodnim. Zdarzały się wypadki postrzeleń osób w taki sposób, że konały przez wiele godzin. Najstarsza ustalona ofiara liczyła 76 lat, a najmłodsza 14. Zob. J. Bonczol, *Styczeń i luty 1945 r. na ziemi gliwickiej i bytomskiej...*, s. 244-244. Do mordów doszło też w Zabrze w odwecie za rzekome zamordowanie 26 I 1945 r. radzieckiego oficera przez młodego fanatyka. Sowietci podpalili kościół pod wezwaniem św. Ducha, następnie rozpoczęły się mordy i rabunki. K. Miroszewski, *Armia Czerwona na Górnym Śląsku – wyzwoliciel czy okupant? [w:] Zakończenie wojny na Górnym Śląsku...*, s. 117; Z. Woźniczka, *Represje wobec mieszkańców Górnego Śląska po 1945 roku [w:] Śląska codzienność po II wojnie światowej*, pod. red. Z. Woźniczki, Katowice 2006, s. 67. Motywy zemsty na mieszkańcach miast górnośląskich za rzekome zastrzelenie oficera sowieckiego pojawiał się dość często. Tak było w przypadku Strzelec Opolskich zajętych 21 I 1945 r. bez większych zniszczeń miasta i tamtejszego zamku. W toku rabunku i celowych podpałów zniknął z powierzchni ziemi niemal w całości rynek. Także po całkowitym splądrowaniu zamku 24 I 1945 r. podłożono w nim ogień, który trawił budowlę kilka dni. Zresztą wśród zabytkowych zamków zniszczonych przez Sowieców znalazły się między innymi: zamek w Świerklańcu oraz kompleks zamkowo-pałacowy w Ru-

Trzeba w tym miejscu poczynić ważną uwagę. Nie można wszystkich żołnierzy Armii Czerwonej przedstawiać jako morderców, grabieżców i gwałcicieli. Niewątpliwie wydarzenia tragiczne zapadały mieszkańcom w pamięci głębiej niż przejawy „normalnego” zachowania się Sowietów. Warto przytoczyć relację Nesty Dyerowicz:

Ci pierwsi, którzy przyszli (Sowieci), nie można powiedzieć, byli porządnymi ludźmi. Do nas przyszedł oficer rosyjski i z moim tatusiem grał w szachy. Ci pierwsi żołnierze, którzy wkroczyli do miasta pomagali dzieciom i starcom i nie byli tacy źli, jak ci, którzy wkroczyli zaraz po nich.¹⁶

Cytat ten pokazuje pewną prawdę. Mianowicie jednostki pierwszego rzutu były niewątpliwie karne i przyzwyczajone do ostrej dyscypliny frontowej. Znaczna część gwałtów i rabunków była wynikiem działalności jednostek tyłowych oraz rekonwalescentów, którzy leczyli się na bezpośrednim zapleczu frontu.

Na opanowanych przez Sowietów terenach powstawały po 20 stycznia 1945 roku komendantury wojenne, co było zgodne z Konwencją Haską z 1907 roku. Szefem służby komendanckiej przy I Froncie Ukraińskim był ppłk Riepin. Na terenach Górnego Śląska, przed wojną znajdujących się w granicach II RP, komendantury, posiadając olbrzymią władzę i często występując z pozycji siły, musiały jednak działać w pewnym porozumieniu z polską administracją. Zajmowały się tutaj głównie zabezpieczeniem zaplecza frontu. Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała na zachodnich obszarach Górnego Śląska, w dawnej rejencji opolskiej (Śląsku Opolskim), czyli na obszarze przed wybuchem wojny znajdującym się w granicach III Rzeszy. W Gliwicach, Zabrze czy Bytomiu jedyna i niepodważalna władza w okresie do końca marca (w niektórych sąsiednich powiatach nawet do maja) 1945 roku należała do Sowietów. Jakikolwiek próby wcześniejszego wejścia przedstawicieli polskiej administracji często kończyły się ich pobiciem lub w najlepszym wypadku wyproszeniem. Można powiedzieć, że obszar Śląska Opolskiego w tym okresie był terenem okupowanym, bezwzględnie eksploatowanym, jak się okazało nie tylko z maszyn, urządzeń, dobytku, ale i siły roboczej. Pełnia władzy, zarówno wojskowej, jak i cywilnej, spoczywała w rękach Sowietów. Komendantury wojenne odegrały poważną rolę w przygotowywanej operacji deportacji Górnoślązaków do ZSRR.¹⁷

dach Raciborskich (w tym ostatnim przypadku mogły o zniszczeniu zabytku zdecydować względy strategiczne). Szerzej zob. A. Dziuba, G. Bębniak, *Zamki na węglu*, Biuletyn IPN 3(74), III 2007, s. 58-64.

¹⁶ Relacja Nesty Dyerowicz z domu Harasim, zebrana przez Bogusława Tracza, kopia w posiadaniu autora.

¹⁷ M. L. Krogulski, *Okupacja w imię sojuszu. Armia Radziecka w Polsce 1944-1956*, Warszawa 2000, s. 12-13; Z. Woźniczka, *Skutki wkroczenia Armii Czerwonej i działalność NKWD w 1945 [w:] Województwo śląskie...*, s. 59-61.

Równocześnie na Górnym Śląsku jako bezpośrednim zapleczu frontu operowały jednostki NKWD. Formacjami tymi przy 1 Froncie Ukraińskim dowodził gen. Paweł Mieszik. Znana jest lokalizacja siedziby NKWD dla całego Górnego Śląska. Umiejscowiona ona była jakiś czas w Zabrze w budynkach kopalni „Königin Luise – Ostfeld”. Jednostki te prowadziły operacje policyjne, zwalczały podziemie niepodległościowe oraz przejmowały jeńców wojennych. To te formacje sowieckiego aparatu represji miały odegrać kluczową rolę w internowaniu, a potem przetransportowaniu mieszkańców Górnego Śląska zarówno z „polskiej”, jak i „niemieckiej” jego części do pracy przymusowej w ZSRR.¹⁸

Koniec wojny nie nadszedł

Samo przejście frontu dalej na zachód nie przyniosło ludności spokoju. Po ugruntowaniu się władzy sowieckiej na zapleczu frontu natychmiast rozpoczął się proces wywożenia infrastruktury przemysłowej z tego terenu. O tym, że był to proceder na masową skalę świadczą dobitnie raporty wywiadu konspiracji antykomunistycznej z okresu od kwietnia do czerwca 1945 roku. Tylko w przeciągu jednego miesiąca (20 IV – 20 V) przez Kraków ze Śląska przejechało do ZSRR 26833 wagony (w tym m.in.: 18560 wagonów z węglem; 4546 wagonów 20 tonowych i 1414 wagonów 60 tonowych z maszynami i urządzeniami; 200 wagonów cyny). W okresie 20 V – 1 VI 1945 r. przez Kraków przejechały następną 10664 wagony z sowieckim „łupem”.¹⁹

Okazało się, że eksploatacja Górnego Śląska była zaplanowana w sposób kompleksowy. Miała dotyczyć nie tylko sprzętu, ale i wykwalifikowanej siły roboczej, która została w 1945 roku wywieziona na przymusowe roboty do ZSRR. Ten fakt historyczny pomimo tego, że do 1989 roku nie wolno było o nim mówić, a tym bardziej pisać, tkwi bardzo mocno w świadomości Górnoszlązaków jako jedno z najboleśniejszych wydarzeń historii najnowszej. Dopiero upadek systemu władzy komunistycznej pozwolił historykom zająć się tym problemem, co zaowocowało publikacjami na ten temat.²⁰

¹⁸ Z. Woźniczka, *Katowice 1945-1950. Pierwsze powojenne lat...*, s. 236.

¹⁹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie (dalej AIPN), sygn. DSZ 11, Spis maszyn, urządzeń, surowców i gotowych produktów wywiezionych z Górnego Śląska do ZSRR w okresie od kwietnia do czerwca 1945 roku (tzw. lista Pużaka), k. 80-82.

²⁰ Z. Woźniczka, *Z działalności polskiego i radzieckiego aparatu represji na Górnym Śląsku w 1945 roku* [w:] *Obozy pracy przymusowej na Górnym Śląsku*, red. A. Topol, Katowice 1994; Idem., *Z Górnego Śląska do sowieckich łagrów*, Katowice 1997; Idem., *Wysiedlenia z Górnego Śląska do ZSRR wiosną 1945 roku* [w:] *Studia Śląskie 2000*, T. LIX; Idem., *Represje wobec mieszkańców Górnego Śląska po 1945 roku* [w:] *Śląska codzienność po II wojnie światowej*, red. Z. Woźniczka, Katowice 2006; S. Fertacz, *Deportacje mieszkańców Górnego Śląska do ZSRR* [w:] *Władze komunistyczne wobec Ziemi Odzyskanych po II wojnie światowej*, red. S. Łach, Słupsk 1997; Idem., *Internowanie i wywóz mieszkańców Górnego Śląska do Związku Radzieckiego w 1945*

Dnia 3 lutego 1945 roku Państwowy Komitet Obrony ZSRR (Gosudarstwiennyj Komitet Oborony – GOKO) polecił dowódcom frontów i pełnomocnikom NKWD przy tych frontach deportować do ZSRR Niemców tzw. zmobilizowanych z terenów Górnego Śląska i Prus Wschodnich, mężczyzn w wieku od 17 do 50 lat. Mieli oni być sformowani w brygady robocze, a następnie przetransportowani do pracy przymusowej w ZSRR, w pierwszej kolejności na terenach Ukraińskiej i Białoruskiej SRR. Kategoria „mobilizacja” oznaczała, że ludziom tym nie musiano przedstawiać jakichkolwiek zarzutów. Stali się oni jedną z form reparacji za straty poniesione przez Sowieców podczas toczącej się jeszcze wojny. Należy zwrócić uwagę na umiejscowienie tego wydarzenia w czasie. Najważniejsze rozkazy w sprawie deportacji Górnoślązaków zapadły 3 lutego 1945 roku, czyli jeszcze przed konferencją mocarstw koalicji antyhitlerowskiej w Jałcie (4-11 luty 1945 r.), gdzie przywódcy USA i

roku [w:] *Śląsko-zagłębiowskie konfrontacje historyczne (XIX-XX wiek)*, red. M. Wanałowicz, Katowice 1999; J. Drabina, *Wywózka Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku*, „Pamięć i Niepodległość” 1997, nr 2. Duże znaczenie dla badania problemu deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku miała sesja naukowa zorganizowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Katowicach oraz Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, która odbyła się 12 II 2004 r. w Katowicach. Jej pokłosiem jest publikacja posesyjna: *Deportacje Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku*, red. A. Dziurok, M. Niedurny, Katowice 2004. Zawiera ona następujące artykuły naukowe: M. Golon, *Od Pomorza Gdańskiego do Górnego Śląska – deportacje ludności cywilnej z ziem polskich do obozów pracy w ZSRR w 1945 r.*, s. 11-34; K. Miroszewski, *Obozy radzieckie a deportacje Górnoślązaków*, s. 35-40; S. Fertacz, *Problemy statystyki Górnoślązaków deportowanych w 1945 r. do ZSRR*, s. 41-50; K. Banaś, *Kategorie osób deportowanych z Górnego Śląska do ZSRR w 1945 r.*, s. 51-66; M. Niedurny, *Warunki życia i pracy deportowanych Górnoślązaków na przykładzie obozów Regionu Doniecko-Nad-dnieprzańskiego*, s. 67-79; J. Neja, *Wpływ deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 r. na życie gospodarcze i społeczne Górnego Śląska w pierwszych latach powojennych*, s. 80-99; A. Kwieciński, *Ustalenia śledztwa w sprawie deportacji Górnoślązaków do ZSRR*, s. 100-103; E. Borkowska, *Wstępne wyniki badań nad deportacjami ludności powiatu gliwickiego przez Armię Czerwoną*, s. 104-109. W 2005 roku ukazała się praca Zbigniewa Gołasza będąca próbą ustalenia listy imiennej internowanych i deportowanych w 1945 roku mieszkańców Zabrze sporządzona na podstawie źródeł proveniencji polskiej (głównie zasobu Archiwum Państwowego w Katowicach). Z. Gołasz, *Śląska tragedia w Zabrzu w 1945 roku. Internowania i deportacje*, Zabrze 2005. Problem ten znalazł też odzwierciedlenie w pracach omawiających zagadnienia powojennej historii Górnego Śląska. Do najciekawszych należą: A. Dziurok, *Śląskie rozrachunki. Władze komunistyczne a byli członkowie organizacji nazistowskich na Górnym Śląsku w latach 1945-1956*, Warszawa 2000; K. Miroszewski, *Armia Czerwona na terenie województwa śląsko-dąbrowskiego* [w:] *Rok 1945 w województwie śląsko-dąbrowskim*, Katowice 2004; B. Tracz, *Rok ostatni – rok pierwszy. Gliwice 1945*, Gliwice 2004; M. Lis, *Polska ludność rodzima na Śląsku po II wojnie światowej (polityczno-społeczne uwarunkowania integracji)*. *Próba syntezy*, Opole 1991; *Ofiary stalinizmu na Ziemi Bytomskiej w latach 1945-1956. Dokumentacja zbrodni*, red. J. Drabina, Bytom 1993; P. Madajczyk, *Przylączenie Śląska Opolskiego do Polski 1945-1948*, Warszawa 1996; H. Stańczyk, *Od Sandomierza do Opola i Raciborza*, Warszawa 1998; J. Drabina, *Historia Chorzowa od 1868 do 1945 roku*, Chorzów 1999; Idem., *Historia Bytomia 1245-2000*, Bytom 2000.

Wielkiej Brytanii zgodzili się na wykorzystanie „pracy niemieckiej” jako jednej z form odszkodowań. Konsekwencje przedstawionej powyżej decyzji władz sowieckich były dla Górnoszlązaków tragiczne. Przede wszystkim na tym pogranicznym terenie zostali oni potraktowani jako „Niemcy”. Na obszarze Śląska Opolskiego w czasie trwania akcji internowań całkowita i niepodważalna władza znajdowała się w rękach sowieckich. W przedwojennej części polskiej Górnego Śląska także prowadzono internowania, choć na mniejszą skalę. W tym procesie wykorzystywano jako organy pomocnicze polską administrację, MO i UB. Najważniejsza dla Sowietów była darmowa siła robocza, stąd nie przyjmowano się ograniczeniami wiekowymi. Co bardzo tragiczne, do obozów w ZSRR trafiały również kobiety.²¹

Na terenach miast górnośląskich przed wojną należących do III Rzeszy już na początku lutego 1945 roku pojawiły się afisze w języku niemieckim i polskim wzywające do stawienia się w określonym miejscu mężczyzn w wieku od 17 do 50 lat. W Zabrze punkt zbiórki mieścił się przy Prezydium Policji, a wyznaczona datą był 14 lutego 1945 roku. Tym, którzy nie zastosowali się do zarządzenia władz sowieckich grożono wysokimi karami, co najbardziej kuriozalne - także zsyłką na Sybir. Oczywiście ci Górnoszlązacy, którzy udali się tam zostali zatrzymani przez Sowietów i oczekiwali na transport do pracy przymusowej w ZSRR.²² W gromadzeniu osób w punktach zbornych Sowietów wykorzystali także działaczy funkcjonującego w Zabrzu Komitetu „Wolne Niemcy”. Z zachowanych relacji wynika, że jego członkowie chodzili po ulicach i zawiadamiali mieszkańców o zorganizowanej przez Sowietów zbiórce. W Niegonowicach jeden z internowanych miał być wskazany przez miejscowego, który podawał Sowietom nazwiska tych, którzy powinni być zatrzymani. Co bardzo ciekawe, ów człowiek internowany w 1945 roku, został rok wcześniej zatrzymany przez gestapo na skutek denuncjacji tego samego donosiciela.²³

Tragizm sytuacji wynikał z faktu, że prawie wszyscy, którzy stawali się na wyznaczonych miejscach byli przekonani, że mieli wykonywać prace porządkowe na terenie przyfrontowym i maksymalnie po kilku dniach zostaną zwolnieni do domu. Niektórzy wrócili po latach, a znaczna ich część pozostała na „niehumanitarnej ziemi”.

W wielu miejscowościach powtarzał się scenariusz przedstawiony na przykładzie Zabrza. Często grożono śmiercią tym, którzy nie chcieli

²¹ K. Banaś, *Kategorie osób deportowanych z Górnego Śląska do ZSRR w 1945 r.* [w:] *Deportacje Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 r...*, s. 51-53.

²² OKŚZpNP IPN Katowice, Akta śledztwa 8/00/Zk „W sprawie deportacji w 1945 roku do ZSRR mieszkańców Górnego Śląska i Śląska Opolskiego połączonej ze szczególnym udrczeniem”, t.1., Protokół przesłuchania E. M., Poznań 1 II 1991, k. 119-121.

²³ Ibidem, t. 3. Protokół przesłuchania G. S., Katowice 11 VIII 1997, s. 536-537; Ibid. t. 2. Protokół przesłuchania J. W., Gliwice 15 II 1993, s. 315-316

zastosować się do rozkazu. Sowieci organizowali wręcz łapanki. W Tarnowie Opolskim podjeżdżali samochodem ciężarowym pod zabudowania i zabierali ze sobą zdolnych do pracy mężczyzn.²⁴

28 marca 1945 roku zmiana górników w kopalni „Bobrek” w Bytomiu wyjechała na powierzchnię. Tam czekali na nich żołnierze NKWD i zatrzymali tych robotników w ubraniach roboczych.²⁵

Przedstawione powyżej przykłady internowań wyraźnie pokazują, że była to akcja zorganizowana na masową skalę. Prowadzono ją od lutego do kwietnia 1945 roku. W jej wyniku do pracy przymusowej wysłano zarówno osoby czynnie działające podczas okupacji w NSDAP czy SA, jak i uczestników powstań śląskich po stronie polskiej, żołnierzy wojska polskiego biorących udział w kampanii wrześniowej 1939 roku czy członków konspiracji antyhitlerowskiej. Zachowane informacje o tym, że niektóre górnośląskie rodziny dowiedziawszy się o zatrzymaniach wykupywały osadzonych w obozach od wartowników w zamian za alkohol, tytoń lub inne przedmioty wartościowe pokazują, że ważna była liczba odpowiednich fachowców, a nie ich „ewentualna wina”.

Bardzo tragiczny wymiar miała akcja internowań prowadzona w przedwojennej „polskiej” części Górnego Śląska. Do udziału w niej zostali bowiem zmuszeni funkcjonariusze lokalnej administracji i MO. Podstawowym problemem jest stwierdzenie, czy milicjanci, którzy zabierali z domostw Górnoślązaków w towarzystwie żołnierzy NKWD mieli świadomość, co się z nimi stanie? Prowadzona kwerenda w materiałach sprawozdawczych MO z 1945 roku pozwoliła na prawdopodobną odpowiedź na to istotne pytanie. W raporcie posterunku MO w Makoszowach zapisano bowiem w kwietniu tego roku:

Dnia 14 IV bieżącego miesiąca zażądał sierżant sowiecki Zynczusznij nr polowy 44146 przedstawiając pismo sowieckiego pułkownika Wasilijewa z żądaniem zmobilizowania do robót wojskowych w ilości 150 i to natychmiast. Pomiędzy przedstawienia mu, że obowiązuje rozkaz by zgłaszano się po przydział ludzi do pracy, co najmniej 24 godziny przed zabraniem ich, oświadczył, że ludzi zażądanych musi mieć natychmiast, w przeciwnym razie zostanie przez swego pułkownika aresztowany. W związku z tym sierżant sowiecki z trzema żołnierzami przy pomocy dwóch milicjantów z tutejszego posterunku na czele z komendantem posterunku i urzędnikiem z Urzędu Pośrednictwa Pracy przechodzili domy tutejszych mieszkańców, skąd zabierali znajdujące się osoby, bez względu na grupę listy narodowej i to wyłącznie kobiety z grupy III i IV. Przytrzymanych i odprowadzonych zostało 22 osoby, w tym jeden mężczyzna.²⁶

Można przyjąć, że milicjanci byli zobligowani do dostarczenia na wezwanie władz sowieckich określonej liczby osób. Prawdopodobnie

²⁴ Ibidem, t. 9. Protokół przesłuchania E. S., Opole 10 X 2001, s. 1578-1580.

²⁵ Ibidem, t. 1. Protokół przesłuchania A. G., Bytom 30 V 1990, k. 33-34.

²⁶ Archiwum IPN w Katowicach (dalej AIPN Ka), Raporty z podległych jednostek MO 1945-1947, sygn. IPN Ka 71/16. Meldunek do Komendy Wojewódzkiej MO Wydziału Polityczno-Wychowawczego z Komendy Powiatowej MO w Katowicach, Katowice 16 IV 1945, k. 12-12V.

byli przekonani, że będą one wykorzystane do prac porządkowanych prowadzonych na zapleczu frontu. Ich wywózka do pracy przymusowej w ZSRR prawdopodobnie była zaskoczeniem, także i dla władz komunistycznych oraz organów bezpieczeństwa. Zostały one postawione przed faktami dokonanymi.

Zachowały się relacje osób, które zostały zatrzymane przez milicję i odstawione władzom sowieckim. Tak było w przypadku mieszkańca Szopienic, nota bene syna powstańca śląskiego, mającego w chwili zatrzymania 16 lat. Dość trafnie ocenił on stosunki panujące pomiędzy MO i NKWD w Szopienicach. Zeznał on:

Chciałbym nadmienić, iż w komisariacie była rosyjska komenda. Pisano i mówiono po rosyjsku. Polacy nie mieli tam nic do powiedzenia.²⁷

Wydarzenia z 1945 roku mają do dzisiaj swój oddźwięk w życiu mieszkańców Górnego Śląska. Ciągłe istnieje pamięć o tych, którzy jako milicjanci lub sołtysi wskazywali Sowiecom osoby do zatrzymania lub brali w nich udział. To z kolei przekłada się na wzajemne relacje w lokalnych społecznościach, gdzie potomkowie uczestników obydwu stron tragedii górnośląskiej z 1945 roku żyją do dziś obok siebie.

Internowani przez Sowieców Górnoszlązacy byli bardzo cennym łupem jako darmowa siła robocza. W większości byli to ludzie posiadający wysokie kwalifikacje zawodowe. Niewątpliwie znaczącą część internowanych stanowili pracownicy kopalń, stąd często w tekstach popularno-naukowych spotka się informacje o deportacji „górników z Górnego Śląska”. W rzeczywistości wywieziono na wschód także hutników, ślusarzy, mechaników czy kowali. Jako ciekawostkę można podać fakt, że w tej rzeszy znalazł się też artysta Paweł Steller, autor odsłoniętego pod koniec lutego 1945 roku pierwszego w Katowicach pomnika „wdzięczności Armii Czerwonej”. Deportacja Górnoszlazaków z 1945 roku ma szczególny wymiar jeszcze z jednego powodu. Pośród internowanych znajdowały się kobiety. Często były one zabierane do kopania okopów, a potem część z nich po zatrzymaniu została przewieziona do łagrów w ZSRR. Odnotowano też przypadki, gdy dochodziło do aresztowań kobiet przez żołnierzy NKWD na podstawie wcześniej przygotowanych list. W większości punktem zbornym, w którym czekały na przewiezienie na wschód było więzienie w Bytomiu, a w przypadku kobiet z Bielska i okolic zakład karny w Sanoku, dokąd były przewożone ciężarówkami.²⁸

Natychmiastowe przetransportowanie olbrzymiej masy internowanych Górnoszlazaków nie było możliwe z kilku względów. Jednym z najważniejszych był fakt, że w lutym 1945 roku nie było jeszcze szerokotorowej linii prowadzącej z Katowic na wschód poprzez Kraków. Trwały

²⁷ OKŚZpNP IPN w Katowicach, Akta śledztwa 8/00/Zk t. 6. Protokół przesłuchania G.M., Katowice 24 VIII 2001, k. 1092-1094.

²⁸ K. Banaś, *Kategorie osób deportowanych z Górnego Śląska...*, s. 51-66.

prace torowe i NKWD do czasu ich zakończenia musiało poczekać ze względów logistycznych. Transport kilkudziesięciu tysięcy osób w warunkach jeszcze toczącej się wojny musiał być rozłożony w czasie z racji priorytetowego traktowania zaopatrzenia dla Armii Czerwonej. Należy też pamiętać, że cały teren Górnego Śląska usiany był punktami wyznaczonymi przez Sowieców, w których internowano Górnoślązaków. Bardzo często były to budynki użyteczności publicznej (szkoły, przedszkola), piwnice, areszty, jak i zwykłe zabudowania gospodarcze. Następny etap polegał na przetransportowaniu internowanych do większych punktów zbornych: obozów i więzień. Maszerowali więc oni w kolumnach eskortowanych przez żołnierzy NKWD. Jak wspomina jeden z internowanych w Bytomiu, wraz z innymi szedł w kolumnie liczącej 3000 osób do Gliwic, gdzie zostali umieszczeni w budynkach tamtejszych koszar. Tam już czekali na podstawienie wagonów kolejowych. Równocześnie w więzieniu w Bytomiu było osadzonych około 1650 internowanych. Do podobnych celów użyto budynku więzienia w Bielsku. Mury otaczające tamtejszy zakład penitencjarny były zniszczone i osadzeni mogli próbować ucieczki. Powstrzymywały ich przed tym słowa żołnierzy NKWD, którzy zapewniali, że rodziny tych, co uciekną zostaną rozstrzelane.²⁹

Górnoślązacy przeszli swoistą drogę przez mękę. Dobrze obrazują to zjawisko przeżycia mieszkańca Przyszowic. Zatrzymany przez Sowieców w tej miejscowości został najpierw osadzony w piwnicy urzędu gminnego. Potem przetransportowano go do Gierałtowic i tam w mieszkaniu dołączono do grupy około 30 osób. Następny etap tej wędrówki to miejscowość Stanica, gdzie został przesłuchany i poddany torturom przez NKWD. Rozpytywano go zwłaszcza o przeszłość okupacyjną. Ze Stanicy pieszo internowani powędrowali do Gliwic, gdzie w tamtejszym więzieniu oczekiwali na wywózkę do ZSRR.³⁰ Trudno mówić o jednolitych procedurach postępowania Sowieców w stosunku do internowanych. Większość zachowanych relacji wyraźnie mówi o nastawieniu władz NKWD na zebranie jak największej liczby Górnoślązaków bez oglądania się na ich wiek i stan zdrowia. Zdarzały się też sytuacje wyjątkowe. Osoby zatrzymane w szkole przy kopalni „Dymitrow” w Bytomiu zostały przebadane przez zebraną komisję lekarską, która uwolniła niezdolnych do pracy.³¹

Przez teren całego Górnego Śląska od połowy lutego 1945 roku maszerowały kolumny „żywego łupu wojennego”, które zmierzały do punktów zbornych. Bardzo często wykorzystywano do tego celu obozy. Do największych z nich można zaliczyć te umiejscowione w Blachowni, Kędzierzynie, czy Łabędach. Osadzeni tam ludzie pracowali przy demontażu przedzeń przemysłowych, a równocześnie trwała wśród nich se-

²⁹ Ibidem, t. 6. Protokół przesłuchania J. J., Cieszyn 21 XII 2000, k. 977-981.

³⁰ Ibidem, t. 1. Protokół przesłuchania M. H., Przyszowice 25 VI 1990, k. 47.

³¹ Ibidem, t. 25. Protokół przesłuchania A. Sz., Katowice 7 VIII 2003, s. 4913-4916.

lekcja osób przeznaczonych do wywózki do pracy w łagrach. Co konieczne należy podkreślić, do swych celów Sowietci użyli infrastruktury obozów hitlerowskich w Oświęcimiu. Funkcjonowały tam dwa obozy NKWD o numerach 22 i 78 kierowane przez płk. Masłobojewa. Jeden z nich mieścił się na terenie byłego Auschwitz I (Stammlager) a drugi w Brzezince, wewnątrz tzw. obozu kobiecego. Przetrzymano tam zarówno jeńców wojennych, jak i osoby uznane za Niemców z terenów Górnego Śląska, dla których był to etap w wędrówce do pracy na wschód.³²

Droga w jedną stronę. Transporty z Górnego Śląska ruszają na wschód

Transport Górnoślązaków do ZSRR przebiegał kilkoma drogami. Zdecydowana większość z nich była przewożona koleją z Bytomia i Katowic linią szerokotorową przez Kraków. Pierwsze takie transporty wyruszyły w marcu 1945 r. Część osób, zwłaszcza z terenu Bielska, została przewieziona samochodami do Sanoka i dopiero tam załadowana do wagonów kolejowych. Zwłaszcza pobyt w więzieniu w Sanoku okazał się gehenną dla internowanych. Możliwości tamtejszego więzienia co do przetrzymania rzeszy przywożonych ciężarówkami ludzi były skromne. Powodowało to olbrzymie zagęszczenie osadzonych w celach. Jak wspomina jedna z więźniarek, w celi o powierzchni 20 metrów kwadratowych przebywało nawet do 40 więźniów.³³

Dla innych punktami pośrednimi w transporcie na wschód były obozy NKWD w Oświęcimiu oraz więzienie na Montelupich w Krakowie.

Sam opis poszczególnych transportów jest dość podobny. Wiadomo, że jeden z nich, który wyjechał z Krakowa, liczył około 30 wagonów tzw. bydłęcych, w których było 80-100 osób. Wynika z tego, że liczył on maksymalnie 3000 zesłańców. Odnotowana śmiertelność w jednym z wagonów wynosiła 4 osoby, więc w całym transporcie kilka procent zesłańców nie dożyło końca podróży. Wyżywieniem w tym konkretnym transporcie były 2 bochenki spleśniałego chleba oraz wiadro wody co 2 dni na jeden wagon.³⁴

Inna relacja z podróży potwierdza, że transporty kolejowe liczyły około 2000-2500 osób. Wagony mieściły prycze piętrowe i podróżowało w nich 50-60 mężczyzn. Posiłki otrzymywano dwa razy dziennie, ale nie zawsze były one gotowane (surowe ziemniaki i groch). W wagonach nie było żadnych urządzeń sanitarnych, a jedynie dziura w podłodze. W czasie jazdy, która trwała kilka tygodni, zdarzały się postoje 3-4 dniowe. Transport był strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy NKWD, a wagony

³² K. Miroszewski, *Obozy radzieckie* [w:] *Województwo śląskie...*, s. 276-279; OKŚZpNP IPN w Katowicach, Akta śledztwa 8/00/Zk t. 6. Pismo Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, Oświęcim 31 I 2001, k. 1160-1162.

³³ Ibidem, t. 3. Protokół przesłuchania A. N., Bielsko Biała 22 XI 1996, k. 406-407.

³⁴ Ibidem, t. 3., Protokół przesłuchania W. B., Katowice 20 IV 1990, k. 19-20.

zamknięte. Jednym z najczęściej występującym elementom w opisach tego tragicznego wydarzenia był panujący w wagonach chłód. Albo nie były one ogrzewane, albo miały niewielkie piecyki, do których opał kończył się po 2-3 dniach podróży. Osobom chorym nie udzielano żadnej pomocy medycznej, ciała zmarłych umieszczano w osobnym wagonie lub wyrzucano z pociągu na pobocze torowiska.³⁵

Górnoślązacy zostali rozmieszczeni w łagrach na terenie całego ZSRR. Najwięcej z nich trafiło na teren wschodniej części Ukrainy do Regionu Doniecko-Naddnieprzańskiego. Był to jeden z kluczowych dla Sowietów ośrodków przemysłowych z dwoma dużymi okręgami przemysłowymi: Zagłębiem Donieckim (Donbas) i Naddnieprzańskim Okręgiem Przemysłowym. Donbas zajmował w ZSRR czołową pozycję w wydobywaniu węgla, a Okręg Naddnieprzański w pozyskiwaniu rudy żelaza. Darmowa praca wysoko wykwalifikowanych Górnoślazaków została więc wykorzystana do produkcji żelaza i stali. Byli bardzo cenni z racji strat, jakie poniosła rodzima ludność w wyniku II wojny światowej i stanowili istotny element utrzymania poziomu tamtejszej produkcji przemysłowej. Górnoślązacy trafili m.in. do następujących ośrodków: Krzywy Róg, Donieck (Stalino), Dniepropietrowsk, Dnieprodzierżyńsk czy Ługańsk (Woroszyłowgrad). Część została wywieziona znacznie głębiej na terytorium ZSRR, bo do Zagłębia Kemerowskiego w Zachodniej Syberii, czy też do Kazachstanu. Jak się okazało, wysokie kwalifikacje zawodowe były przekleństwem dla deportowanych. Byli bowiem dla gospodarki ZSRR szczególnie wartościowi i władze w Moskwie broniły się przed ich powrotem do Polski.³⁶

Jeśli chodzi o życie obozowe to można mówić o typowym losie łagiernika. Podstawą była wyczerpująca, ciężka praca. Jak podkreślają relacje dużym problemem był prymitywizm gospodarki sowieckiej. Przybysze z Górnego Śląska mieli wcześniej do czynienia z rozwiniętymi zakładami pracy z w miarę nowoczesnymi maszynami i urządzeniami ułatwiającymi pracę. Wielu z nich było doskonałymi fachowcami m.in. z zakresu mechaniki. W ZSRR ich praca opierała się na bardzo prostych narzędziach. To właśnie wysiłek fizyczny, złe warunki bytowe oraz marne wyżywienie były przyczyną dużej śmiertelności deportowanych. We wspomnieniach znajdujemy informacje o znośnym traktowaniu osadzonych w obozach przez strażników. Były jednak wypadki złego traktowania, zwłaszcza przez dozorców ukraińskich. Zdarzały się próby ucieczki, ale wydostanie się z ZSRR graniczyło z cudem i dlatego dość szybko uciekinierzy trafiali z powrotem i tam karano ich osadzeniem w karczerze.

³⁵ Ibidem, t. 10. Protokół przesłuchania J. P., Opole 20 XI 2001, k. 1804-1807; Ibid. t. 25. Protokół przesłuchania R. K., Ruda Kozielska 5 VIII 2003, k. 4908-4910. Ibid. t. 7. Protokół przesłuchania K. R., Szczecin 13 II 2001, k. 1168-1171.

³⁶ Szerzej zob. M. Niedurny, *Warunki życia i pracy deportowanych Górnoślazaków na przykładzie...*, s. 67-70.

Brakowało podstawowej opieki medycznej, a baraki szpitalne czy izby chorych funkcjonowały tylko w niektórych obozach. Nie było podstawowych medykamentów, wobec tego wszelkie epidemie zbierały krwawe żniwo wśród osadzonych. Zdarzała się wręcz obawa przed szukaniem pomocy medycznej w takim miejscu, gdzie, jak zeznał jeden z Górnosłazaków, jedynym lekarstwem była aspiryna.³⁷

Trudny powrót

Dość szybko władze polskie zorientowały się, że wywieziono z terytorium Polski kilkadziesiąt tysięcy Górnosłazaków. Podjęto starania o ich powrót. U genezy działań władz trzeba wymienić kilka czynników. Przede wszystkim z Górnego Śląska wywieziono robotników. Dla państwa, które miało być oparte o „sojusz robotniczo-chłopski” był to poważny cios godzący w jego prestiż. Na to nakładały się względy ekonomiczne. Odradzające się państwo polskie potrzebowało jak najszybszego uruchomienia potencjału przemysłowego niezbędnego dla odbudowy zniszczeń. Kluczową rolę miał w tym procesie odgrywać przemysł górnośląski, dostarczający strategicznych towarów jak węgiel i stal. Tymczasem w tamtejszych zakładach panował katastrofalny brak pracowników wywiezionych do ZSRR. Ich uzupełnienie nie było proste nie tylko ze względów demograficznych, ale z powodu niedoboru wykwalifikowanej siły roboczej. W kopalniach i hutach musieli pracować specjaliści o najwyższym stopniu fachowości, tymczasem ci zostali wywiezieni do pracy przymusowej, gdzie nota bene ich wiedza i umiejętności były słabo wykorzystywane z uwagi na prymitywizm znacznej części zakładów przemysłu ciężkiego w ZSRR (zwłaszcza kopalń). Żeby nie być gołosłownym można podać, że obsada hut i kopalń na terenie przedwojennej polskiej części Górnego Śląska w marcu 1945 roku kształtowała się na poziomie 50% kadry przedwojennej.³⁸

Na obszarze Śląska Opolskiego internowania miały zdecydowanie większy zasięg, stąd można przyjąć, że sytuacja na rynku pracy była tam katastrofalna. Dodatkowo należy wspomnieć, że gdy od marca 1945 roku władza polska zaczęła przejmować ten teren od Sowieców, napotkała zdevastowane zakłady przemysłowe z wywiezioną do ZSRR nowoczesną infrastrukturą. Kopalnia w Bytomiu-Miechowicach w maju 1945 roku zatrudniała 800 osób, z czego kobiety stanowiły 75%, a reszta to głównie lu-

³⁷ OKŚZpNP IPN w Katowicach, Akta śledztwa 8/00/Zk t. 7. Protokół przesłuchania S. P., Katowice 28 II 2001, k. 1246-1247. Szerzej zob. M. Niedurny, *Warunki życia i pracy deportowanych Górnosłazaków na przykładzie...*, s. 70-79.

³⁸ Dobrze obrazuje tę sytuację przykład kopalni „Wujek” w Katowicach. Przed wybuchem wojny pracowało w niej 2270 górników i wydobywano tam 4500 ton węgla dziennie. Podczas okupacji wskaźniki te wzrosły i wynosiły 3800 zatrudnionych i 5500 ton wydobywania. Tymczasem w lutym 1945 roku pracowało tam zaledwie 1500 osób, które wydobywały 800 ton węgla dziennie. Analogicznie wyglądała sytuacja w innych kopalniach i hutach. AP Kat, Akta Pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów w Katowicach, sygn. 476/2. Sprawozdanie Pełnomocnika KE RM za okres 29 I – 10 III 1945, k. 1-29.

dzie starsi (często inwalidzi) lub młodociani. Trudno mówić w tej sytuacji o przydatności tych ludzi do ciężkiej pracy górnika. Brak fachowców, nacisk na zwiększenie tempa wydobywania i zły stan techniczny przekładał się na wzrost wypadków. Przed wybuchem wojny, w 1937 roku, notowano przeciętnie 4,7 wypadków śmiertelnych na 1 milion ton wydobytego węgla. Po zakończeniu II wojny światowej, w okresie od maja do grudnia 1945 roku, wskaźnik ten podwoił się i wynosił 8,62. Szybkie uzupełnienie braków kadry fachowej było niemożliwe z racji tego, że doświadczenie w pracy nabywało się w toku wielu lat zatrudnienia.³⁹

Innym ważnym powodem starania się władz polskich o powrót Górnoślązaków były społeczne konsekwencje deportacji. Uderzyły one bardzo mocno w tradycyjny model śląskiej rodziny, gdzie ojciec pracował, natomiast matka zajmowała się domem i wychowaniem potomstwa. Wywózka do ZSRR dotknęła głównie mężczyzn, co doprowadziło wiele takich rodzin do skrajnego ubóstwa i zmuszało kobiety do podjęcia pracy zarobkowej. W połowie 1945 roku starosta bytomski podawał, że z powodu nędzy umierało dziennie 2-7 dzieci, a kilkadziesiąt matek zwracało się o pomoc do władz lokalnych. Organy administracyjne nie mogły sobie z tym problemem poradzić z uwagi na skromne środki finansowe przeznaczone na pomoc społeczną.⁴⁰

Ta katastrofalna sytuacja znalazła swój wyraz w dramatycznym apelu kobiet ze Śląska Opolskiego skierowanym w lutym 1946 roku do Rządu Polskiego, w którym napisano między innymi:

Nas kobiety z dziećmi osierocono, bo nam zabrali żywicieli. Nikt się o nas nie stara, pracy nie ma, wsparcia żadnego nie dostajemy. Sprzedać nie ma co, bo rok długi a my niebogaci, bo robotnicy. Bóg jedyny wie jaką nam krzywdę uczyniono przez internowanie naszych mężów, niewinnych Polaków.⁴¹

Na koniec należy wspomnieć o jeszcze jednym z czynników determinującym starania strony polskiej. Po zakończeniu wojny w opolskiej części Górnego Śląska prowadzono akcje weryfikacyjną w ramach której byli obywatele III Rzeszy mogli się starać o otrzymanie pełnych polskich praw obywatelskich i weryfikacyjną, w wyniku której mogli pełnić praw

³⁹ J. Jaros, *Historia górnictwa węglowego w Polsce ludowej (1945-1970)*, Warszawa – Kraków 1973, s. 66; J. Neja, *Wpływ deportacji Górnoślązaków do ZSRR na życie gospodarcze...*, s. 84-85. W marcu 1946 roku dyrekcja kopalni „Bobrek” pisała do wojewody śląskiego o interwencję na rzecz powrotu górników z tamtejszej kopalni z pracy przymusowej w ZSRR. Podawano przy okazji dane statystyczne. Tylko z tej kopalni Sowietci internowali w 1945 roku 900 wykwalifikowanych pracowników, z czego do III 1946 r. powróciło 200. Akta śledztwa 8/00/Zk t. 5. Pismo do wojewody śląsko-dąbrowskiego gen. Aleksandra Zawadzkiego z Kopalni „Bobrek”, Bobrek 12 III 1946, k. 823.

⁴⁰ AP Kat UWŚl/Og. Sprawozdania Starostwa Powiatowego w Bytomiu za 1945 rok, sygn. 185/1/86. Sprawozdanie Starostwa Powiatowego Bytom za okres 15 VII – 15 VIII 1945, Bytom 23 VIII 1945. k. 55-61.

⁴¹ Akta śledztwa 8/00/Zk t. 5. Oficjalne zażalenie do Obywateli Premierów i Przodowników Rządu Polskiego w Warszawie, Śląsk Opolski II 1946, k. 857-858.

obywatelskich odzyskać posiadacze DVL. W przypadku deportowanych nie mieli oni takiej możliwości. Kierując się przedstawionymi powyżej przesłankami, wojewoda śląsko-dąbrowski gen. Aleksander Zawadzki oraz vice wojewoda Jerzy Ziętek podjęli aktywne kroki w tej materii. Powołano Komisję do spraw Ujawniania Polaków w Sowieckich Obozach Pracy, na której czele stanął Alfred Limanowski. Od tego czasu sprawa zwolnienia Górnoszlązaków była podnoszona przez kilka najbliższych lat w rozmowach polsko sowieckich na najwyższym szczeblu. Okazało się, że ZSRR nie był skłonny zgodzić się na powrót deportowanych, głównie z powodu tego, że byli niezwykle potrzebni sowieckiej gospodarce. Pierwsi internowani zaczęli wracać już pod koniec 1945 roku, ale byli to głównie ci, którzy nie nadawali się do pracy. W następnych latach wracali kolejni. Przy tym należy pokreślić, że strona polska ubiegała się o powrót tylko tych, których uznano za Polaków. Wobec niejasności pojęcia i nieostrych standardów kwalifikacji stosowanych przez poszczególne jednostki administracji lokalnej, możemy mówić o olbrzymim zamieszaniu w tej materii.

Podczas starań o powrót osób z obozów pracy w ZSRR na Górnym Śląsku przeprowadzono trzy wielkie akcje tworzenia spisów imiennych internowanych Górnoszlązaków uznanych za Polaków. Pierwsza z nich została stworzona przez starostów i przesłana do Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego w okresie od maja do sierpnia 1945 roku. Lokalne władze administracyjne umieszczały na sporządzanych wykazach imiennych nazwiska zatrzymanych przez Armię Czerwoną w ramach oczyszczania tyłów lub zabranych do prac porządkowych na zapleczu frontu. Jeszcze wtedy nie było wiedzy, co się z tymi ludźmi stało. W zachowanych w Archiwum Państwowym w Katowicach listach znajduje się około 25000 nazwisk Górnoszlązaków uznanych za Polaków i znajdujących się w dyspozycji Sowietów. Jak każda duża akcja społeczna była obciążona sporą liczbą nieścisłości. Wiele nazwisk na zestawieniach powtarzało się lub występowało w różnych zapisach fonetycznych w kilku miejscach (np. Biernot-Biernoth). Nie zachowały się też listy z wszystkich powiatów. To ważne dla badania zjawiska deportacji na omawianym terenie źródło pokazuje problem pośrednio. Zawiera bowiem nazwiska osób zatrzymanych przez Sowietów, z których nie wszyscy zostali deportowani do ZSRR (część mogła zostać w obozach pracy na miejscu demontując urządzenia przemysłowe). W pierwszej połowie 1946 roku ruszyła akcja tworzenia kolejnego zestawienia Górnoszlązaków „opcji polskiej” sporządzonego przez Polski Związek Zachodni. Umieszczono na nich nazwiska około 19-20000 osób, głównie z terenu Śląska Opolskiego. W tym czasie konstruowano już kolejny spis, uważany za najbardziej miarodajny przez Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego (CZPW). Powstała lista 9877 deportowanych górników, pracowników Bytomskiego, Gliwickiego, Rudzkiego, Zabrskiego i Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, wydana w formie książko-

wej w grudniu 1946 roku i przeznaczona do starań o powrót internowanych. Publikacja nosi tytuł: *Spis polskich obywateli – górników wywiezionych do ZSRR z początkiem 1945 roku z terytorium Górnego i Opolskiego Śląska*. Zawierała nazwiska tych, którzy do momentu druku publikacji nie powrócili z pracy przymusowej w ZSRR.⁴²

Dochodzimy tu do kluczowego pytania: ile osób tak naprawdę deportowano z Górnego Śląska do pracy przymusowej w ZSRR. Przyjmuje się, że w ogólnej licznie było około 25-30 tys. Górnoślązaków narodowości polskiej i to o ich powrót się głównie starano. Henryk Stańczyk opierając się na źródłach sowieckich przyjął tezę, że globalna liczba ludzi (niezależnie od opcji narodowościowej) zatrzymanych, a potem wywiezionych na wschód z tego terenu sięga nawet 90000 osób.⁴³

Także w kwestii określenia liczby osób, którym udało się powrócić z „niehumanitarnej ziemi” nie ma dokładnych danych. Możemy posiłkować się jedynie wyrywkowymi informacjami. Powroty większych grup osób trwały głównie do 1950 roku, choć i potem notowano jednostkowe przypadki osób, które wróciły z ZSRR. Do 30 września 1949 roku według zestawień CZPW powróciło 5603 górników i co ciekawe tylko 1645 spośród nich znajdowało się w *Spisie polskich obywateli – górników*. Jeszcze w połowie 1949 roku polska ambasada w Moskwie monitowała u władz sowieckich o powrót 8 328 osób. Część powróciła bezpośrednio do Niemiec, co dodatkowo utrudnia jakiegokolwiek obliczenia w tej materii. O ile przyjmuje się, że spośród deportowanych z Pomorza Wschodniego śmiertelność oscylowała w granicach 15 %, to w przypadku Górnoślązaków była znacznie wyższa.⁴⁴

Pro memoriam

Dla Górnego Śląska zakończenie II wojny światowej oznaczało szczególny czas, kiedy doszło do bardzo głębokich zmian w istniejącej od wieków „małej ojczyźnie”, opartej na wielokulturowości. Samo przejście frontu spowodowało ucieczkę z tego terenu głównie Niemców oraz osób silnie związanych z nazistowskim aparatem władzy. Na to nałożyły się zbrodnie popełnione przez Sowietów na ludności cywilnej oraz dewastacje i demontaż infrastruktury przemysłowej. Zniszczono wiele zabytków oraz dóbr kultury. Potem przyszedł czas weryfikacji narodowościowej i wysiedlania osób uznanych za Niemców. Znaczna część z tych rodzin od wieków była związana z Górnym Śląskiem. Z uwagi na to, że natura nie lubi próżni na ich miejsce przybyli ludzie z zewnątrz, co nie pozostało bez wpływu na sytuację powojennego Górnego Śląska. W to wszystko wpisuje się też deportacja około 90 000 osób, z których znacz-

⁴² S. Fertacz, *Problemy statystyki...*, s. 41-50.

⁴³ H. Stańczyk, *Od Sandomierza...*, s. 269-270. Autor w swych badaniach wykozystał dokumenty z archiwów sowieckich i można uznać jego ustalenia za wiarygodne.

⁴⁴ M. Golon, *Od Pomorza Gdańskiego do Górnego Śląska...*, s. 28-34.

na część pozostała na „niehumanitarnej ziemi”. Inni wracając na zachód wybrali jako kraj docelowy Niemcy. Jak widać, ta ziemia wchodziła w nowy okres Polski komunistycznej z olbrzymim bagażem doświadczeń. Jak się okazało przyszłość pod nową władzą „robotniczo-chłopską” też była niezwykle trudna i skomplikowana.

EDWARD DUCHNOWSKI

**ZBRODNI PRZECIWIW LUDZKOŚCI.
ŚWIADKOWIE CZASÓW
OPOWIADAJĄ O DEPORTACJACH NA SYBERIĘ**

W dniach od 13-16 marca 2008 roku odbyło się pod patronatem Unii Europejskiej oraz władz krajowych Saksonii międzynarodowe seminarium pod nazwą „Zbrodnie przeciwko ludzkości, świadkowie czasów opowiadają o deportacjach”. Uczestnicy tego ze wszech miar interesującego spotkania byli gośćmi Międzynarodowego Centrum Spotkań (Internationales Begegnungszentrum St. Marienthal), mieszczącego się w byłym zespole klasztornym St. Marienthal nad Nysą na terenie Niemiec. Klasztor założyła w 1234 roku czeska królowa Kunegunda i był on parokrotnie niszczonej w wyniku różnych wojen, po raz ostatni podczas drugiej wojny światowej. Odbudowany ze zniszczeń należy obecnie do znaczących w Europie zespołów klasztornych związanych z Zakonem Cystersów.

W spotkaniu uczestniczyli Niemcy, Polacy, Czesi, Macedończycy i Grecy. Podzielili się oni refleksjami dotyczącymi przesiedleń i deportacji spowodowanych drugą wojną światową oraz sytuacją polityczną po jej zakończeniu. Wśród polskich uczestników sympozjum byli reprezentanci licznej rzeszy Związku Sybiraków deportowani w latach 1939-1941 na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego ZSRR a także ci, którzy doświadczyli przesiedleń z polskich Kresów Wschodnich po roku 1945, gdy ziemie te weszły w skład republik radzieckich. Przesiedleńcy ci osiedleni zostali na Dolnym Śląsku oraz w innych rejonach tzw. Ziemi Odzyskanych.

Uczestnicy tych masowych deportacji w głąb ZSRR, skazani na zesłańcą egzystencję w przerastającej i przytłaczającej ich syberyjskiej rzeczywistości, której ani ogarnąć, ani zmienić nie mogli, żyją do dzisiaj w tej traumie ściśle związanej z ich psychiką, co znalazło swój wyraz w opracowaniach publikowanych w specjalistycznych czasopiśmie naukowych, w tym także na łamach „Zesłańca”. W ich imieniu na seminarium w St. Marienthal referat programowy wygłosił mgr Edward Duchnowski, Sekretarz Generalny Zarządu Głównego Związku Sybiraków, który publikujemy poniżej. Z charakterystyczną trafnością i obfitością spostrzeżeń naszkicował on obraz sowieckich deportacji i zesłań Polaków na Syberię i zamknął swój wywód podkreśleniem znaczenia jakie wspomniane seminarium miało dla wartości poznawczej dotyczącej tego aspektu zbrodni przeciwko ludności. (red).

Szanowni Państwo.

Nasze dzisiejsze spotkanie jest wydarzeniem historycznym. Odbywa się, bowiem w czasie, kiedy Polska jest od przeszło dwóch lat członkiem

wielkiej rodziny europejskiej – Unii Europejskiej. Ta organizacja skupiająca blisko pół miliarda mieszkańców Europy jest dowodem, że przezwyciężone zostały podziały wywołane II wojną światową i podziałem kontynentu na dwa przeciwstawne obozy. Dzisiaj, we wspólnej Europie budujemy wspólną przyszłość. Jednakże nie zapominamy o przeszłości!

Związek Sybiraków od początku swego powstania wyznawał dewizę: „Pamięć Zmarłym – Żyjącym Pojednanie”. Odnosząc się do tematu naszego spotkania, chciałbym podkreślić, że to właśnie my, polscy Sybiryacy jesteśmy pierwszymi ofiarami przymusowych przesiedleń i deportacji, i to nam przynależeć powinno określenie ofiar „zbrodni przeciw ludzkości” w okresie II wojny światowej. A wracając do głównego nurtu naszego spotkania, to pozwólcie państwu, że jako bezpośredni świadek czynów pogardy i cierpienia, podzielę się kilkoma osobistymi refleksjami:

Po pierwsze. Po zajęciu 17 września 1939 roku ponad połowy Rzeczypospolitej– Stalin i jego służby specjalne powróciły do carskich metod rozprawiania się ze swoimi przeciwnikami. Terror policyjny wzmocniono deportacjami i przesiedleniami, a także narzucaniem Polakom sowieckich wzorów administracyjno-gospodarczych, obcych polskiej kulturze i polskiemu duchowi narodowemu.

Na Syberię trafiła przede wszystkim ludność przymusowo przesiedlona z ziem polskich w toku operacji deportacyjnych przeprowadzonych w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 roku oraz w maju i czerwcu 1941 roku. W lutym i kwietniu 1940 roku deportacja objęła przede wszystkim polskich osadników wojskowych i cywilnych kolonistów oraz służbę leśną, rodzin urzędników państwowych, urzędników i działaczy samorządowych, kupców i przedstawicieli innych grup. Na Syberii znalazło się ponad 500 tysięcy Polaków. Osiedlono ich głównie w obwodach Omskim, Nowosybirskim, Kazachskim, w Kraju Krasnojarskim i Kraju Ałtajskim. Znaczna część deportowanych znalazła się na Syberii Wschodniej, głównie w okolicach Irkucka. Po latach Związek Sybiraków z tej „niehumanitarnej ziemi” – przeniósł prochy „Nieznanego Sybiraka” do Sanktuarium „Grobu Nieznanego Sybiraka” w Białymstoku.

W czerwcu 1940 roku władze radzieckie deportowały wojennych uchodźców z zachodnich i centralnych terenów Polski, którzy znaleźli się na Kresach we wrześniu 1939 roku. Deportowano wówczas ponad 220 tysięcy osób. Większość wśród nich stanowili Żydzi, natomiast Polaków było niespełna 100 tysięcy. Najwięcej osiedlono ich w obwodzie Nowosybirskim. Do dnia dzisiejszego stanowią oni i ich potomkowie w Nowosybirsku liczącą się grupę narodościową, kultywującą tradycje polskie i żydowskie. W wyniku deportacji przeprowadzonych w maju i czerwcu 1941 roku na zesłaniu znalazło się ponad 300 tysięcy mieszkańców obszarów zaanektowanych przez b. ZSRR w latach 1939 – 1940, w tym także kolejna grupa obywateli polskich. Wedle dyrektyw NKWD wszyscy deportowani zostali wraz z rodzinami uznani za element wrogi lub

niepewny i niepożądany na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. „Elementy wrogie” umieszczano w łagrach a pozostałych deportowano w celu reedukacji na „Nieludzką Ziemię”.

Uznanych za „element wrogi” – oficerowie Wojska Polskiego, Policjanci, Księża – zostali wymordowani w Katyniu, Miednoje, Ostaszkowie, Charkowie i innych nieznanym dotąd miejscach kaźni. Strona polska zbrodnię ZSRR zamordowania blisko 25 tysięcy oficerów zaliczyła do grupy „zbrodni przeciwko ludzkości” i w ten sposób zbrodnia ta nie ulega przedawnieniu. Władze Polski domagają się od władz dzisiejszej Rosji uczynienia podobnego kroku. Przede wszystkim ukarania winnych tej zbrodni!

Po drugie. Deportowani na Syberię Polacy poddani zostali różnym szykanom. Pierwsza z nich, to obca przyroda i bardzo surowy klimat. Deportowani postrzegali ją jako wrogą i groźną dla swojego życia. To powszechne odczucie potęgowane było doznaniem nowego statusu – statusu człowieka zniewolonego, dla którego owa przestrzeń była „domem niewoli”. Poczucie bezkresności syberyjskiej ziemi splatało się z poczuciem bezradności w obliczu zniewalającego systemu komunistycznego. Owa bezkresność odczuwana była jako czynnik destrukcji, jako żywioł niosący rzuconemu tam człowiekowi – nieszczęście i zgubę.

Przyroda Syberii była więc źródłem fizycznego cierpienia dla deportowanych i przesiedlanych tam Polaków. W powszechnym skojarzeniu pojawia się w tym obrazie: mróz, śnieg, zawieje śnieżne (tzw. „buran”), lodowa pustynia oraz nieprzebyte stopy. Te atrybuty syberyjskiej zsyłki były dokuczliwe same w sobie, ale dramat ludności polskiej polegał także na braku odpowiedniego odzienia, obuwia, które pozwalałyby w miarę na bezpieczne przetrwanie mrozów i śniegu, i wykonywanie czynności związanych z przymusowym zatrudnieniem. W czasie krótkiego lata deportowani cierpieli na dużą ilość komarów i meszek. Przed insektami nie było ratunku także w „ziemiankach” i drewnianych barakach. Tam dla odmiany panowały pluskwy, wszy, pchły i karaluchy. Pamięć o tych udrękach stanowi niezmiennie komponent „syndromu syberyjskiego”.

Po trzecie, nasza zbiorowa wiedza o życiu deportowanych i zesłanych wynika z własnych przeżyć jak i ze wspomnień Sybiraków zgromadzonych i częściowo opracowanych w Zarządzie Głównym Związku Sybiraków. Są to dokumenty wstrząsające. Poznajemy w nich osobiste przeżycia wielkiej deportowanej zbiorowości w czasie transportu, wyrzucenia z bydłowych wagonów w tajdze lub w stepie, tworzenie miejsca zamieszkania a następnie surowej pracy pod nadzorem.

Deportowani na Syberię, wrzuceni byli w nieznaną sobie przestrzeń i stopniowo dopiero rozpoznawali ją zarówno w sensie czysto fizycznym, odnoszącym się np. do szaty roślinnej, klimatu itp., jak i w sen-

sie obowiązującej tam pragmatyki życia. Ich położenie nie było najgorsze, jeśli stykali się z pozytywnym do nich stosunkiem ze strony miejscowej ludności, nie zmieniało to pierwotnego postrzegania obcości rzeczywistości, w której się znaleźli, nie zmieniało poczucia osamotnienia i zniewolenia.

Po czwarte. Syberia to miejsce doświadczeń zbiorowych, gdzie osobiście doznane cierpienie spletało się z cierpieniem narodowym, wpiisywało się w narodową martyrologię. Ta ostatnia występowała w dwóch perspektywach czasowych. Pierwsza, obejmuje czas od momentu wywózki, a jej bezpośrednim świadkiem jest sam deportowany, jego bliscy, znajomi, szerzej – Polacy i obywatele polscy represjonowani w ZSRR. Druga historyczna, łączy deportacje sowieckie z zesłaniami rosyjskiego caratu – od Konfederatów Barskich poprzez zesłania po powstaniowe 1830, 1863 i 1905-1907 roku.

Deportowani z lat 1940-1941 trafiali na ślad swych poprzedników. W ten sposób funkcjonujący w ich świadomości obraz Sybiru i mit Sybiraka decydowały o spajaniu się w jedno pasmo losu własnego i losu minionych pokoleń podążających tymi samymi szlakami. W tym sensie Syberia dla Polaków represjonowanych w II wojnie światowej nie była ziemią nieznaną. Historyczny Sybir na trwałe zapisany w narodowej tradycji, przekazywany był z pokolenia na pokolenie, utrwalany w szkolnej edukacji, literaturze i malarstwie. Wraz z tym rosła legenda Sybiraków. Taki obraz Syberii w obu jego czasowych wymiarach miał wyraźne odniesienia do problematyki stosunków polsko – rosyjskich, nadając im przede wszystkim wymiar relacji ofiara – prześladowca.

Po piąte, główną treść syberyjskiej codzienności stanowiła nieustanna troska o kawałek chleba oraz ciężka, często ponad siły praca przymusowa. Głód, pojęty najdosłowniej, fizycznie doświadczany, prowadzący do skrajnego wyczerpania, a nawet śmierci i głód jako widmo ciężące niemal dotykającą perspektywą nad większością zesłańców – to utrwalony w pamięci polskich zesłańców atrybut syberyjskiej niewoli.

Głód miał też i inne znaczenia. Ich treść wyznaczała heroiczna walka rodziców o zdobycie choćby garści pożywienia dla ginących na ich oczach dzieci, czy też wzajemne okłamywanie się członków rodziny i zapewnianie o własnej sytości, by dziecko lub rodzica zachęcić do skonsurowania ostatniego kawałka chleba czy ostatniego ziemniaka, często też zdobytego podstępnie, z narażeniem się na posądzenie o sabotaż. Syberyjski głód to także zjawisko wyzwalające gesty ludzkiej solidarności, gesty zyskujące wartość ratowania życia. Wszystko to składało się na obraz Syberii i syberyjskiej gehenny Polaków.

Syberia to dla większości deportowanych miejsce niewolniczej lub niemal niewolniczej pracy. Wyrąb tajgi, spław i obróbka drewnianych bali, praca w kopalniach i kołchozach, to najczęściej opisywane formy eksploata-

cji zesłanych Polaków. Dla ludzi siłą wyrwanych z rodzinnych domów i wywiezionych w nieznany, wrogi i daleki świat, ta uciążliwa praca wykonywana o głodzie i chłódzie, pod przymusem surowych nadzorców była przede wszystkim elementem zniewolenia, a zapędzający do niej komendant obozu, strażnik czy przewodniczący kołchozu stawał się symbolem sowieckiego systemu zła i braku poszanowania dla człowieka. Wyrazem tego zniewolenia była stosowana wobec Polaków dobrze nam znana stalinowska zasada: „nie pracujesz, nie jesz”!

Szanowni Państwo,

Kończąc swoje wystąpienie, chciałbym odnieść się do problemu „zbrodni przeciw ludzkości” popełnionej w czasie II wojny światowej na terenie ZSRR wobec Polaków. Jeżeli chodzi o polski stan prawny, to przesiedlenia Polaków nie są objęte tym mianem. Jak już mówiłem podlega tej zasadzie Zbrodnia Katyńska.

Należy się więc może zastanowić, czy nie powinniśmy zgłosić propozycji ustawodawczej w sprawie uznania deportacji z 1940 i 1941 roku za zbrodnię przeciw ludzkości, szczególnie wobec Polaków, którzy zmarli z głodu lub wyczerpania i zostali pochowani na sowieckiej ziemi.

Kolejny problem naszego sybirackiego środowiska – to problem odszkodowań i rekompensat za lata przebywania w niewoli na „Nieludzkiej Ziemi”. Władze Rosji z uporem nie chcą rozpatrzyć naszego wniosku w tej sprawie. Złożyliśmy nasze dokumenty na ręce Prezydenta Jelcyna. Są one dzisiaj w rękach prezydenta Putina, a wkrótce przejdą do Kancelarii prezydenta Miedwiediewa. Jak przerwać tę farsę? Może władze Unii Europejskiej wspomogłyby nasze starania?

W bieżącym roku będziemy obchodzili 80. rocznicę powstania naszego Związku i 20. rocznicę jego reaktywowania po drugiej wojnie światowej. Zrzeszamy ponad 50 tysięcy członków a naszym zapleczem jest kilka milionów potomków deportowanych i zesłanych na Sybir. Oznacza to, że mamy jeszcze wiele do zrobienia.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy relację XI-X-wiecznego podróżnika, oficera armii rosyjskiej Bronisława Grąbczewskiego oraz wspomnienia Jana Beliny, zesłańca z okresu drugiej wojny światowej, członka Związku Sybiraków. (red.)

*

Bronisław Grąbczewski – Kirgizi z doliny Wielkiego Altaju

Topograf i podróżnik, generał armii rosyjskiej, ur. w 1855 r. w Kownatowie na Litwie, zm. w 1926 r. w Warszawie. Gdy ojciec jego Ludwik zesłany został na Syberię za udział w powstaniu styczniowym, majątek ziemski Grąbczewskich skonfiskowano a rodzina przeniosła się do Warszawy. Tutaj przyszedł podróżnik ukończył gimnazjum i rozpoczął służbę wojskową. W 1873 r. zdał egzamin oficerski w Petersburgu pozostając nadal na służbie w warszawskim pułku ułańskim. Rosyjska wyprawa wojenna w 1875 r. skierowała go do Kokandu w Azji Środkowej, potem uczestniczył w wyprawie altajskiej (1876) i samarkandzkiej (1878). Gdy Rosja zaważnęła Ferganę Grąbczewski związał się z pracą w miejscowej administracji wojskowej. Często wówczas podróżował i łącznie na terenie Azji Środkowej przebywał 21 lat (1875-1896), wykonując wiele ważnych misji z zakresu stosunków ludnościowych, topograficznych i

strategicznych. Sprawdzał np. wraz z delegatami rządu chińskiego linię graniczną między Ferganą a Kaszgarją, którą przebiegał kordon rosyjsko-chiński. Badał pasma górskie, ustalał bieg rzek, penetrował pod względem etnograficznym terytoria objęte pożogą wojenną, godził zwaśnione strony, gromadził okazy przyrodnicze, określał punkty triangulacyjne. Zbadał rozległe obszary Azji Środkowej – Pamir, część pasma górskiego Hindukusz, część Himalajów, płaskowzgórze tybetańskie. W 1896 r. przeniósł się na Syberię jako komisarz pograniczny nad Amurem, gdzie przebywał przez 4 lata. W 1899 r. otrzymał nominację na generalnego komisarza Kwantungu z rezydencją w Porcie Artura, gdzie urzędował do 1903 roku. Tam powierzono mu stanowisko gubernatora i atamana kozaków astrachańskich. W ciągu 4 lat 1903-1906 rządów na tym terytorium zjednał sobie mieszkańców kozackich stanic, występował przeciwko bezwzględniemu uciskowi biednych przez bogatych, ograniczał wymiar rządowego podatku, zakładał punkty felczerskie, racjonalizował pasterstwo i hodowlę. Gdy jednak zaprotestował przeciwko reformom społecznym, politycznym i agrarnym premiera Piotra Stołypina, przychylnie się do jego prośby i otrzymał telegraficzne „pozwolenie” niezwłocznego wyjazdu za granicę. Wyjechał więc do Francji i Hiszpanii i przebywał tam do 1910 r., po czym wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie. Przez pewien czas pracował w Instytucie Meteorologicznym, zasadniczo jednak, zwłaszcza po 1918 roku nie stworzono mu w odrodzonej Rzeczypospolitej warunków do użytkowania wiedzy i doświadczenia. Czas i doświadczenia podróżnicze wykorzystał do opisanie azjatyckich podróży, dając czytelnikom szeroką panoramę wykonywanych zajęć, kreujących go na wielkiego podróżnika a także wnikliwego obserwatora kulturowej odmienności różnoplemiennych i różnojęzycznych społeczności. Traktują o tym książki: *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej* (1924); *Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus* (1925); *W pustyniach Raskemu i Tybetu* (1925); *Wspomnienia myśliwskie* (1925) i *Na służbie rosyjskiej, fragmenty wspomnień* (1926). Książki te stanowią zaledwie część jego dorobku poznawczego. Wiele rękopisów znajduje się w archiwum Towarzystwa Geograficznego w Sankt Petersburgu.

Materiał etnograficzny zawarty w tych książkach i rękopiśmiennych manuskryptach gromadzony był na uboczu podstawowych zajęć badawczych podczas mozolnych podróży. Mimo to technie on bogactwem realiów zwyczajowych i obyczajowych, a wartość jego we współczesnych studiach etnologicznych jest niewątpliwa. Był więc Grąbczewski doskonałym znawcą kultur ludów Azji Środkowej, z którymi obcował na co dzień, oddając się z zapałem poznawaniu osobliwości etnograficznych. Pomocna mu w tym była znajomość języków tubylczych – kazaskiego, uzbeckiego i tadżyckiego, a także wyrozumiałość i życzliwość względem różnoplemiennych mieszkańców obszarów środkowoazjatyckich.¹

¹ N.M. Akramow, *Woprosy istorii, archieologii i etnografii narodow Pamira i Pripamiria w trudach B.Ł. Grombczewskiego*, Duszanbe 1974; N.M. Akramow, S.J. Abdurachimow, *Wkład polskiego uczonego B. Ł. Grombczewskiego w izuczenije lednikow Pamira: „Dzieje polskich, rosyjskich i radzieckich badań polarnych”*. Materiały III Symposium Polsko-Radzieckiego z Historii Nauk o Ziemi, Wrocław 1982; F. Chłapowski, *Podróż kapitana B. Grąbczewskiego w Środkowej Azji*, [w:] „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego”, 1891: 18, z. 1; M. Fleszar, *Rękopisy Br. Grąb-*



Cała dolina Altaju pokryta jest wspaniałą trawą. Nigdzie drzewa, nigdzie krzaczka. Nic tylko łąki alpejskie, które służą za wspaniałe pastwiska dla dziesiątków tysięcy jurt koczowników. Koczownicy ci dążą do tego Eldorada ze swymi stadami ze wschodniej i południowej Fergany zaraz po roztopach w dolinie przez wszystkie pięć przełęczy w paśmie Gór Altajskich. W miarę wznoszenia się upałów linia śniegów wznosi się coraz wyżej w góry, oswobadzając od śniegu coraz to nowe przestrzenie, które natychmiast pokrywają się świeżą, soczystą trawą. Na świeże pastwiska przenoszą się auły, wędrując coraz wyżej w góry, aż do września, tj. do pory, kiedy śniegi przestają tajać a linia wiecznych śniegów zatrzymuje się na 14 000 stóp n.p.m. Od końca sierpnia poczyna się powrót aułów na zimowe leże. W październiku spadają nowe śniegi i dolina Altaju, tak ożywiona w lecie, staje się pustynią. Dłużej od innych pozostają na Altaju właściciele ogromnych stad koni, które trudno jest wypaść w dolinie. Czasami nawet zimują w dolinie Altaju, przechodząc tylko ze wschodniej części na zachodnią, do Darat-Kurgana, gdzie dolina zniża się do 9000 stóp n.p.m., a gdzie prócz tego Góry Zaaltajskie i Altajskie zbliżają się ku sobie na 8 kilometrów. Jest tam dużo wąwozów, w których tabuny mogą się ukryć przed wichrem. Znam osobiście Kirgiza Ir Daulet Bija (Majestat ziemi), który miał 12 tabunów koni, po *kurumiu*, tj. po 800-900 sztuk w każdym, oprócz odpowiedniej ilości baranów, wielbłądów, krów itd. Kirgiz ten trzody swe wysyłał na zimę w dolinę Fergany, sam zaś, lubiąc konie, przebywał stale na Altaju, koczując razem ze swymi tabunami. Nie wiedział on jednak nigdy, ile koni posiada.

Przenosiny aułu z miejsca na miejsce – to święto: jurty się rozbiera i kładzie na wielbłądy pokryte jaskrawymi dywanami; na innych znowu wielbłądach umieszcza się cały dobytek, a więc pościel, ubranie, skrzynie zamczone, okute żelazem, które przy otwieraniu wydają dźwięki muzyczne itd. Wszystko to rozkłada się równomiernie, robiąc wygodne siedzenie. Potem mężczyźni i dzieci 5-6 lat siadają na koń i biorą do ręki sznury, przewleczone przez nozdrza wielbłądów. Kobiety zaś z małymi dziećmi na rękach i dziewczynki od 11-12 lat przywdziewają swe najparadniejsze kostiumy, zawsze jaskrawe, a często ze złotogłowia, głowy upiękuszają ogromnymi turbanami, szyję – koralami, które całymi pękami

czewskiego w Towarzystwie Geograficznym ZSRR, [w:] „Przegląd Geograficzny”, 1962: 34 ; B. Kowalski, *Bronisław Grąbczewski – polski podróżnik i badacz Azji Centralnej: „Wszechświata”*, 1978: 10; M. Marciniak, *Bronisław Grąbczewski jako badacz kultury ludów Azji Środkowej: „Kultura i życie społeczne Azji Środkowej”*, pod red. Zbigniewa Jasiewicza, Poznań 1983; B. Olszewicz, *Bronisław Grąbczewski, podróżnik polski po Azji Środkowej: „Naokoło Świata”*, 1926: 25; tenże; *General Bronisław Grąbczewski, polski badacz Azji Środkowej 1855-1926*, Poznań 1927; tenże, *Grąbczewski Bronisław: „Polski Słownik Biograficzny”*, 1960: 8; W. Słabczyński, *Polscy podróżnicy i odkrywcy*, Warszawa 1974; W. i T. Słabczyńscy, *Słownik polskich podróżników*, Warszawa 1992; U.S. Umorzakow, *W sprawie działalności badawczej i praktycznej B. Grąbczewskiego w Azji Środkowej (1876-1897): „Historia rosyjsko-polskich kontaktów w dziedzinie geologii i geografii”*. II Polsko-Radzieckie Sympozjum, Leningrad 12 VI-19 VI 1972. Streszczenia referatów, Warszawa 1972. Pełny tekst referatu znajduje się w wydaniu rosyjskim *„Russko-polskije swiazi w oblasti nauk o ziemi”*, Moskwa 1975; S. Zieliński, *Mały słownik pionierów polskich kolonialnych i morskich. Podróżnicy, odkrywcy, zdobywcy, badacze, eksploratorzy, emigranci, pamiętnikarze, działacze i pisarze emigracyjni*, Warszawa 1932.

spuszczają się aż do pasa – i aul rusza w drogę. Im ród kirgiski jest bogatszy, tym wielbłądy są piękniej przybrane, dywany jaskrawsze a kobiety bardziej wystrojone i więcej mają koralu. Goszcząc raz w aule u bogatego Kirgiza rodu Juwasz, zauważyłem na szyi żony starszego syna, usługującej mi przy jedzeniu, korale wagi 38 funtów. Zdziwiony zapytałem, czy nie męczy jej noszenie takiego ciężaru. Spojrzała na mnie z takim zdziwieniem, iż zrozumiałem, że w jej pojęciu zadałem pytanie głupie, grzecznie jednak odpowiedziała: „Nie, ja je noszę bardziej na plecach niż ja szyi”.

Zwinięcie aulu i urządzenie się na nowej siedzibie odbywa się zdumiewająco szybko, i w 2-3 godziny na pustynnym miejscu wyrasta cała wioska kipiąca życiem; tam zaś, gdzie wrzało przed chwilą życie, pozostają tylko ślady ognisk. A jednak wystawienie jurty, szczególnie w ten sposób, żeby się mogła oprzeć wichrom górskim, wymaga niezwyklej umiejętności. Wielkość jurty i dobroć wojsłoków zależy naturalnie od dobrobytu właściciela; im Kirgiz jest bogatszy, tym ma jurtę większą i wojsłoki bielsze; jurt mniejszych niż 4 do 5 metrów średnicy nie stawia się wcale. Bywają jednak i ogromne. Raz zatrzymałem się na noc u pewnego bija (naczelnika) rodu Czum-bagysz, który mnie umieścił w swojej *michman-chana* (*michman* – gość, *chana* – pokój), która miała w średnicy 11 m. Była to prawdziwa sala balowa, zupełnie okrągła, jak wszystkie jurty w tym kraju, w odróżnieniu od szałasów Tybetańczyków i Kałmuków, namiotów arabskich lub czumów, koczowników Syberii, Goldów, Samojedów itd., które mają najrozmaitsze kształty, w zależności od klimatu i innych warunków.

Jurty zwykle są wysokie, znacznie wyższe od wzrostu człowieka, więc można w nich stać i chodzić wygodnie. Wojsłoki na nich układa się w ten sposób, że pośrodku zostaje okrągły otwór, który się pokrywa oddzielnym wojsłokiem *tundiuk* z przywiązanym do niego sznurem, za pomocą którego otwór przy pięknej pogodzie łatwo się ściąga a w razie deszczu zakrywa. Na zewnątrz, z wierzchu wojsłoków, jurty obwiązuje się bardzo szerokimi (25 cm) taśmami kolorowymi, wyrobu domowego, z grubej, ale misternie tkanej wełny. Wewnątrz jurtę zdobią dokoła maty z długiej trzciny, z których każda obwinięta jest nitkami różnokolorowymi; połączone razem i związane stanowią one wzorzystą matę, ładnie zdobioną wewnątrz jurty, którą prócz tego upiększa się różnokolorowymi frędzlami z wełny i misternymi festonami. Jurta średniej wielkości, a białej *koszmy*, przyzwoicie przybrana, kosztowała w owe czasy 200-250 rubli.

Podłogę jurty zaściela się cynówkami z trzciny; na to kładzie się gruby wojsłok, pokryty z wierzchu jaskrawym dywanem. Pośrodku jurty dołek, kilka kamieni stanowiących ogniska a nad nim żelazny, składany trójnóg, na którym wieszka się kocioł na żelaznych łańcuchach. Przy ognisku są miedziane *kumgany* do zaparzania herbaty. Zupełnie jedzą Kirgizi z drewnianych lub cynowych czarek; resztę potraw, jak mięso, ulubiony *palau-asz* z ryżu – palcami. Tak zresztą jedzą wszyscy, nie wyłączając miliardów-kupców, krajowcy Azji Środkowej. Kirgizi chleba prawie nie używają, a jeśli go jedzą, to w formie rwanych klusek (*bugursak*), smażonych w maśle lub na baranym tłuszczu, albo klusek, pociętych na cienki makaron, zalanych z lekka bardzo słonym bulionem. Mięso jedzą tylko w razie święta rodzinnego, przyjazdu znakomitego gościa lub choroby któregoś ze zwierząt domowych, jakie trzeba dorznać, żeby nie zdechło. Za najwytworniejsze uważa się mięso baranie, potem koninę, szczególnie żrebięcinę (kiełbasa z mięsa żrebięcego jest rzeczywiście wyborna), potem mięso wielbłądzie, na ostatku wołowe lub cielęce. Żyją więc Kirgizi przeważnie kumysem lub *ajranem*. Kumys przygotowuje się w ogromnym

worze skórzanym, do którego wlewa się wszelkie mleko, więc owcze, kozie, wielbłądzie, krowie i kobyle. Całymi dniami kobiety bełtają to mleko kijem, na końcu którego umocowany jest krzyż drewniany. Im dłużej i więcej mleko się bełcze, tym lepszy jest kumys. W każdym razie będzie to jednak kumys gorszego gatunku. Idealny kumys, na podarki albo na przyjęcie znakomitego gościa, przygotowuje się z czystego mleka kobyłego, bełcze się w ciągu co najmniej trzech dni: jest on gęsty jak śmietanka, koloru słomkowego, orzeźwiająco kwaskowaty. Wypity jednak w większej ilości powoduje lekkie upojenie, jak po wypiciu przy śniadaniu lekkiego białego wina francuskiego *gvare* albo *sauterne*.

W podróży konnych kumys – to napój nieoceniony, sytny i orzeźwiający. Worek skórzany *tursuk* z kumysem, przywiązany do siodła ze strony ocienionej, żeby go nie paliły promienie słoneczne, zaopatrzy podróżnego na kilka dni w jedzenie i picie, im więcej zaś kumys będzie się bełtał w *tursuku*, tym będzie lepszy i smaczniejszy. Naturalnie, tylko trzeba się przyzwyczaić do pewnego smaku skóry i dymu – jakiego napój ten nabiera od *tursuku* z nie wyprawionej skóry.

Ajran – mleko kwaśne, rozbeltane z wodą, stanowi jedynie pożywienie Kirgizów biednych, nie mających wielkich trzód; znajduje się on wszakże w każdym najbogatszym domu, jako napój do stałego użytku służby, dzieci i kobiet, na których ciężą wszelkie prace domowe. Mężczyźni całymi dniami siedzą, przykucnąwszy u drzwi jurty i gwarzą z sąsiadami. Młodzież pasie stada w górach, często o kilka kilometrów od aułu, strzegąc ich od wilków i innych drapieżników. Pastuchy pasą stada konno. W ogóle Kirgiz bez konia obejść się nie może i piechotą chodzić nie lubi. Przed jurtą każdego mniej więcej zamożnego Kirgiza zawsze stoi koń, osiodłany i przywiązany do białego w ziemię kołka. Biedne konisko krąży przy kołku bezradnie, bo ma powód od uzdy tak przymocowany do siodła, że ani schylić się po trawę, ani położyć się nie może.

Auły tego samego rodzaju kirgiskiego trzymają się jednej miejscowości i wzajemnie się bronią przed napadami bandytów i złodziei. Każdy ród kirgiski ma swój znak (*tawro*), zrobiony z żelaza, którym w sposób barbarzyński wypala na skórach swoich zwierząt nigdy nie schodzące znaki. Znaki te rozstrzygają sporu w razie pomieszania się stad na wspólnych bezgranicznych pastwiskach oraz pozwalają rozpoznać przynależność zakwestionowanego zwierzęcia w razie kradzieży i odnalezienia go gdzieś daleko na rynkach Fergany. Można konia przefarbować, ale nie uda się zetrzeć wypalonego *tawra*.

Bezczynne życie, jakie prowadzą mężczyźni, powoduje ciągle odwiedzi-ny wzajemne i plotkowanie. Nowiny w tych bezmiernych stepach rozchodzą się z taką szybkością, jak u nas przez żydowską pocztę pantoflową. Kirgiz, choćby spieszył się w pilnej sprawie, spotkawszy drugiego, musi się zatrzymać i w kilka minut dowie się o wszystkim, co się dzieje w stronach, skąd jedzie spotkany i nawzajem, opowie mu wszystko o swoich stronach.

Kirgizi w ogóle są bardzo uczciwi i gościnni. Nie znam wypadku, by któryś z nich odmówił mi noclegu, nie napił chociażby kumysem albo *ajranem*, jeżeli nie mógł zabić barana lub kozy. Uczciwość kirgiska jest przysłowiowa. Pracując w administracji kraju i rozpatrując setki sporów, niejednokrotnie obserwowałem, jak dzieci lub wnuki zwracały dług swoich ojców lub dziadów, zaciągnięte na słowo... Pamięć przodków czci się z wielkim pietyzmem. Oprócz przyjęć w czasie pogrzebów, które zawsze były rujnujące dla spadkobierców,

najstarszy z rodu w rocznicę śmierci obowiązkowo urządza *toj*, które trwają zawsze co najmniej trzy dni i ściągają Kirgizów nie tylko z danego rodu, lecz w ogóle wszystkich chętnych. A że Kirgizowi nie zależy na przestrzeni, przeto siada na koń, przywiązuje do siodła *tursuk* kumysu lub *ajranu* i jedzie o 100-200 kilometrów, by pogwarzyć w Kirgizami z rozmaitych stron, wziąć udział w *bajga* lub popatrzeć na wyścigi.

Bajga – to narodowa zabawa kirgiska: polega ona na tym, żeby z konia porwać leżącego na ziemi zabitego kozła, unieść go z tłumu ubiegających się współzawodników, odciągnąć ich od siedzących gdzieś na pagórku na dywanie sędziów i, zmyliwszy wszystkich, przycwałować z kozłem znów przed sędziów i rzucić im go pod nogi. Za taką sprawność zwycięzca otrzymuje natychmiastową nagrodę w postaci jaskrawego chałata, który w tej chwili wkłada na siebie na wierzch ubrania, żeby wszyscy zebrani widzieli, iż on jest zdobywcą i roznieśli to po stepie. Kozła zaś chwytą z konia rywal, i szalona jazda przez kamienie i wyrwy, przy wzajemnym wyrzucaniu sobie kozła przez innych współzawodników rozpoczyna się na nowo.

Wyścigi u Kirgizów znane są tylko na długą metę, zwykle 40 kilometrów (*5 tasz*). Urządzają je oni w czasie wesela, śmierci albo obrzezania w rodzinach bardzo bogatych, gdyż kosztują drogo. W czasie oznaczonym na wyścigi (przeważnie jesienią, kiedy konie są najsilniejsze), posyła się zawiadomienie do całego rodu i do rodów pokrewnych przez wzięte żony albo oddane córki. W oznaczonym czasie zjeżdżają się wyścigowcy z wytresowanymi końmi. Konie te są małe, chude, z obwiązanymi szpagatem nogami i ogonami. Jeżdżą na nich malcy 12-14-letni. W dzień wyścigów, do których staje po kilkadziesiąt koni, ustawiają je do startu w miejscu określonym, zapisują i puszczają w bieg, przy czym po całej drodze gęsto rozstawieni są Kirgizi z rodu, który urządza wyścigi, a także z tych, którzy biorą udział w wyścigach; ludzie ci pilnują, żeby do pędzących nie przyłączył się ktoś w drodze albo zamienił zmęczonego konia. Na starcie jest jurta, w której siedzą sędziowie i wyczekują przybycia jadących, pijąc herbatę. Czasu, jak długo wolno być w drodze, nie oznacza się, bo nikt zegarków nie ma i nie zna się na godzinach. Kirgizi żyją według słońca i regulują życie podług 5 omówień (*namarów*), przypisanych przez religię.

Koło jurty sędziowskiej i dalej po drodze gromadzą się tłumy konnych, czekających na wyścigi. Opodal wszystkie wzgórza zajęte są przez kobiety z bliskich i dalekich aulów; przyszły one piechotą albo przyjechały z mężami i braćmi i nie mieszając się z tłumem zajęły miejsca na wzgórzach. Wreszcie słychać okrzyki patrzących, tętent biegnących koni i zjawia się pierwszy koń chwiejący się, zakrwawiony, z jeźdźcem, malcem ledwie żywym. Bardzo często konia tego ciągną za powód od uzdeczki dwaj inni jeźdźcy, co nie jest zabronione przez przepisy wyścigowe. Pierwsza wygrana zwykle jest poważna, bo składa się z 9 nagród po 9 sztuk. Więc 9 chałatów (1 ze złotej *parczy*, 1 ze srebrnej, 1 z aksamitu, 3 z sukna, 3 z jedwabiu), 9 wielbłądów, 9 koni, 9 krów i 45 baranów. Drugi i trzeci koń otrzymują już nie $9 \times 9 = 81$ sztuk podarków, lecz tylko 9 sztuk, tj. jeden chałat, 1 wielbłąda, 1 konia, 1 wołu albo krowę i 5 baranów. Dalsze sześć koni otrzymuje tylko po jednym koniu, wielbłądzie albo krowie. Reszta nic.

Urządzenie takich wyścigów i przyjęcie w pierwszą rocznicę śmierci ojca rujnuje niektórych doszczętnie. Znam Kirgiza z rodu Czumbagysz, Mirzę Pajasa, człowieka bardzo porządnego, któremu ojciec, Dżarkien-Baj-Datcha (Datcha – ge-

nerał), zostawił 10 000 baranów, 200 koni, 60 wielbłądów, 120 krów itd. Po urządzeniu uroczystości pośmiertnych, odpowiednich do wysokiego stanowiska ojca, został goły, jak święty turecki...

Drugą nadzwyczajnie kosztowną rzeczą u Kirgizów jest ożenek, bo za żonę trzeba zapłacić kałym (wykup), który zależnie od znakomitości i bogactwa żony, dochodzi do takich sum, że nowożeńiec nieraz rujnuje się zupełnie.

Miałem jako stałego towarzysza swych włóczęg myśliwskich Mahomet-Seid-Tiura-Seidaa więc dokumentami stwierdzonego potomka Mahometa, przy tym siostrzeńca ostatniego chana kokandzkiego, Hudojar-Chana i jego *udajczy*, tj. adiutanta; wziął on za żonę jedną z córek Hudojar-Chana i zapłacił za nią kałymu 59 000 *tillej*, tj. dukatów złotych, sumę na ówczesne stosunki bajeczną, miliardową. Wypłacenie takiej olbrzymiej kwoty zrujnowało Mahomet-Sejda i zmusiło go do wyzbycia się nawet łowczych sokołów i jastrzębi, których był wielkim znawcą i miłośnikiem. Dodać muszę, że przyjaciel mój ożenił się z córką chana nie wtedy, kiedy Hudojar-Chan był u steru władzy, ale w 10 lat po zajęciu chaństwa przez Rosjan, kiedy, o ile pamiętam, Hudojar już umarł na wygnaniu w Rosji, córka zaś jego wniosła mężowi, jako wiano, tylko wielkopańskie przyzwyczajenia i prawo do używania tytułu „*Oim*”, tj. pani.

Transakcje matrymonialne u Kirgizów dokonują się zwykle pomiędzy rodzicami przyszłych małżonków, gdy ci są jeszcze niemowlętami, i od tego czasu poczyną się coroczna wpłata kałymu częściowo: byłem, pieniędzmi lub rzeczami. W razie śmierci jednego z narzeczonych, pozostały się żeni albo pozostała wychodzi za mąż za najbliższego krewnego. Byłem raz zaproszony na wesele bogatego Kirgiza z rodu Juwasz, którego 15-letni syn żenił się z 26-letnią wdową po bracie swego teścia tylko dlatego, że narzeczona jego umarła, a teść więcej córek nie miał.

Zdarzają się wypadki, że po zrobieniu transakcji i wypłaceniu części kałymu umiera narzeczonemu ojciec, a pogrzeb i w rok potem uroczystości pośmiertne tak rujnują narzeczonego, iż nie może on dalej wypłacać kałymu. Wtedy narzeczony likwiduje samodzielne gospodarstwo i razem z pozostałą częścią zwierząt domowych wstępuje na służbę jako prosty parobek do swego przyszłego teścia, przy czym należna mu pensja i przyrost od inwentarza żywego idą na opłatę kałymu. Narzeczony czasami dobrych 10 lat czeka i patrzy, jak jego przyszła się starzeje.

Koszta weselne ponoszą rodzice panny młodej i dają oprócz tego wiano, stosownie do swojej zamożności i znaczenia, jakie posiadają wśród ziomków. Wiano składa się zwykle z jurty, kilku dywanów, ze skrzyń okutych żelazem, z różnych sprzętów gospodarskich i z niewielkiej ilości zwierząt domowych. Resztę dodają rodzice pana młodego albo też młodzi żyją w biedzie, powoli dorabiając się lub wyczekując sukcesji.

Przywiezienie panny młodej z aulu rodziców do aulu pana młodego odbywa się z wielką paradą, na którą wylegają patrzeć mieszkańcy wszystkich okolicznych aulów, mówiąc, że taki *ujlandy* (*uj* – dom, *jurta*, *ujlandy* – zadowolony się). Na pierwszym wielbłądzie, przybranym w największy i najjaskrawszy dywan, siedzi panna młoda w ogromnym zawoju na głowie, w kilku najlepszych chałatach włożonych jeden na drugi, a jeżeli dostaje futro, to i w futrze pomimo lata. Na nogach ma buty z czerwonej albo z zielonej skóry, na szyi – niezbędne korale i im więcej, tym poważniej; z tyłu – skrzynia z ubraniami. Wielbłąda prowadzi konno ojciec lub inny poważny członek rodziny. Na drugim wielbłądzie,

także przykrytym dywanem, leży jurta, na niej zaś Kirgizka, wdowa – krewna lub stara służąca, która będzie matkowała na nowym miejscu pannie młodej, często mającej zaledwie 13-14 lat. Z tyłu – znów skrzynia. Dalej, według zamożności, albo idą jeszcze wielbłądy naładowane różnymi przyrządami gospodarskimi albo stadko inwentarza domowego, przy czym wszystkie konie, woły lub krowy są objuczone różnymi sprzętami gospodarskimi. Im więcej takich tobołków, tym lepiej wyposażona jest panna młoda przez rodziców. Orszak otacza konna kawalkada mężczyzn z aulu panny młodej.

W połowie drogi orszak spotyka pan młody w otoczeniu kawalkady konnej ze swego aulu. Wszyscy zsiadają z koni a pan młody ugaszca przybyłych kumysem i zaprasza do swego aulu. Państwo młodzi zajeżdżają do jurty rodziców pana młodego a panna młoda ze swoją Kirgizką i przy pomocy miejscowych kobiet stawia szybko na wskazanym jej miejscu swoją jurte i ustawia to, co przywiozła ze sobą.

Kiedy wszystko jest gotowe, panna młoda staje u drzwi i czeka męża, któremu towarzyszą do jurty wszyscy, co go odprowadzali i spotykali. Goście wchodzą do jurty, siadają rzędem przy ścianach na dywanach, po czym ukazuje się kobieta z *kumganem* (rodzaj wschodniego imbryka z miedzi, zawsze misternie cyzelowanego) z ciepłą wodą w jednej i miedniczką w drugiej ręce, kłania się gościom po kolei i wylewa parę kropli ciepłej wody na podstawione palce każdemu. Gość wyjmuje zza pasa brudną chusteczkę i wyciera w nią zwilżone palce. Następnie kobieta wychodzi obsłużony w ciągu paru minut 30-40 gości. W ten sposób przypisane przez religię obowiązkowe mycie rąk przed jedzeniem jest skończone.

Goście pożądliwie spoglądają na drzwi jurty. Wchodzi młoda dziewczyna z *dastarchanem* (obrusem), który rozściela na ziemi przed klęczącymi gośćmi. Jest to zwykle kawał perkalu jaskrawego, nie prany od czasu nabywania i noszący ślady wszystkich potraw, które na nim spożywano. Następnie wchodzi szereg kobiet; wnoszą one miedziane misy z mięsem i tacki blaszane z *dastarchanem*, na których cienką warstwą rozsypane są pistacje z rodzynkami, czasami pomieszane z cukrem, drobniutko porąbanym. Misy stawia się symetrycznie pośrodku każdej piątki lub szóstki. Goście szybko się orientują czy misa przeznaczona jest na piątkę albo na szóstkę, i te piątki lub szóstki uprzejmie zwracają się ku sobie twarzami, tworząc półkole, w środku którego stoi misa z mięsem.

Najpoważniejsi wiekiem i stanowiskiem goście zajmują miejsca pod ścianą jurty, wprost drzwi wchodowych. Przed nimi, oprócz misy z mięsem, stawia się jeszcze jako przysmak głowę ugotowaną podawanego zwierzęcia. Gdy wszystko ustawiono, kobiety z ukłonami, milcząc, cofają się ku drzwiom i znikają. Wszczynać jakąkolwiek rozmowę z usługującymi kobietami byłoby nieaktownie, który wywołałby ogólne oburzenie.

Kirgizki nie zakrywają się przed obcymi, ale prawo muzułmańskie jest prawem: kobieta powinna znać swoją rolę pracującej całe życie niewolnicy. Rozmawiać z Kirgizką można tylko w poufnym otoczeniu, w obecności najbliższych krewnych i tylko o przedmiotach poważnych, i aktualnych dla danej

chwili. Każdy żart i śmiech, wielomówstwo byłoby źle przyjęte i przez kobietę i przez obecnych.*

*

Jan Belina – *Ucieczka z kopalni*

Małe dziesięcioletnie powiatowe miasto Stołpce, miejsce mego urodzenia, znajdowało się daleko od areny działań wojennych. Położone kilka kilometrów od granicy ze Związkiem Radzieckim, nad malowniczym i pięknym Niemnem, zamieszkałe w równej części przez Polaków, Białorusinów i Żydów, było typowym miasteczkiem powiatowym Kresów Wschodnich. To, że było w nim dużo Polaków, zawdzięczać należy siedzibie 5-go Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza. Mieszkałem wraz z ciotką Werką w wybudowanym w 1934 roku domu. Ojciec Bronisław wraz z mamą Marią przyjeżdżali do Stołpc tylko na wakacje. Do 1937 roku ojciec pracował w konsulacie RP w Kijowie, a później w MSZ w Warszawie, gdzie wynajmowali mieszkanie (wcześniej, w 1918-1920 roku walczył z bolszewikami w oddziałach gen. Bałachowicza).

Urodziłem się w 1927 roku, w czerwcu 1939 roku kończyłem V klasę szkoły powszechnej. Wakacje spędzałem z rodzicami w Stołpcach. Ojciec po postrzale prawej ręki był na urlopie wypoczynkowym i zdrowotnym. Większość dni spędzaliśmy nad wodą łowiąc ryby. Dwa razy w tygodniu chodziłem na zajęcia organizowane przez Ligę Obrony Powietrznej Państwa. W lipcu rozpoczęły się przygotowania do wojny. Kopaliśmy rowy przeciwlotnicze, przygotowywano zaciemnienie okien, szkoliliśmy się w obronie przeciwchemicznej i udzielaniu pomocy sanitarnej. Co bardziej zapobiegliwi zaczęli robić suchary i weki z wędlinami i mięsem. Dała się zauważyć zwiększona aktywność Białorusinów. Działała bowiem w Stołpcach organizacja komunistyczna, na której czele stał prawdopodobnie Szczors, nasz sąsiad. Żydzi wykazywali jak gdyby zmniejszoną aktywność, stali się bardziej uprzejmi.

Wybuch wojny odczuliśmy tylko poprzez mobilizację i przerzuty wojsk stacjonujących w Stołpcach. Od kilku dni słychać było bombardowanie Baranowicz, a wieczorami widać było łuny pożarów na zachodzie. Docierały wiadomości o szkodach poczynionych przez naloty bombowe na w Baranowicze. W Stołpcach wzmocniono ochronę obiektów państwowych oraz dwóch mostów: kolejowego i pieszego, który był drewniany. Mosty te stanowiły jedyną przeprawę przez Niemen. Rankiem 17 września, gdy słońce dopiero wschodziło obudziła mnie strzelanina dochodząca od strony granicy rosyjskiej. Pierwszą czynnością, którą wykonałem wobec takiej sytuacji było zawiadomienie członków mojej „drużyny” LOPP i zorganizowanie zbiórki. Tak jak i ja zostali oni obudzeni i sami przybiegli do mnie z pytaniem: co robić? Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że pobiegniemy w kierunku strzelaniny. Była to typowa młodzieńcza fantazja.

Nie dane było nam nawet dojść do lasu. Przed nim zostaliśmy bowiem zatrzymani przez patrol, składający się z ośmiu kawalerzystów. Ubrani byli w płaszcze dziwnego koloru, a na głowach mieli dziwne czap-

* Podstawa relacji: B. Grąbczewski, *Kaszgarja. Kraj i ludzie. Podróż do Azji Środkowej*, Warszawa 1924. Publikuje się fragment (s. 18-31).

ki koloru szarego. Czapki miały sterzcący ku górze „palec” i wielkie czerwone gwiazdy. Uzbrojeni byli w karabiny i szable. Podoficer kierujący zwiadem nie miał karabinu, trzymał pistolet. Później podjechały trzy tankietki. Dowódca patrolu rozpytywał o sytuację w mieście. Po otrzymaniu od nas odpowiedzi, posadzili nas przed sobą na konie i pojechaliśmy w kierunku miasta. Po drodze zapytaliśmy ich: „czy pomagacie Niemcom?” – odpowiedzieli: „pokażem Niemcom, gdzie jahodki zimują”. Uznaliśmy ich więc za sprzymierzeńców w walce z Niemcami. Miasto opanowano bez wystrzału. Wojsko, którego została garstka, wycofało się wcześniej na zachód, mówiono, że w kierunku Litwy. Wcześniej też opuścili miasto wyżsi urzędnicy starostwa wraz ze starostą, emerytowanym generałem Adolfem K. Jastrzębskim. Daleko nie odjechali, bo za kilka dni widzieliśmy, jak wieźli generała aresztowanego. Wieźli też na wschód aresztowanego księcia Radziwiłła.

O ile wojsko opuściło miasto bez wystrzału, o tyle nie sposób nie wspomnieć o bohaterze tamtych dni, który do dziś pozostaje na ustach żyjących mieszkańców Stołpc – jakim był zwykły łapacz psów – hycel (nazwiska nie pamiętam). My, dzieci, znaliśmy go jako łowcę psów, objeżdżającego powiaty całej Nowogródziny. Od ojca wiedziałem, że był wielce zasłużony w walkach o odzyskanie niepodległości. Służył pod rozkazami gen. Żeligowskiego. W kłapie jego marynarki była miniaturka Krzyża Virtuti Militari. Za mostem wiodącym przez Niemen, gdzie droga szła pod górę i w wykopie, na samej górze Sieniawa – hycel ustawił karabin maszynowy i tam spotkał wyzwolicieli. Strzelaninę słychać było około pół godziny. Później opowiadano, że walczył do ostatniego naboju i popełnił samobójstwo.

Tego samego dnia zorganizowano na rynku wiec. My, pobiegliśmy tam z ciekawości. Spędzili dużo ludzi. Większość szła ze spuszczoneymi głowami. W sercach Polaków panowała żaloba. Pierwszy przemawiał Szczors, późniejszy szef powiatu. Dziękował władzy sowieckiej za wyzwolenie oraz wzywał do przejmowania obiektów komunalnych, jak: elektrownia. Wzywał też do zajmowania ziemi polskich osadników. Po nim przemawiał jakiś oficer. Plótł o braciach w niewoli, o obszarниках, o wolności, dobrobycie i równości u nich. Wszystko to miał napisane na kartce.

Szczególnie serdeczne powitanie dla „oswobodzicieli”, zgotowali Białorusini i biedniejsi Żydzi. Wyjątek wśród bogatych Żydów stanowił Mirski. Po powitaniach nastąpił podział stanowisk między Białorusinami a Żydami. Żydzi obsadzili stanowiska w milicji i prokuraturze. Główną postacią wśród Żydów był miejscowy bogacz, Mirski. Codziennie można było go spotkać, jak udawał się do pracy w NKWD, które mieściło się w gmachu sądu powiatowego. Sąd był bowiem zbyteczny. Sądzone bez sądu. Wyroki wydawało NKWD. Bez Mirskiego nie odbyło się żadne aresztowanie zaniejszych obywateli miasta. W 1945 roku przebywając w Stołpcach spotkałem Mirskiego w mundurze ppłk. NKWD, a w okresie rządów Nikity Chruszczowa i masowych wyjazdów Żydów z ZSRR, mój brat cioteczny spotkał go w Łodzi.

Do milicji wstąpiło dużo kryminalistów. Zaczęły się samosądy i denuncjacje. Aresztowano ludzi tylko za to, że byli Polakami. W okolicach Stołpc dokonywano samosądów na policjantach i gajowych. Załatwiano przy tym porachunki osobiste. Wszystko na konto wyzwolenia. Od 18 września w obiegu

były dwie waluty: złoty i rubel i tak miało być do końca 1939 roku. Inną działalnością okupanta było wywożenie mienia zagrabionego z instytucji państwowych i samorządowych oraz z domów polskich, których mieszkańcy wyjechali, względnie byli u swych krewnych. Wywożono wszystko. Meble, maszyny do szycia, odzież, sprzęt gospodarstwa domowego, urządzenia biur itp. Ogołoco całkowicie magazyny wojskowe i nasze sklepy. Wykupiono wszystko, co tylko było, głównie kupowały żony oficerów sowieckich. Już od pierwszych dni „wolności” przed sklepami z pieczywem tworzyły się kolejki. Chleba brakowało, ponieważ $\frac{3}{4}$ piekarń pracowało na potrzeby wojska. Brak cukru i innych artykułów spożywczych spowodował, że rozwinął się przemysł. Liczne grupy chodziły do centralnej Polski i przynosiły sacharynę i inne towary. Braki nafty uzupełniano benzyną kupowaną od żołnierzy. Trudno było o produkty rolnicze. Trzeba było jeździć po nie na wieś do rodziny. Ziemniaki mieliśmy w piwnicy na całą zimę. Babcia, która miała parę hektarów ziemi, miała zapas mąki i sama piekła chleb. W domu babci byli zakwaterowani żołnierze, twardogłowi, komсомолcy, bezgranicznie pewni swej wyzwolicielskiej misji. Z podoficerami dyskusje przy kieliszku prowadził mój dziadek. Z tych dyskusji wynikało niedwuznacznie, że zajęcie tej części Polski było wcześniej zaplanowane. Mówili też o ciężkiej sytuacji materialnej tam u nich.

Spokoju nie było. Rozpoczęły się aresztowania i rewizje. Rodziny polskie żyły w ciągłym strachu. Zabierano w nocy i odwożono do siedziby NKWD. Tam też można było spotkać rodziny aresztowanych. W pierwszej kolejności aresztowano policjantów, wyższych urzędników państwowych, samorządowych oraz osoby, na które wskazała nowa władza ludowa. W następnej kolejności zabierali leśniczych, gajowych, urzędników starostwa, sędziów i prokuratorów. W lutym zaczęły docierać do nas wiadomości o masowych wywózkach całych rodzin na Syberię. Zrozumieliśmy, że Rosjanie zaczęli realizować plan zmian demograficznych na tych terenach, zemstę za rok 1920.

W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku obudziło nas walenie w drzwi i ujadanie psa. Wkroczył Żyd Mirski w asyście dwóch żołnierzy NKWD. Oświadczył, że decyzją władz sowieckich zostajemy ze Stołpc wysiedleni jako element „niebłagonadiożnyj”. Nie legitymował nas, gdyż znał nas dobrze. Dał nam dwie godziny na spakowanie się. Byliśmy przygotowani na to, że możemy być wywiezieni (część rzeczy mieliśmy już zapakowanych, ale to nocne najście tak zdenerwowało matkę, że nie mogła pakować. Ja zająłem się bratem Ludwikiem, który dwa dni przedtem ukończył roczek. Nie pozwolono rodzicom matki, którzy mieszkali obok, ani jej siostrze pomóc w pakowaniu. Widziałem za oknem chodzącego żołnierza z karabinem na ramieniu. Gdy matka zajęta była karmieniem brata, Mirski dokonywał „przeгляdu mieszkania”. Czego szukał, domyślałem się. Otóż przed wojną, gdy przychodził do ojca, widział i podziwiał pistolety skałkowe oraz broń ręczną. Tego w czasie rewizji przy aresztowaniu ojca nie znaleźli ale o to zapobiegliwy Mirski wówczas nie pytał. Szukał wszędzie, nawet na strychu w trocinach. Znalazł jakieś przedmioty i skonfiskował je, nie wiem, co to było, bo włożył do torby. Żołnierze zachowywali się jak manekiny. Przez cały czas nie powiedzieli ani słowa. Po załadowaniu nas na ciężarówkę, okazało się, że była tam już rodzina kierownika elektrowni, pani Masza-Rymaszewska z dwojgiem małych dzieci. W ładowaniu na samochód pozwolo-

no pomóc rodzinie matki, która w czasie „wizyty” Mirskiego stała na podwórze przy parkanie.

Na dworcu kolejowym, przy peronie szerokotorowym, gdzie zatrzymały się pociągi dalekobieżne z Moskwy, stał skład wagonów towarowych, otoczonych silną eskortą wojskową. Załadowano nas do jeszcze pustego wagonu. Zajęliśmy górną pryczę przy oknie, jeżeli można to nazwać oknem – krata i na zewnątrz zabite deskami. W ciągu kilku godzin ładowano mieszkańców Stołpc, okolicznych miasteczek i wsi. Było nas w wagonie około 30 osób, i o tyle różniej, jeżeli tak można powiedzieć, że pojedziemy w nieznaną ze znajomymi. Postanowiliśmy nie dać się rozłączyć.

Rano przyszły moje ciocie. Ciocia Werka krzyknęła do mamy, żeby podała jej mojego brata Ludka. Chciała w ten sposób zapobiec wywiezieniu rocznego dziecka i ulżyć nam w tułaczce. Mama podała brata. Spostrzegł to oficer NKWD. Wyrwał go z rąk ciotki i rzucił w otwór drzwiowy wagonu. Tylko refleks mamy spowodował, że nie upadł on na podłogę wagonu. Ciotkę aresztowano. Od tej pory aż do odjazdu drzwi były zamykane i nie pozwolono nam z nikim się widzieć. Każdy wagon miał z tyłu budkę, w której siedział żołnierz z karabinem. Na ostatnim wagonie i na węglarce ustawione były karabiny maszynowe typu „Maksim”. Okna w wagonach zakratowane i zabite deskami. W środku dwie prycze i otwór kloaczny. Wagon brudny, nie umyty, ani zdezynfekowany po niedawnym transporcie kradzionego z Polski bydła. Drzwi zamykane na rygiel. Nazajutrz ruszyliśmy. Rozpoczął się nowy okres w moim 13-letnim życiu. Nie było piecyków i w nocy było strasznie zimno. Poprzeziębiały się dzieci. Ich leczeniem zajęła się Maria Lewandowska, która pakując mienie nie zapominała o lekarstwach.

Raz dziennie na przystankach otwierano drzwi i pozwalano jednej osobie z wagonu udać się z wiadrami po „kpiatok”. Świat oglądałem poprzez szpary w deskach, poszerzone trochę nożem. Oglądałem więc mijane stacje i wiedziałem, gdzie jesteśmy. Mijały dni. Zaczął doskwierać głód, gdyż skończyły się zapasy pieczywa. W Orszy staliśmy dłużej na boczniczy. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi i podoficer z konwoju kazał trzem osobom z wagonu wziąć kubły lub inne naczynia i udać się po „goriaczaju piszczu”. Wartownik zaprowadził nasze kobiety do kuchni. Wróciły do wagonu i przyniosły dwa wiadra wypełnione kaszą perłową bez grama tłuszczu oraz pięć bochenków chleba. Chleb zawierał znaczną ilość kartofli, trafiały się kawałki dobrze nie rozgniecione. Masza Ry-maszewska otworzyła słoik z zalaną tłuszczem kielbasą i okrasila kaszę, tak więc mieliśmy jak na te warunki, dobry obiad. Chleb dozowaliśmy, szczególnie dbając, aby miały go dzieci. Gdy minęliśmy Ural, kobiety zaczęły płakać. Zorganizowano mały ołtarz i wszyscy zaczęli odmawiać różaniec. Na mijanych stacjach tamtejsi mieszkańcy z zainteresowaniem przyglądali się tajemniczemu, strzeżonemu transportowi. Widocznie byli poinformowali, kto w nim jedzie, bo co poniektórzy wymyślali nam od „polskich panów”.

Ostatniego kwietnia pociąg zatrzymał się na stacji Pietropawłowsk w północnym Kazachstanie. Dano nam obiad i po kawałku chleba. Tym razem mieliśmy nieokraszoną kaszę jaglaną. Przenocowaliśmy w wagonach. Rano o świcie kazano opuścić wagony. Do rampy podjeżdżały samochody ciężarowe, oficer odczytywał nazwiska i ludzie ładowali się do ciężarówek. A więc, kto i gdzie ma się znajdować, ustalono odgórnie. Nasza ciężarówka, stary zdezelowany ZIS-5, ruszyła w kierunku stepu. Stłoczeni, siedząc na naszym mieniu przesie-

dleńczym, udaliśmy się w tę podróż w nieznane. Wielu z tej podróży nie sądzono było wrócić. Zaraz za Pietropawłowskiem oczom naszym ukazała się bezkresna równina. Jak okiem sięgnąć wokoło, o tej porze roku szarożółty step. Polna droga powodowała, że pęd samochodu wzbijał tumany kurzu, który pokrył nasze toboły i walizki. My też wyglądaliśmy nie lepiej.

Minęliśmy parę wsi i przybyliśmy do osady powiatowej o nazwie Marjewka (na północny zachód od Pietropawłowska, nad rzeką Iszym). Od niej 50 kilometrów nie spotkaliśmy już żadnego osiedla i dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, wioski odległej od Pietropawłowska około 250 kilometrów – Kriszczenka. Wieś położona była na lewym, wysokim brzegu rzeki Iszym. Na tym odcinku, przez około 8 kilometrów, rzeka płynęła wśród skał. Rzeka głęboka i rybna. W dwóch miejscach tylko latem można było przez nią przejść. Były to rozlewiska o silnym prądzie. Połączenie z drugim brzegiem zimą odbywało się po lodzie, a latem promem. Urządzenie zwane promem – bardzo prymitywne. Naciągnięta lina i prom uruchamiany ręcznie, poprzez ciągnięcie go po stalowej linie rękami. Wioska składała się z trzech ulic, biegnących równoległe do rzeki. Przy środkowej, centralnej ulicy znajdowały się: biuro gminnej rady (sielsowiet), biuro kołchozu, ośmioklasowa szkoła oraz sklep wielobranżowy. Ulica najdalej położona od rzeki była krótka i miała tylko kilka domów. Najbardziej zabudowaną ulicą była ta, która znajdowała się najbliżej rzeki. Około 5 kilometrów w górę rzeki stał młyn wodny, a jakieś 300 metrów od górnej ulicy znajdował się wiatrak.

Samochód zatrzymał się w centrum wsi, przy biurze kołchozu. Zebrało się wokół nas sporo mieszkańców wsi. Chcieli zobaczyć wrogów narodu rosyjskiego – „polskich panów”. Wśród nich byli i przyjaźnie do nas nastawieni. Chociażby stary Kononienko, zwany przez wszystkich „dieduszka”, zesłaniec. Były też dwie rodziny polskiego pochodzenia, nie mówiące już po polsku. Zaraz też rozwieszono nas na tymczasowe kwatery, do różnych rodzin. Oświadczone nam, że w ciągu najbliższych tygodni należy pobudować się, względnie znaleźć sobie mieszkanie. Placę na budowę przydzielił kołchoz. My trafiliśmy do rodziny Panomarienko. Za to, że nas przyjęli, musieliśmy odchodząc zapłacić.

Po kilku tygodniach za firanki i inne zbędne rzeczy kupiliśmy od Kazacha starą zrujnowaną ziemiankę, nie zamieszkałą od lat. Remont trwał dwa tygodnie. Pomagały przy tym inne polskie rodziny oraz Kazachowie, nasi sąsiedzi. Remontu wymagał dach, wewnętrzne ściany oraz sień przylegająca z dwóch stron do ziemianki. Ponadto należało wykonać piec, tzw. „grubę” do gotowania posiłków i ogrzewania. Znajdujący się tam ruski piec pochłaniał dużo opału i nie nadawał się do palenia w nim słomą. Używaliśmy go wyłącznie do pieczenia chleba, a że później nie mieliśmy tyle mąki, żeby piec chleb, więc stał on niepotrzebny. Do wykonania „gruby” potrzebna była cegła. Cegielnię uruchomiliśmy nad rzeką, w miejscu, gdzie była piaszczysta łacha, a wysoki brzeg był gliniasty. Formę na dwie cegły zrobiliśmy z desek i wyprodukowaliśmy tyle cegieł, ile było potrzeba dla nas oraz innych Polaków.

Ziemianka znajdowała się na skarpie, w odległości 150 m od rzeki. Od ulicy zagłębiona była około 1,4 m w ziemi, a z przeciwległej strony miała podłogę równą z poziomem ziemi i opadającą ku rzece. W ziemiance były dwa pomieszczenia. Za ściankę działową służył piec ruski oraz wybudowana przez nas „gruba”. Wymiary ziemianki: 5 m na 3 m. Pierwsze pomieszczenie mniejsze,

drugie większe. Podłoga – klepisko z gliny. W jednej i drugiej części ziemianki były przyce wykonane z desek znalezionych nad rzeką, po powodzi. Z takich też desek był stół, zydel oraz dwa taborety. Za materace służyły sienniki wypchane słomą. W ziemiance były trzy okna 80 x 60 cm. Dwa od ulicy, równo z ziemią, a trzecie od drogi prowadzącej nad rzekę znajdowało się trochę nad ziemią. Nad oknami był już sufit – dach z wikliny, z zewnątrz wyłożony darnią, a od wewnątrz otynkowany gliną.

Po wyremontowaniu ziemianki, wprowadziliśmy się do niej z Maszą Rymszewską i dwójką jej dzieci. My zajęliśmy większe pomieszczenie, a pani Masza mniejsze. Nasz pokój służył także do zabaw dla dzieci oraz jako jadalnia i kuchnia. Po przeprowadzce przystąpiliśmy do drugiego etapu budowy. W dni wolne od pracy i wieczorami remontowaliśmy sień stanowiącą na Syberii nie mniej ważną budowlę niż ziemianka. Sień otaczała ziemiankę z dwóch stron, od rzeki i od strony drogi prowadzącej do rzeki, i była na okres zimy magazynem opału. Zbudowana była z wikliny i „otynkowana” gliną zmieszaną z łajnem krowim. Trzeba było naprawić dziury, przez zaplecenie ich nową wikliną oraz otynkowanie. Materiał do tynkowania przyniosłem z kolchozowej obory nocą. W połowie „gruby” wmurowany był kocioł emaliowany, który służył dla dwóch rodzin do gotowania. W kolchozowym sklepiku kupiliśmy i kocioł, i jeszcze dwa garnki żeliwne do gotowania w ruskim piecu. Drzwiczki do paleniska zrobiłem z blachy ze starej beczki, a za ruszty posłużyły pręty ze złomowanej młockarni. Kanały dymne były tak skonstruowane, aby można było palić słomą i różnymi badyłami, a ciepło nie uciekało od razu do komina, lecz ogrzewało miejsce do spania na piecu.

We wrześniu i październiku robiliśmy także zapasy żywności, gdyż nasze rzeczy, które mogliśmy przeznaczyć na wymianę za żywność, już się skończyły. Ostatnią wymianę zrobiliśmy za walonki. Zbierałem i suszyłem jagody czeremchy oraz szyszki chmielu, z którego wytwarzało się drożdże (zaparzało się szyszki, a wywar mieszało z otrębami, które po wysuszeniu stanowiły winne drożdże). Po jagody czeremchy i po chmiel chodziłem w dół rzeki około 5 km. Tam w wąwozie rosły krzaki czeremchy, a na nich powoje chmielu. Miejsce to wynalazłem w czasie wędkowania. Ponadto na skałkach zbierałem gorzkie migdały. Wyprawa po migdały była bardzo niebezpieczna. Po pierwsze groziła upadkiem ze skały, a po drugie było się narażonym na ataki orłów stepowych lub „berkutów” (coś w rodzaju naszych sokołów, używanych przez Kazachów do polowań), które tam miały swoje gniazda. W deszczowe popołudnie, a czasami i w nocy chodziłem na ryby.

W szkole przyjęto mnie do szóstej klasy, mimo braku świadectwa rosyjskiego o ukończeniu klasy piątej (uznano świadectwo polskie). Ze względu na słabą jeszcze znajomość rosyjskiego, brak akcentu, narażony byłem na częste prześmiewki. Gdy jednak zorientowali się, że jestem dobry z przedmiotów ścisłych, zmienił się ich stosunek do mnie. W szkole uczono trzech języków: rosyjskiego, kazachskiego i niemieckiego. Poza tym już od piątej klasy obowiązywał przedmiot tzw. „wojennoje dzieło”, czyli obronność. Chodząc do szkoły w dzień, w nocy cząwszy od listopada do marca pełniłem „funkcję” pomocnika stróża na bazie.

Zbliżała się pierwsza dla nas zima syberyjska. Oczekiwaliśmy jej z niepokojem i trwogą. Dużo do zawdzięczenia mieliśmy staremu Kononience –

„dieduszcze”. On to wprowadził nas we wszystkie tajniki życia na kazachstańskich stepach, i walki z głodem i chłodem. W pierwszych dniach listopada spadł śnieg i leżał już do wiosny. W połowie listopada ziemiankę zawiał śnieg. Wejście do niej musieliśmy nieraz kilka razy dziennie odkopywać. Do domu wchodziło się kilkumetrowym tunelem. Klimat północnego Kazachstanu jest typowo kontynentalny. Lata suche i gorące, a zimy śnieżne i mroźne. Zima zaczynała się w pierwszych dniach listopada i trwała do marca. Mrozy wahały się w granicach od 20 do 40 stopni C, a bywało i zimniej. Wiały silne wiatry – „buriany”. Duże opady śnieżne i „buriany” powodowały zawiewanie całych osiedli. Wówczas też nie zalecano oddalać się od osiedla bowiem padający śnieg i silne wiatry powodowały dezorientacją w terenie, a to groziło zabłądzeniem i nawet śmiercią wśród śniegów.

Pod koniec marca następowała wiosna i śnieg nagle topniał. Było to przyczyną powodzi na południe od nas. Do nas tylko napływały na krach rozwalone domostwa i inny dobytek tamtejszych mieszkańców. W kwietniu jechało się już orać. Nasza odzież nie była przystosowana do tych warunków. Parę używanych walonek otrzymaliśmy od Kazachów za jakieś tam rzeczy, były w dobrym stanie i służyły mi do końca pobytu. Zelowane raz na rok. Zelówki robiło się z innych, starych, nie nadających się do noszenia walonek, też otrzymanych w drodze wymiany towarowej. Sposób i technikę naprawy i zelowania opanowałem szybko, podglądając, jak to robią miejscowi. Ojcowski kozuch nieznacznie się skróciło, a rękawy podwinęło i stanowił dla mnie przez cały okres pobytu jedyną okryj bide.

Pierwsza zima była straszna. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich mrozów i silnych wiatrów. Przy tych mrozach idąc pod wiatr po wodę do rzeki, nie było się w stanie oddychać. Powietrze zamarzało w płucach. Trzeba było się zatrzymać i złapać powietrze. Ale pierwszy okres przetrwało się łatwiej, bo byliśmy odżywieni, mieliśmy co przehandlować na żywność, przyjechaliśmy wiosną i mieliśmy czas na przygotowanie się do zimy.

Rok 1941 rozpoczął kilkuletni okres walki o przetrwanie. Wszystko było sprzedane, a pieniądze, jakie mieliśmy, też się skończyły. Odzież przystosowaliśmy do przenoszenia kradzionego zboża. My, sypaliśmy w nogawki kalessonów, a kobiety miały uszyte woreczki, które zawieszały u szyi. Teraz staraliśmy się o przydział pracy przy zbożu, gdyż pracując na bazie, nie miało się takich możliwości. Kradnąc zboże naraziliśmy się na surowe kary, włącznie z aresztowaniem i wywiezieniem w inne miejsce. Z jęczmienia sporządzano kawę, a z prosa – kaszę jaglaną. Plew, jakie pozostały po obróbce prosa, nie wyrzucało się, lecz dodawało do nich trochę mąki i piekło placki. Były gorzkie, ale cóż robić, zawsze to był pokarm i oszczędzało się mąkę, którą produkowaliśmy na żarnach wykonanych przez Olka Kucharczyka. Brak żywności powodował, że przetwarzano różne zielska. Z pokrzywy, po jej kilkakrotnym parzeniu, robiono zupę szczawiową. Z parzonej lebiody – szpinak. Zbierano na stepie grzyby trujące, które jedliśmy po kilkakrotnym parzeniu. Raz w tygodniu, kiedy były sprzyjające warunki, wybieraliśmy się na polowanie w stepy. Przy odrobinie szczęścia złowiło się susła albo chomika. Wówczas była uczta. Chodziliśmy też na skaliste brzegi rzeki, gdy się udało dotrzeć do gniazd, przynosiliśmy jaja ptasie. Gorzej było z odzieżą, szczególnie zimą. Raz otrzymaliśmy przydział

spodni watowanych i kufajki, gdy pracowałem zimą jako stróż siana. Czapkę uszyła mi mama ze skóry zabitego latem lisa.

Wybuch wojny z Niemcami znacznie pogorszył naszą sytuację. Do wojska zabrano prawie wszystkich mężczyzn. Zabrano wszystkie dobre konie. Spichlerze ze zbożem opróżniono. Zapanowała niesamowita bieda. Zaostrzono rygor w pracy. Za nieobecność w pracy bez względu na przyczynę, potracano „trudodni”. W połowie 1941 roku wstrząśnięci zostaliśmy aresztowaniem przez GPU dwóch sióstr Neli i Jadzi Kucharczyk. Jak się później okazało, podstawą do ich aresztowania był napisany przez nie „kontrewolucyjny” wierszyk. Pierwsza zwrotka tego wierszyka brzmiała:

Siedzi Święty Piotr przy bramie
O rety!
I zajada sobie z sosem kotlety.
Wtem to brama jak zazgrzyta,
Ktoś za talerz Piotra chwyta,
Polacy z Sybiru, Polacy!

Każda wizyta u nas wojskowego w czapce z denkiem niebieskim (GPU) lub zielonym (NKWD) napawała ludzi trwogą, nawet miejscowych – po co przyjechali i ewentualnie, po kogo. Niezależnie od NKWD czy GPU strzec musieliśmy się i przed miejscowymi sługusami. Do takich należał między innymi nasz brygadzysta młody Kononienko. Szczególną radość miejscowym sprawiało śpiewanie przez nich piosenki: „Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany, konnoarmiejskije naszyje klinki”. Przychylnością darzyli nas Kazachowie, których cztery rodziny mieszkały w sąsiedztwie. To oni uczyli nas życia w stepie, wiedzieli kiedy przyjdzie burza śnieżna, ostrzegali przed wyruszaniem wówczas w drogę, nieraz dali coś do jedzenia, choć sami nie wiele mieli. Na każdym kroku podkreślali, że oni wybornie opanowali życie na tym terenie, że znają przeróżne niespodzianki, które płata panująca tu pogoda. Legitymowali się przywiązaniem do swego języka, chociaż i rosyjski nie był im obcy, co umożliwiała nam kontakt z nimi. Krótkie to opisanie ich przyjaźni, ale zbliża do istoty problemu relacji międzyludzkich.

Wojna radziecko-niemiecka spowodowała, że w okolicach naszej wsi coraz częściej można było spotkać NKWD. Jak się później okazało, poszukiwali dezertersów z wojska, przeważnie Uzbeków, Tadżyków oraz Kirgizów i Kazachów, którzy przechodzili przez nasz step udając się w swoje strony rodzinne. Sam spotkałem kilku z nich w czasie pasienia czy też wędkowania. Brak żywności (nie było co sprzedawać), zmuszał nas do jedzenia wszystkiego, co tylko dało się zjeść. Jadło się różną zieleninę. Z „bakszy” znajdującej się nieopodal pieców do wypalania wapna, kradliśmy jeszcze niedojrzałe arbuzy i melony. Zielenina ta oraz panujący wirus spowodował masowe zachorowania wśród dzieci na krwawą dyzenterię. Do rozpowszechniania się tej choroby przyczyniło się jedzenie prosa nieczyszczonego.

W ośrodku zdrowia był felczer, który lepiej leczył bydło niż ludzi. W niedługim czasie zabrano go do wojska, a na jego miejsce przysłano pielęgniarkę. Ona też nic nie mogła poradzić, twierdziła, że nie ma żadnych lekarstw. Dziwiło nas, że dzieci miejscowe nie chorowały. W naszej ziemiance zmarły dzieci Maszy Rymaszewskiej. Zmarły też dzieci Nizinowej i wiele innych, a także kilka osób starszych wiekiem. Choroba oszczędziła mego brata Lutka. Może dlatego, że w naszej rodzinie były dwie osoby, które dbały o jednego malucha, a w innych

była tylko matka z dziećmi, które często były pozostawione bez opieki. Ja starałem się o jajka ptasie i ryby. Wspinałem się po skałach by je zabrać z gniazd i często wędkowałem. Za ryby otrzymywałem zawsze kawałek baraniny, koniny względnie trochę mleka. Choroba ominęła i mnie, chociaż teraz dziwię się, że jedząc często surową rybę (tylko posoloną) nie zachorowałem. A nieraz był to tylko jednorazowy posiłek.

Późną jesienią 1941 roku dotarła do nas wiadomość o tworzeniu się wojska polskiego i istnienia Ambasady Polskiej w Kujbyszewie. Potwierdziła to gazeta „Polska”. Gazetę tę otrzymaliśmy tylko raz. Wiadomość ta bardzo nas ucieszyła. Oczekiwaliśmy powrotu naszych bliskich z obozów i więzień. Zima 1941 roku niczym nie różniła się od poprzedniej. Wydawała się jednak bardziej surowa. Złożyło się na to nasze wyczerpanie i niedożywienie. Każdy z nas sporo stracił na wadze i był mniej odporny na mrozy. Coraz ktoś zapadał na zapalenie płuc i przychodzono do nas po bańki. Starsi nie wytrzymali tego klimatu i umierali. Zmarli tam dziadkowie Kucharczykowie i inni. Tej zimy nie tylko pilnowałem na bazie, ale razem ze starszymi jeździłem po siano w step by karmić nim wychudzone konie. Stogi znajdowały się od 7 do 12 kilometrów w głąb stepu. Za pierwszym razem odmroziłem policzki. Później było już lepiej, nabierałem doświadczenia i jakoś mi to szło. Najbardziej jednak bałem się wilków, które atakowały konie. Często słyszało się o tych grasujących wilczych watachach, które nigdy nie przepuściły okazji gdy na ich drodze pojawił się konny zaprzęg. Na szczęście ja takich spotkań nie miałem.

Jesienią 1942 roku zostałem skierowany do przyzakładowej szkoły (Fabriko – Zawodskoje Obuczenije) znajdującej się w miejscowości Kounrodzkij, miasta-kopalni i przeróbki rudy miedzianej. Kounrodzkij Miednyj Rudnik położony był około 2 km od odkrywkowej kopalni rudy miedzi i blisko większego miasta oraz jeziora Bałchasz. Cała okoliczna ludność zatrudniona była w kopalni, względnie w zakładach przeróbki rudy. Kopalnia należała w tym okresie do jednej z największych kopalni odkrywkowych i była pod specjalnym nadzorem NKWD. Obszarem obejmowała kilkaset hektarów ziemi. Była 6-poziomowa. Na każdym poziomie znajdowały się stanowiska maszyn wiertniczych, ekskawatów (koparka) oraz transport kolejowy.

W tej „przyzakładowej szkole” spotkałem Polaka Tadeusza Gołębiowskiego i losy połączyły nas na dłuższy czas. Skierowano nas na kurs maszynistów ekskawatów (koparek). Szkolenie ograniczyło się do kilku tygodniowej nauki teoretycznej, polegającej na 3 dniach nauki teorii i 4 dniach zajęć praktycznych, w charakterze pomocnika maszynisty. Pracowaliśmy na zmianę: 12 godzin w dzień i 24 godziny wolne, oraz 12 godzin w nocy i 48 godzin wolne. Te dni wolne były dla maszynisty, bo my w tym czasie szliśmy do szkoły. Do zadań moich, jako pomocnika maszynisty należało: posmarowanie wszystkich łożysk towotem (punktów było kilkadziesiąt łącznie z kilkunastometrowym ramieniem żurawia), a po przyjeździe koparki – podłożyć kamienie pod gąsienice, aby przy nabieraniu rudy, nie cofnęła się do tyłu oraz przerzucenie po skałach kabla elektrycznego o napięciu 3000 Volt zasilającego koparkę.

W kopalni, codziennie dochodziło do śmiertelnych wypadków, a przyczyna była jedna – zmuszanie do wyczerpanej pracy w myśl surowej zasady „wszystko dla frontu”. Zimą zachorowałem na „kurzą ślepotę”. Nie mogłem pracować nocą, tylko w dzień. Wieczorem odprowadzano mnie do baraku. Po

miesiącu zostałem wyleczony. Na wiosnę 1943 roku postanowiliśmy uciec z kopalni. Opracowaliśmy plan ucieczki, który polegał na przebyciu półpustynnego obszaru z miejscowości Kounrodzkij, w której byliśmy na przeszkoleniu w wspomnianej przyzakładowej szkole, do Karagandy pociągiem, gdyż obszar ten był nie zamieszkały i oddalenie się od linii kolejowej groziło śmiercią z braku wody i pożywienia. Słabo przygotowani do takiej podróży, po przebyciu kilku stacji, zostaliśmy zatrzymani przez milicję i odstawieni do kopalni. Tam nałożono na nas karę w postaci zakazu korzystania ze stołówki. Otrzymaliśmy dzienny przydział 500 gramów chleba i dowolną ilość gorzkiej kawy. Przy ciężkiej pracy fizycznej jaka wykonywaliśmy były to raczej wręcz głodowe, a pracować trzeba było ciężko. Obijanie się groziło posądzeniem o sabotaż, a za to groziła już kara odesłania do łagru. Dokarmialiśmy się zbieraniem odpadów żywnościowych w śmietnikach obok stołówki. Okres kary trwał jeden miesiąc.

Nieudana ucieczka, nie tylko, że nas nie zniechęciła, ale wręcz zmobilizowała do zorganizowania następnej. Przystudiowaliśmy dokładnie mapę okolic jeziora Bałchasz i terenów położonych po jego południowej stronie. Postanowiliśmy, że tym razem obejdziemy jezioro i udamy się do miasta Dżambuł i tam zgłosimy się do wojska. Zgromadziliśmy trochę prowiantu oraz wody i pewnego dnia nad ranem udaliśmy się wzdłuż jeziora w kierunku zachodnim. Trasa była bardzo trudna, piaszczysta, a my nie przygotowani do długich marszy. Po przebyciu ponad 100 km, napotkaliśmy osadę rybacką. Postanowiliśmy zgłosić się do pracy, aby zrobić sobie zapas żywności na dalszą drogę.

Przewodniczący spółdzielni rybackiej potrzebował rąk do pracy, gdyż mężczyźni w wieku od 18-65 lat zostali zmobilizowani do wojska. Przyjął nas do pracy mimo niepewności kim jesteśmy. W rozmowie z nami dał do zrozumienia, iż domyśla się, że jesteśmy uciekinierami z Bałchaszu i na podstawie naszych metryk urodzenia, kazał personalnemu wpisać na listę załogi spółdzielni. Tak rozpoczęliśmy pracę w spółdzielni rybackiej w osadzie Gulszad. Praca polegała początkowo na łowieniu ryb niewodem. Zarzucało się go z łodzi a łączące go liny umocowało się na lądzie do kołowrotek, poruszanych przez wielbłądy. Wieczorami wyjeżdżaliśmy na jezioro stawiać sieci tzw. drygawice, które rano zbieraliśmy. Pracowało się od świtu do późnej nocy. Odżywialiśmy się głównie rybami, gdyż tego można było jeść do woli. Obiad był przygotowany w kotle, wspólny dla wszystkich. Na kolację i śniadanie otrzymywaliśmy na cały tydzień suchy prowiant. Składał się on z bochenka chleba o wadze 2 kg, mąki 1 kg, konserwy mięsnej ½ kilogramowej.

Przepracowaliśmy w tej spółdzielni trzy tygodnie i po zrobieniu zapasów żywności, jeszcze przed świtem, ruszyliśmy w dalszą podróż. Szliśmy wzdłuż jeziora. Nie mogliśmy sobie pozwolić na oddalenie się od niego ze względu na pustyne tereny (głodowy step – rosły gdzieś kępki ostrej pustynnej trawy) i brak wody. Upał był niesamowity, a noce zimne. Wydawało nam się, że jest mróz. Nie chcąc iść do jeziora po wodę, pragnienie zaspakajaliśmy dziką cebulą rosnącą gdzieś na tych terenach. Rozpoczęły się nasze przygody, które dalekie były od przygód opisywanych w powieściach podróżniczych, ale których nie da się zapomnieć do końca życia. Nie tylko chłód zaczął się nam dawać we znaki. Pewnego dnia, nie mając przy sobie kompasu ani też wiedzy o kształcie jeziora odeszliśmy od niego zbyt daleko i po raz pierwszy odczuliśmy, co znaczy brak wody. Idąc przy blasku księżyca, ujrzelśmy w dali błyszczącą

taflę jeziora. Skierowaliśmy się w tę stronę. W pewnym momencie poczuliśmy pod stopami błoto. Zdjęliśmy buty i natychmiast zaczęliśmy oddalać się od tej „wody”. Nogi poranione strasznie piekły. Nie wiedzieliśmy, co może być tego przyczyną. Położyliśmy się spać. Rano naszym oczom ukazała się biała tafla słonego jeziora, po którym jeździły spychacze zgarniając sól. Musieliśmy szybko opuścić niegościnnie teren, oddalając się i obawiając, abyśmy nie byli zauważeni przez pracujących tam robotników. Dopiero później dowiedzieliśmy się od Kazachów, że mogli nas zauważyć, ale nic by na pewno nie powiedzieli, gdyż byli to więźniowie.

Po trzech dniach podróży napotkaliśmy auł kazachski, składający się z kilkunastu jurt. Przyjęto nas z prawdziwie kazachską gościnnością. To tu właśnie zobaczyliśmy jak diametralnie różni się życie Kazachów mieszkających z dala od kołchozowych osad rosyjskich w których zarówno rytm pracy jak i codziennej rzeczywistości ma iście sowiecki charakter. Bałagan panujący w kołchozach, nieporządek w obejściu, góry jakichś odpadów, stare opony itp. obrazy znaleźliśmy już z obserwacji kołchozowego życia a także z pracy w kopalni. Tutaj natomiast w osadzie złożonej z jurt poznaliśmy lepiej Kazachów, ich staranność o wnętrze jurt, gościnność i życzliwość. Wszędzie kręciło się dużo dzieci, jak zwykle wścibskich i bacznie nas obserwujących. Kobiety krzątały się wewnątrz jurt, gdzie wokół ścian leżały kolorowe maty. Niektóre ubrane były we wzorzyste suknie długie jak szlafroki. Mieszkańcy aułu nie pytali kim jesteśmy i dokąd idziemy, jakkolwiek zapewne świetnie się domyślali, że jesteśmy uciekinierami. Przebywaliśmy tam do wieczora. Wieczorem właściciel jurty przygotował nam jedzenie i picie na drogę i kazał szybko opuścić auł, gdyż do przewodniczącego miejscowego kołchozu przyjechało dwóch funkcjonariuszy NKWD. Wskazał drogę jak należy opuścić auł, ażeby nie natknąć się na nich. Przy odejściu życzył nam szczęśliwego dotarcia do celu. Noc spędziliśmy w odległości 15 kilometrów od aułu. Zimny i silny wiatr zmusił nas do zaniechania podróży. Napotkaliśmy coś w rodzaju wypalonego domu bez dachu. Po obejściu dookoła, nie znaleźliśmy żadnych drzwi. Wleźliśmy do wnętrza przez mur. Pośrodku tego pomieszczenia rośla brzoźka. W świetle księżyca zobaczyliśmy, że rośnie ona w wgłębieniu, między dwoma wzgórkami. Położyliśmy się pod tę brzożkę, w tym zagłębieniu, ogrzewając się wzajemnie. Było cicho. Dawno tak dobrze żeśmy się nie wyspali. Nie było wiatru i było nawet nam ciepło. Po obudzeniu i obejrzeniu tej „sypialni”, stwierdziliśmy, że spaliśmy w rodzinnym grobowcu., między dwoma mogiłami. Dobrze, że tego nie widzieli Kazachowie. Nic przyjemnego nie czekałoby nas z tego powodu. Zbaczycieliliśmy bowiem ich groby, a za to zapewne groziłaby nam jakaś kara. Wiele razy miałem możliwość przekonać się o tym, jak bardzo naród ten przywiązany jest do swojej tradycji i czci spokój zmarłych. sowiecka ateizacja tylko nominalnie wyrugowała stare zwyczaje i obyczaje, tradycyjne święta i obrzędy. Faktycznie Kazachowie byli nadal wiernymi orędownikami swych tradycji, która przyciągała również naszą uwagę. Na fakt jej niwelacji nie miały wpływu przebiegłe rachuby polityków sowieckich w szerokiej nieraz współpracy z kazachskimi komunistami.

Po kilku dniach dalszej wędrówki zaczął nam doskwierać głód. Tym razem nie oddalaliśmy się od jeziora. Udało nam się złowić kilka raków, które ugotowaliśmy w kociołku. Następnego dnia upolowaliśmy żółwia. Upiekliśmy go w jego własnej skorupie. Bardzo nam smakował, czy dlatego, że byliśmy

bardzo głodni, czy też naprawdę mięso żółwia jest tak smaczne? Na drugi dzień dotarliśmy do rybackiej osady Saryszagon, położonej niemal po przeciwległej stronie jeziora, w punkcie, z którego według planu mieliśmy opuścić jezioro i udać się na południe w kierunku Dżambułu. W osadzie pełno było stelaży do suszenia ryb. Na niektórych widać było jak się suszą. Nie posiadaliśmy żadnych dokumentów poza świadectwami szkolnymi. W drodze odcięliśmy stopnie, pozostawiając dane personalne z okrągłą pieczętką szkoły. Z tymi dokumentami zgłosiliśmy się do kierownictwa spółdzielni. Brak rąk do pracy spowodował, że nie zadawano pytań, a podane „dokumenty” uznano za wystarczające. Robotnicy domyślali się, że jesteśmy uciekinierami mimo to odnoszono się do nas z przyjaźnią. Zaakceptowali nasz pobyt, szybko też zdobyliśmy ich zaufanie, chociaż przyznać muszę, że nie wiele ich interesowało skąd i dokąd idziemy.

W tej i poprzedniej spółdzielni rybackiej, kierownictwo i pracownicy byli narodowości kazachskiej. Praca nasza polegała na transporcie ryb do suszarni. Trwała od 6 rano do godziny 19-tej z godzinną przerwą obiadową. Obiad był wspólny dla wszystkich i składał się z zupy z wkładką mięsa. Na kolację i śniadanie otrzymywaliśmy suchy prowiant. Po kilkunastu dniach, po dojściu „do normy” i zgromadzeniu odpowiedniego zapasu żywności w postaci chleba, mąki i suszonych ryb, nocą udaliśmy się w dalszą podróż. Od Kazacha otrzymaliśmy pęcherz na wodę, zwierzyliśmy się bowiem jemu z celów naszej podróży. Słuchał nas uważnie, ba nawet przestrzegał przed niebezpieczeństwem sugerując nam dalszą trasę wędrówki, na której istniało małe prawdopodobieństwo spotkania patroli milicji czy NKWD. Tak więc opuszczaliśmy gościnną bazę rybacką nad jeziorem, a nasza trasa wiodła na południe do Dżambułu. „Droga” na południe to wśród gliniasto-piaszczystego terenu ślad wskazujący na to, że raz na kilka miesięcy coś tędy przejeżdżało. Zdecydowaliśmy się nią iść, gdyż liczyliśmy na napotkanie po drodze źródeł wody i małe prawdopodobieństwo spotkania stróżów bezpieczeństwa.

Po kilku dniach marszu, kiedy zapasy wody wyczerpały się, późnym wieczorem napotkaliśmy wodę źródlaną. Poczekaliśmy do rana, gdyż po ciemku baliśmy się schodzić do jej źródła. Droga do wody prowadziła do jaskini leżącej około 50 metrów w głębi ziemi. Woda była zimna i krystalicznie czysta. Nabraliśmy jej cały pęcherz oraz w kociołki. Ugotowaliśmy z zapasów „mamałygę”, do której wrzuciliśmy trochę suszonych ryb. Ruszyliśmy w dalszą drogę, dokładnie mocząc uprzednio całą naszą odzież bo upał był niemiłosierny. Po drodze napotkaliśmy krzewy saksaułu. Korzenie tych krzaków, jak twierdzili Kazachowie, sięgają około 200 metrów w głąb ziemi. Są one tak twarde, że zrobiony z nich gwóźdź można wbić w inne drzewo. Suszonymi korzeniami tych krzewów opalano lokomotywy wąskotorowe. Ze względu na upały częściowo zmieniliśmy godziny marszu. Po napotkaniu krzaków saksaułu odpoczywaliśmy w ich cieniu, a wyruszaliśmy w dalszą drogę gdy robiło się zimniej. Znowu skończyły się zapasy wody i żywności. O ile bez jedzenia można wytrzymać, o tyle bez wody jest to męczarnia. Gdy sytuacja stawała się tragiczna, uratowała nas ulewa tropikalna. Nagle przyszła i nagle odeszła. Pozwoliła nam jednak napełnić kociołki. Innego razu, gdy skończyła się woda, pragnienie ugasiłmy odcedzając wodę z napotkanego po drodze bagienka pełnego kijanek. Woda błotna była bardzo gorzka, ale pozwoliła zaspokoić pragnienie. Bogu dzięki nie zachorowaliśmy. Dalszy marsz bez wody, spowodował halucynacje. Wspieraliśmy się

wzajemnie w tym marszu, mimo że trudno nam było rozmawiać, a usta i gardło były suche. Zwilżaliśmy więc moczem wargi i usta. Szliśmy już bardzo wolno. Wlekliśmy się jednak dalej. U schyłku dnia siedliśmy znów pod krzakiem saksaułu i postanowiliśmy, że dopiero jutro nad ranem ruszymy w dalszą drogę gdy noc nas trochę ochłodzi.

Obudził nas ziąb. Ruszyliśmy, początkowo trochę raźniej, lecz po paru godzinach chęć marszu opadła. Było gorąco. Szliśmy bardzo wolno. W pewnym momencie usłyszeliśmy rechot żaby. Zobaczyliśmy ją siedzącą w głębokim rowie. Nigdzie nie widać było wody. Usiedliśmy nad tym rowem i wypoczywaliśmy. Nagle usłyszeliśmy szum wody, a później zobaczyliśmy ją przesuwaną się po rowie jak nawałnica. Był to bowiem kanał nawadniający. Piliśmy tę brudną, brunatną wodę, kąpaliśmy się i myli. Tak oto przeszliśmy ten straszny „głodowy step”, jak go nazywają Kazachowie. Przejście przez tę piaszczysto-gliniastą pustynię zaliczam do moich wielkich sukcesów. Tylko woda życia pozwoliła nam przetrwać. Po krótkim wypoczynku i wysuszeniu odzieży, ruszyliśmy wzdłuż kanału w kierunku wsi. Byliśmy bardzo zmęczeni tą wędrówką po bezdrożach ale przygoda trwała nadal. Zastanawialiśmy się co czeka nas w zbliżającej się wsi. Czy odesłanie do kopalni, a może do łagru? Żywioł tych złych myśli został jednak opanowany. Pragnienie wolności i pragnienie walki stało się znaczącym dla nas pokrewieństwem. To pozwalało przejść wszelkie odmiany losu i przeciwności życiowe w tej drodze „ku wolności”! I uczucie to mieszało się w naszych myślach, czas miniony znaczony ciężką pracą w kopalni powracał znowu, był bliski, jak uczucie przestrzeni przez którą wędrowaliśmy przez tyle dni. Sugestywna moc perspektywicznej wizji wolności była z jednej strony naszą siłą, z drugiej w imię tego celu stale sił nam dodawała! Wspomnieć tu trzeba, że pora naszej wędrówki, zwłaszcza jej końcówka przypadła na okres największego natężenia upałów w tym bezludnym stepie. Stanowi to niewątpliwie świadectwo naszej determinacji w dostaniu się do polskiego wojska, rzecz można motywowanej głęboko patriotycznymi uwarunkowaniami wyniesionymi z rodzinnych domów, szkoły i otoczenia, w którym wyrastaliśmy. Ogrom doświadczeń i ich różnorodność towarzyszyła nam w tej drodze. Nie sposób nie dodać, że nieraz zastanawialiśmy się nad tym czy rozsądnie postąpiliśmy wybierając tę formę dostania się do polskiego wojska. Odwrotu jednak nie było, trzeba było iść dalej. Wiedzieliśmy bowiem, że jeśli nas złapią lub czy wrócimy sami czekała nas kara o wiele surowsza niż tylko pozbawienie wyżywienia, jak było to poprzednio. Wreszcie na horyzoncie pojawiła się jakaś wieś, a wraz z nią niepokój, byliśmy przecież uciekinierami z kopalni.

Wieś do której przysiliśmy nazywała się Ułanbel. Znajdowały się w niej władze powiatowe. Zgłosiliśmy się więc do Wojenkomatu z prośbą o skierowanie nas do polskiego wojska. Komendant kategorycznie był przeciwny i żądał informacji na temat skąd uciekliśmy? My uprzednio ustaliliśmy, że „po trupach”, a nie powiemy. Nie po to przeszliśmy pustynię, żeby wracać do kopalni. Do rozmowy włączył się drugi oficer, pochodzenia kazachskiego, który uważnie słuchał naszych wynurzeń związanych z chęcią niesienia pomocy oddziałom walczącym z niemieckimi faszystami. To podkreślenie z faszystami było ważne, bowiem było odbiciem miejscowej propagandy mówiącej o faszystach niszczących radziecki kraj, w którym teraz obowiązywała zasada „wszystko dla frontu”. Ów Kazach słuchając naszej opowieści odwiódł swego szefa od

prowadzenia dochodzenia i zatrzymania nas do wyjaśnienia. „Czegoś się do nich przyczepił. Chcą iść na front, niech idą. Chcą bić faszystę, a nie uciekają od poboru. A to, że trochę za młodzi – napiszcie chłopcy inny rok urodzenia”. Trzeba przyznać, że nasz kazachski obrońca posiadał zapewne świadomość faktu, że nieco przesoliliśmy w tej opowieści.

Tak więc wypełniając stosowne kwity stałem się doroślejszy, nadający się już do wojskowej służby. Od tego momentu do dnia dzisiejszego, we wszystkich dokumentach jestem o jeden rok starszy. Ale nie tylko to uległo sfalszowaniu w moim życiorysie. Podałem bowiem wówczas, że ojciec mój ciężko pracował jako robotnik kolejowy w Stołpcach i często mu pomagałem, to było mile widziane, że było się robotnikiem, a nie jakimś tam „polskim panem”. Czyniło to w sposób przekonujący i rzeczowo uzasadniony nasze dążenie do walki z niemieckimi faszystami. Uproszczeniem byłoby twierdzenie, że kolejne fazy mojej drogi do Polski były zbyt łatwe. Niemniej jednak tę ponad 900. kilometrową wędrówkę przez tzw. głodny step nie zapomnę nigdy, toteż poświęciłem jej nieco uwagi. Napisałem też temu oficerowi z „Wojenkomatu”, że na terenach rosyjskich znaleźliśmy się na skutek ucieczki przed Niemcami, ukrywając fakt, że byliśmy deportowani jako „wrogowie ludu” i „polskije pany”, jak często nas nazywano deportowani. Gdy to mówiłem przy różnych okazjach np. w „Wojenkomacie” robiło to dobre wrażenie bo teraz niemiecki najeźdźca był największym wrogiem ZSRR. Zdawałem sobie sprawę z różnych pułapek czyhających podczas takich rozmów więc wcześniej układałem sobie plan odpowiedzi na pytania, które mogły być mi zadawane przy wszelkiego rodzaju kontaktach z milicją, NKWD czy innymi władzami. Pozwoliło mi to wreszcie na wyrwanie się z Syberii i wyruszyć na żołnierski szlak do Polski, na którym spotkałem podobnych do mnie nieszczęśników, z których część została po drodze w żołnierskich mogiłach, nawet już na terenie Polski, z której wywieziono mnie jako podrostka, a do której wróciłem jako żołnierz.

Z Wojenkomatu gdzie wspomógł nas wspomniany Kazach otrzymaliśmy skierowanie do mitycznego dla nas Dżambułu. Tam mieliśmy się zgłosić na komisję poborową. Tym razem dalszą naszą podróż przez pustynne tereny Kazachstanu odbywaliśmy pociągiem. Podczas podróży wąskotorówką na platformie towarowej, obserwowaliśmy tę dziką nieprzebytą przestrzeń, którą w duchu tak przeklinaliśmy. W taki oto sposób wydostaliśmy się z sytuacji, z której mało kto wyszedł. Przeszliśmy trasę liczącą ponad 900 kilometrów. Nasz uciążliwy marsz, z przerwami na pracę w rybackich osadach trwał około 3 miesięcy i szczęśliwie zakończył się w lipcu. Zostałem więc żołnierzem o czym powiadomiłem pozostawioną mamę i brata.

Moja ucieczka z kopalni rudy miedzi przysporzyła mamie sporo kłopotów, o których opowiedziała mi, gdy spotkaliśmy się po wojnie. Zaczęły się wówczas częste wizyty przedstawicieli NKWD i pytania: „Gdzie syn?” Mama odpowiadała stale z jednakowo szczerą prawdą: „wyście go zabrali i wy wiecie gdzie on jest”. Po kilku takich wizytach dano jej spokój. „Opiekę” nad mamą powierzono przewodniczącemu kolchozu, wrogowi Polaków, który wrócił z frontu bez nogi, ten sam, który w 1940 roku nas „witał” jako „wrogów ludu”. Dopiero mój list z wojska pozwolił jej odetchnąć z ulgą. Wiedziała, że żyję, a jako matka żołnierza z frontu nie obawiała się już wizyt NKWD i wścibskiego towarzysza Kononienko. Tu warto podkreślić, że żywą częścią tamtejszych sto-

sunków społecznych był fakt oddawania szacunku dla tych rodzin, których członkowie znajdowali się na froncie walcząc „za rodzinu”.

KRONIKA

• PRYZYSTANEK CZKAŁOWO

Projekt pt. „Przystanek Czkałowo” był owocem pracy wielu osób. Był wynikiem zaangażowania i pomysłowości jego twórców, był wreszcie potrzebą dzielenia się naszymi umiejętnościami z Polonią mieszkającą w odległym Kazachstanie. Sam pomysł zrodził się w lipcu 2007 roku kiedy wróciłam z północnego Kazachstanu gdzie ponad miesiąc prowadziłam badania etnograficzne i warsztaty polskich tańców ludowych. Mieszkając w Domu Kultury Polskiej w Czkałowie poznawałam ludzi w każdym wieku. Ludzi utalentowanych, pomysłowych, pełnych zapału do nauki i chęci do zgłębiania różnych nurtów kultury. Często jednak brak możliwości nie pozwalał im na przysłowiowe „rozwiniecie skrzydeł”. Po powrocie razem z moimi kolegami Tomaszem Pulsakowskim i Piotrem Pilniakiem z fundacji Cultura Mentis postanowiliśmy opracować blok warsztatowy i pojechać do Czkałowa z konkretną ofertą kulturową i innymi działaniami.

Planując całe przedsięwzięcie staraliśmy się aby warsztaty dawały miejscowej młodzieży możliwość samorozwoju, a także alternatywne formy spędzania wolnego czasu. Postanowiliśmy zorganizować w Domu Polskim zajęcia z fotografii otworkowej, tańca współczesnego, języka angielskiego, obsługi komputera oraz warsztaty filmowe i żonglowanie ogniem. Te ostatnie były kierowane głównie do młodzieży szkolnej i stanowiły dobrą zabawę zarówno dla uczestników jak i dla prowadzących. Trzydziesto kilku stopniowe mrozy, burany i bezkresny step. To rzeczywistość w jakiej 9 lutego 2008 roku znalazła się pięćoosobowa grupa realizująca projekt.

Po czterech dniach podróży pociągiem, 4,5 tys. kilometrów od domu, zmęczeni, ciągle jednak pełni zapału i zaangażowania rozpoczęliśmy projekt „Przystanek Czkałowo”. Zainteresowanie ofertą warsztatową od samego początku było zaskakująco duże. Przychodzili ludzie w różnym wieku, każdy mógł bowiem znaleźć coś dla siebie. Co dnia w Domu Kultury Polskiej w Czkałowie rozbrzmiewała muzyka, błyskały flesze aparatów, wszyscy chcieli się czegoś nauczyć. Na zajęcia przychodziły nawet dzieci i młodzież z sąsiednich wiosek. Było to dla nas wszystkich ogromną satysfakcją i impulsem do rzetelnej pracy.

Największą frekwencją cieszyły się zajęcia z tańca współczesnego. Grupy były tak liczne, że momentami brakowało miejsca w sali. Ola Osowicz, tancerka z wrocławskiego teatru muzycznego „Capitol” z radością obserwowała postępy uczestników, czuwając jednocześnie nad prawidłowym przebiegiem warsztatów.

W czasie gdy w sali tanecznej Domu Polskiego rozbrzmiewała muzyka, gdzieś w innej części placówki, grupa młodzieży, pod czujnym okiem Tomasza Pulsakowskiego, młodego wrocławskiego fotografa, poznawała różne techniki fotografowania i obróbki zdjęć. W małej, utworzonej na potrzeby projektu, ciemni młodzi pasjonaci sami wywoływali swoje prace, stosując się do wskazówek prowadzącego. Aż miło było patrzeć kiedy miejscowe dzieci, z typowym dla nich zaangażowaniem robiły zdjęcia, wymieniały między sobą wrażenia i ze zdumieniem obserwowały poczynania swojego nauczyciela.

Oprócz wyżej opisanych zajęć odbyły się jeszcze warsztaty komputerowe oraz język angielski. Tu prowadzącym był informatyk i podróżnik Piotr Stefański. Zajęcia odbywały się w pobliskiej szkole podstawowej, gdzie znajdowała się dobrze wyposażona pracownia informatyczna. Chętnych było bardzo wielu. Piotrek stworzył kilka grup wiekowych, by wszyscy mogli wziąć udział w warsztatach. Uczestnicy uczyli się obsługi podstawowych programów komputerowych, jak również korzystanie z zasobów internetu. Język angielski także odbywał się regularnie. Piotr starał się przekazać jak najwięcej podstaw i wskazówek do dalszej samodzielnej nauki. Jeszcze inny uczestnik projektu Wojtek Laube, razem z kilkusobową grupą zagłębiał się w świat filmu i kinematografii. Osoby uczęszczające na ten warsztat mogły się dowiedzieć jak obsługiwać kamerę cyfrową a także jak montować nakręcony materiał. Wojtek Prowadził też krótkie wykłady na temat historii polskiego filmu, opowiadał o sławnych polskich reżyserach i nagradzanych produkcjach. W ramach jego zajęć odbył się wieczorek z polskim filmem. Zainteresowanie było naprawdę duże.

Ważnym elementem naszego projektu był tzw. storytelling czyli zbieranie historii opowiadanych przez ludzi. W przypadku Kazachstanu interesowały nas głównie opowieści osób, pamiętających zesłania, świadków historii, którzy na własnej skórze doświadczyli tej nieludzkiej polityki, którzy z autopsji pamiętają tragiczne początki Polaków w tym dalekim kraju. Dzięki życzliwości nauczycieli, pracujących w Domu Kultury Polskiej w Czkałowie, udało nam się dotrzeć do wielu osób, z którymi nagraliśmy wywiady na ten temat. Były to każdorazowo spotkania niezwykle, wzruszające, momenty, które na długo pozostaną w naszych pamięciach. Wszędzie byliśmy przyjmowani ciepło i serdecznie przez naszych rodaków, których los rzucił w te odległe strony.

Prowadziliśmy również zajęcia w pobliskich wioskach. Wszędzie tam gdzie była taka potrzeba. Każdy z nas na pewno zapamięta wizyty w szkole podstawowej w Kalinowce. Długie godziny warsztatów z dziećmi, a potem spotkania z dorosłymi, wspólne śpiewy, wspomnienia, rozmowy. Trudno opisać słowami wszystko to, co spotykało nas w północnym Kazachstanie. Niektóre wydarzenia niosły ze sobą tyle wrażeń i emocji, że ciężko je wtłoczyć w krótki dziennikarski reportaż. Pewne jest jednak to, że na zawsze będziemy pamiętać to co działo się podczas tego projektu.

Z dnia na dzień byliśmy przekonani, że nasze działania i praca nie poszły na marne. Obserwując radość dzieci i młodzieży ich zapał do pracy byliśmy bardzo szczęśliwi. Niezwykle trudno było nam wyjeżdżać z Czkałowa. Wszyscy razem i każdy z osobna związaliśmy się z tym niezwykle miejscem, z młodzieżą. Jednak opuszczaliśmy to małe kazachstańskie miasteczko z poczuciem, że zrobiliśmy coś naprawdę dobrego. Daliśmy miejscowym narzędzia i wskazówki do

dalszego rozwijania swoich talentów i pasji, natomiast żegnając się obiecaliśmy im, że wrócimy jeszcze kiedyś do Czkałowa. My sami również wynieśliśmy dużo z niniejszego pobytu. Wracaliśmy bogatsi o nowe doświadczenia, pełni satysfakcji z dobrze wykonanego zadania. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję że niniejszy projekt okaże się zaledwie wstępem do dalszej pracy wśród Polaków na wschodzie. Razem z Fundacją Cultura Mentis planujemy przeprowadzić kolejne projekty i wierzymy, że uda nam się te plany zrealizować.

Na koniec chciałam podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania i przeprowadzenia niniejszego przedsięwzięcia, a więc Piotrowi Pilniakowi z fundacji Cultura Mentis, oraz pracownikom Domu Kultury Polskiej w Czkałowie: Marcinowi Wociórowi i Piotrowi Chlastawie.

Ewa Kurdas

- **POLACY W GUBERNI ARCHANGIELSKIEJ.
KONFERENCJA NAUKOWA – PUŁTUSK 5 – 8 GRUDNIA 2007**

Polacy na terenie Guberni Archangielskiej w XIX i XX wieku to temat przyobleczonej w wiele realiów społeczno-kulturowych zdeterminowanych sąsiedztwem ziem polskich z imperium rosyjskim epoki carów, a potem ze Związkiem Radzieckim. Temu problemowi poświęcona była między innymi międzynarodowa konferencja naukowa w roku 2002 zorganizowana przez Państwowy Pomorski Uniwersytet im. W. M. Łomonosowa w Archangielsku we współpracy z Konsulatem Rzeczypospolitej Polskiej w Sankt Petersburgu.¹ Biorący w niej udział historycy polscy i rosyjscy zgodnie postulowali wówczas konieczność organizowania kolejnych konferencji naukowych na ten temat sugerując iż pełne oświetlenie tego zagadnienia wymaga interdyscyplinarnych studiów otwierających nowe pola badawcze, wykraczające znacznie poza dotychczasowy stan badań.

Obradująca w dniach 5-8 grudnia 2007 roku konferencja pod nazwą „Polacy w Guberni Archangielskiej w XIX i XX wieku” była kontynuacją wcześniejszych przedsięwzięć podejmowanych przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” wchodzących w skład szerszego zagadnienia dotyczącego wiedzy o złożonych problemach polsko-rosyjskich. Kwestie te to ważny element naszej historii, w które wpisane są zesłania i deportacje w XIX i XX wieku, ale także kulturotwórcze działania w wielu dziedzinach życia Polaków i Rosjan. Podejmowanie tej problematyki w badaniach naukowych jest często postulowane przez Kongres Polaków w Rosji oraz Zarząd Główny Związku Sybiraków a także przez środowiska historyków rosyjskich i polskich oraz polonijne stowarzyszenia społeczno-kulturalne działające obecnie w Federacji Rosyjskiej.

Konferencja była ważnym forum wymiany wiedzy oraz propozycji badawczych reprezentantów różnych dyscyplin naukowych badających związki polsko-rosyjskie na terenie guberni archangielskiej – historyków, socjologów, antropologów kultury, etnologów, historyków nauki, archiwistów z różnych ośrodków akademickich kraju z Federacji Rosyjskiej (Archangielsk, Kołtas, Wołogda) i Litwy

¹ *Katorga i ssyłka na siewiere Rossii*, tom. 1, *Polskaja ssyłka. Sbornik statiej*. Sost. i nauczajna red. M. N. Suprun, Sankt-Peterburg – Archangielsk 2004.

(Wilno). Jej celem było skoncentrowanie się nad problemem katongi i zesłań w guberni archangielskiej od czasów najdawniejszych aż do masowych deportacji Polaków w latach 1940-1941, znanych z okresu drugiej wojny światowej, tzw. konwojów murmańskich, życia w łagrach i pasiołkach oraz udziału Polaków w nauce, administracji i gospodarce w tej części Rosji, zasobach archiwalnych z tego zakresu, prowadzonych badaniach na ten temat itp. W wielu referatach pojawiały się w różnych wariantach, tajemnice zesłańczego losu, swoista otchłań, w której niepodobna sięgnąć dna. Tak, te właśnie trudne sprawy, pełne ludzkiego nieszczęścia, dotyczące zwłaszcza dzieci poruszały do głębi uczestników konferencji. Mroczność zesłańczego losu przewijała się w referatach Rosjan, którzy kreślili je w oparciu o dostępne im miejscowe archiwa. Poprzez tę faktografię docieramy do rozległych przestrzeni tamtej zesłańczej historii przeradzającej się w ciąg rozważań o losie człowieka skazanego na zderzenie z siłą nieprzewidywanych zdarzeń.

Tak więc rozpiętość czasowa i tematyczna konferencji była stosunkowo szeroka, a w wygłoszonych referatach znalazły się fakty i refleksje traktujące ten problem z różnych stron przekazujące prawdę o obrazie zesłań. By ją przybliżyć podajemy tytuły wygłoszonych referatów: „Powstańcy listopadowi na zesłaniu nad Morzem Białym (Zofia Lech – Warszawa); „Archangielska rota aresztancka i wcieleni do niej Polacy - XIX wiek” (Wiktoria Śliwowska – Warszawa); „Ksiądz Mateusz Vejt na archangielskim zesłaniu” (Franciszek Nowiński – Gdańsk); „Archangielski epizod w zesłańczej biografii Rufina Piotrowskiego” (Jerzy Fiećko – Poznań); „Uczestnicy powstania styczniowego w Archangielskiej Guberni” (Ludmiła Kononowa – Archangielsk); „Zmityzowany obraz Archangielska i polskich zesłańców w pamiętniku Konstantego Rinaldo Borowskiego” (Miroslaw Marczyk- Wrocław); „Bolesław Limanowski: korporant – zesłaniec – socjalista” (Jan Trynkowski – Warszawa); „Pamiętnik zesłańczy Jana Witorta” (Antoni Kuczyński – Wrocław, Zbigniew Wojcik – Warszawa); „Polacy w rosyjskich formacjach granicznych na terenie Guberni Archangielskiej w drugiej połowie IX i na początku XX wieku” (Krzysztof Latawiec – Lublin); „Oficerowie polskiego pochodzenia w Guberni Archangielskiej” (Mariusz Kulik – Biskupiec); „Oddział polski na Murmaniu – 1919 rok” (Witold Rawski – Warszawa); „Przyrodnicy polscy na zesłaniu w Archangielsku w XX wieku” (Zbigniew Wójcik – Warszawa); „Zesłańcy polscy w Rosji północnej” (Michaił Nikołajewicz Suprun – Archangielsk); „Nie tylko katorga i zsyłka. Archangielsk w mojej tradycji rodzinnej.” (Stanisław Alexandrowicz – Toruń); „Polscy zesłańcy w obwodzie archangielskim w świetle najnowszych badań” (Daniel Boćkowski – Białystok); „Cienie i przebłyski zesłańczej codzienności Polaków deportowanych w 1940 roku do obwodu archangielskiego” (Mariusz Chrostek – Rzeszów); „Dzieci polskie na archangielskiej zsyłce” Tatiana Mielnik – Archangielsk); „Formy opieki nad dziećmi polskimi w obwodzie archangielskim w latach 1943-1946” (Liliana Świątek – Andrespol); „Łagier polskich jeńców wojennych w okolicach Kotłasu – lata 1940-1941” (Irina Dubrowina – Kotłas); „Polscy „spiepiesieleńcy” na terenie obwodu archangielskiego – lata 1940-1941” (Aleksander Gurianow – Moskwa); „Polscy „specpiesieleńcy” na terenie obwodu archangielskiego w okresie drugiej wojny światowej” (Tatiana Wasilczenko – Archangielsk); „Materiały dotyczące śledztw wobec polskich zesłańców w latach 1940-1946” (Siergiej Starostin – Wołogda); „Próby dostosowania się do zesłańczych warunków na przykładzie „specpiesieleńców” – osadników w obwodzie archangielskim” (Anna Milewska-Młynik –

Warszawa); „Przesiedlenie polskich zesłańców z obwodu archangielskiego na Powołże i Ukrainę w 1944 roku” (Albin Głowacki - Łódź); „Wołyniacy na zesłaniu w obwodzie archangielskim – 1940-1941” (Ewa Kołodziejska – Warszawa); „Źródła do archangielskiej zsyłki po 1940 roku” (Ewa Rybarska – Warszawa); „Wspomnienia i relacje Polaków deportowanych do obwodu archangielskiego - zbiory Archiwum Wschodniego i Związku Sybiraków” (Anna Dzienkiewicz – Warszawa); „Działalność Delegatury RP w Archangielsku w latach 1941-1942” (Adam Dobroński – Białystok); „Cierpienia deportowanych do obwodu archangielskiego w latach drugiej wojny światowej” (Ryszard Rybicki – Szczecin); „W domu niewoli” – warunki życia na zesłaniu w świetle relacji” (Katarzyna Emilia Kość – Warszawa); „Archiwalia dotyczące polskich zesłańców z lat II wojny światowej w Centrum Informacji Urzędu Spraw Wewnętrznych Obwodu Archangielskiego” (Aleksander W. Dudariew, Nadieżda N. Gołyszewa – Archangielsk); „Dokumenty archiwalne o Polakach i Litwinach represjonowanych w obwodzie archangielskim” (Terese Birute Burauskaite – Wilno); „Stanisław Wawrzyńczyk, żołnierz Armii Krajowej – lekarz-łagiernik” (Zofia Strzyżewska – Warszawa); „Leopold Walczewski – zesłanie archangielskie w pamięci dziecka” (Piotr Biliński – Kraków).

Zróżnicowana tematyka konferencji wzbogaciła wiedzę o zesłańczych losach Polaków w Guberni Archangielskiej oraz wskazała wiele nowych wątków z tego zakresu, które będą kolejnym etapem poznawania złożonych kontaktów polsko-rosyjskich w XIX i XX wieku. Wygłoszone referaty miały charakter dużej wartości poznawczej i mimo, że nieraz ograniczały się do ogólnie znanych sądów o ciężkich warunkach bytowania zesłańców z okresu drugiej wojny światowej można się było wiele z nich dowiedzieć. Jak zwykle bywa przy rozpatrywaniu problemu ilości deportowanych Polaków na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego ZSRR, tak i tym razem dane przedstawione przez A. Gurianowa z rosyjskiego „Memoriału” wywołały żarliwą dyskusję.

Generalnie stwierdzić należy, że konferencja dała szeroki obraz problemów już rozpoznanych ale także i postulatów badawczych na przyszłość. Referaty wygłoszone podczas konferencji zostaną opublikowane, przez co poszerzy się krąg odbiorców omawianych podczas niej problemów. Nie będzie to zapewne tom pierwszoplanowy o kluczowym znaczeniu, z całą pewnością jednak stanie się on ważnym przyczynkiem do kolejnych rozważań tego problemu poszerzających nasze spojrzenie na te mało znaną strefę polskich zesłań w XIX i XX wieku.

Antoni Kuczyński

• NAGRODY „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO” ZA 2007 ROK

Tegoroczna, jubileuszowa XV edycja nagród kwartalnika „Przegląd Wschodni” miała szczególnie uroczystą oprawę. Na Uniwersytecie Warszawskim, w Sali Balowej Pałacu Potockich 29 marca 2008 roku uhonorowano dotychczasowych laureatów specjalną księgą pamiątkową oraz wręczono nagrody za najlepsze publikacje naukowe poświęcone problematyce wschodniej wydane w 2007 roku.

Nagrody w kategorii Autorów Krajowych otrzymali *ex aequo*:

❖ **prof. Tomasz Kempa** z Torunia za książkę *Wobec Kontrreformacji. Protestanci i prawosławni w obronie swobód wyznaniowych w Rzeczypospolitej w końcu XVI i w pierwszej połowie XVII wieku*, Toruń 2007.

❖ **dr Włodzimierz Osadczy** z Lublina za książkę *Święta Ruś. Rozwój i oddziaływanie idei prawosławia w Galicji*, Lublin 2007.

❖ **dr Tomasz Stryjek** z Warszawy za książkę *Jakiej przeszłości potrzebuje przyszłość? Interpretacja dziejów narodowych w historiografii i debacie publicznej na Ukrainie 1991-2004*, Warszawa 2007.

❖ **dr Rafał Wnuk** z Lublina za książkę *Za pierwszego Sowietą. Polska konspiracja na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej (wrzesień 1939-czerwiec 1941)*, Warszawa 2007.

Nagrody w kategorii Autorów Zagranicznych w tym roku nie przyznano.

Nagrodę w kategorii Edycji Źródeł otrzymał **prof. Edmundas Rimša** z Wilna za książkę *Pieczenie miast Wielkiego Księstwa Litewskiego*, Warszawa 2007.

Nagroda w Kategorii Upowszechnianie Wiedzy o Wschodzie przypadła trzem autorom książki *Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa 1 IX 1939 – 5 II 1946*: **prof. Grzegorzowi Mazurowi** z Krakowa oraz **red. Jerzemu Skwarze** i **prof. Jerzemu Węgierskiemu** z Katowic, Katowice 2007.

Nagrodą Specjalną za dorobek naukowy i postawę obywatelską uhonorowano **prof. Zbigniewa Wójcika** z Warszawy, wybitnego znawcy XVII-wiecznych dziejów Ukrainy i Rosji oraz stosunków polsko-ukraińskich i polsko-tatarskich, autora między innymi: *Historii powszechnej XVI-XVII wieku*, *Dzikich pól w ogniu. O Kozaczyźnie w dawnej Rzeczypospolitej*, *Dziejów Rosji 1533-1801*, *Rzeczypospolitej wobec Turcji i Rosji 1674-1679*, a także znakomitej biografii Jana III Sobieskiego.

Nagroda „Przeglądu Wschodniego” im. Aleksandra Gieysztor w postaci dyplomu i statuetki autorstwa Gustawa Zemły, ustanowiona przed 9 laty, honorująca osoby wybitnie zasłużone w sprawach wschodnich, tym razem trafiła do rąk **prof. Anatola Hryckiewicza** z Białoruskiego Państwowego Uniwersytetu Kultury i Sztuki w Mińsku za prace na rzecz białoruskiego odrodzenia narodowego i zbliżenia polsko-białoruskiego oraz **dr. Stanisława Stępnia**, dyrektora Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu, działającego na pograniczu polsko-ukraińskim.

Ceremonię rozpoczęło odczytanie listu od marszałka Sejmu RP Bronisława Komorowskiego z gratulacjami dla laureatów, a zakończyło wręczenie dyplomów dla instytucji wydawniczych szczególnie przyczyniających się do upowszechniania wiedzy o Wschodzie – „Oficyny Wydawniczej Rytm” i „Wydawnictwa Adam Marszałek”.

W skład jury nagrody weszli: prof. Juliusz Bardach z Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Chodkiewicz – dyrektor Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, dr Adolf Juzwenko – dyrektor Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Jan Malicki – redaktor naczelny „Przeglądu Wschodniego” oraz prof. Elżbieta Smułkowa i prof. Leszek Zasztowt z Uniwersytetu Warszawskiego, a także Ewa Gieysztor (Jury Nagrody im. Aleksandra Gieysztor).

Podobnie jak w latach ubiegłych nagrody zostały ufundowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Radio Polonia – Program dla Zagranicy Polskiego Radia S.A. oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

Ewa Ziółkowska

• WSPOMNIENIE Z DROGI...

Podczas pobytu w Kirgizji, sporo czasu spędziłem w Osz – miałem bowiem informacje, jak się okazało od dawna już nieaktualne, że tam można spotkać naszych rodaków. W rzeczywistości informacje te odnosiły się do lat zaraz powojennych, w których w Osz znajdował się obóz dla Polaków mających wrócić do kraju. Blizsze dane o tym obozie znajdowały się w tamtejszym archiwum partyjnym, życzliwie mi udostępnionym. Przez trzy dni przeglądałem masę dokumentów różnego rodzaju, pracownicy archiwum zносиły mi wszystkie, w których dostrzegły jakąkolwiek wzmiankę o Polakach. Ale właściwie znalazłem tylko jeden plik wartościowych informacji – materiały dotyczące ewakuacji Polaków przez Związek Patriotów Polskich, w składzie którego była Wanda Wasilewska.

Był to spis uczestników obozu reemigracyjnego dla obywateli polskich, oczekujących w „omskiej obłasti” w latach 1945-46 na powrót do Polski. Na 181 różnego rodzaju i formatu kartkach znajdowały się dane o 2373 osobach (nie licząc dzieci, które były wpisywane przy rodzicach), podane ich imiona, nazwiska, imiona ojców, rok urodzenia, ostatnie miejsce zamieszkania. A także narodowość. I ta ostatnia rubryka zwróciła moją szczególną uwagę. Na 2373 obywateli polskich tylko 107 podało narodowość polską, 19 ukraińską, 15 rosyjską, 1 białoruską oraz 1 czerkieską. A reszta – 2230 osób, czyli 94% stanu podało narodowość żydowską. Ślęcząc nad słabo czytelnymi spisami odpisywałem wszystkie dane o osobach podających inną niż żydowska narodowość – okazało się, że obok niewątpliwych Polaków, jak np. Wincenty, Jadwiga i Kazimierz Naruszewiczowie, wielu deklarujących swą polskość ma imiona swoje bądź ojców, wyraźnie świadczące o ich pochodzeniu żydowskim. Szmul, Josek, Estera, Rubinowna, Izakowna, Aronowna, w niektórych przypadkach dane były dla mnie zaskakujące, tak np. Wilhelm Pasternak miał zapisane jako „otczestwo” – Gierszewnicz. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że Rosjanie nie znają litery H i zastępują ją przez G, a zatem tenże Wilhelm jest po prostu synem Hersza. Pokrywało to się zresztą z „Nieformalną zapiską Nr.1 pracy propagandowej i agitacji za styczeń 1944 roku” uzyskaną później w Biksztoku w centralnym archiwum partyjnym, (to tu normalne, że te archiwa są najbogatsze i najlepiej prowadzone. No może poza archiwami MWD, czyli dawnego NKWD – ale do tych niestety nie udało mi się dotrzeć). W niej informacja o „Organizacji obłastnego oddziału Związku Patriotów Polskich”. Związek ten stworzył „Komitet polskich obywateli” (w nawiasie dopisano: „polskich Żydów”). Rzeczywiście w pięcioosobowym składzie zarządu narodowość polską reprezentowała tylko jedna osoba – na dodatek prosta robotnica. Poza nią w zarządzie znalazł się bowiem księgowy, inżynier, studentka i dyrektor polskiej szkoły. Moja pracowitość zyskała chyba uznanie w oczach Pań archiwistek. Podczas przerwy obiadowej nie pozwalały mi wyjść do restauracji, lecz zapraszały na „lunch” – z przygotowanych przez siebie kirgiskich potraw.

Po przejrzaniu większości materiału, gdy już niewiele zostało do końca, pozwoliłem sobie na jednodniową przerwę w pracy i pojechałem na wyprawę do Kirgysz Ata. Gdy po powrocie przyszedłem do archiwum, ku memu zdumieniu zastałem zastawione stoły i tłum gości. Okazało się, że świętują okrągłą rocznicę powstania archiwum, przyjechali jacyś ważni goście ze stolicy. Cóż, wsunąłem się do danego mi do dyspozycji gabinetu, szefowa parokrotnie zaglądała, pytając czy mam jeszcze dużo pracy. Przypuszczałem, że moja obecność w tej sytuacji jej nieco przeszkadza, starałem się więc jak najszybciej skończyć moje notatki. Myliłem się jednak. Wiadomość, że skończyłem pracę została przyjęta z radością: świetnie, to możemy już zaprosić cię do stołu. Posadzono mnie obok dostojnika siedzącego w typowej białej czapie kirgiskiej, jak się okazało – szefa kirgiskiej służby archiwalnej, w randze ministra. Sypały się toasty mówione i śpiewane, szefowa krążyła po sali, podając niektórym gościom jakąś czarękę. W pewnym momencie podeszła do mnie, wręczyła mi czarękę. Nie wiedziałem, jak wypada się w tym przypadku zachować, więc powiedziała mi, że powinienem zaśpiewać i wygłosić toast. Toast, jak toast, ale ze śpiewem gorzej. Wyjaśniwszy więc towarzystwu, że śpiewam tak pięknie, jak wielbłąd na pustyni, zaśpiewałem im „sto lat” – a potem wygłosiłem mowę. Mówiłem, że my, Polacy, mamy swój święty znak: Białego Orła. Że znak ten widnieje na naszych sztandarach i w naszych sercach, że z tym znakiem szliśmy do boju o wolność i że jak przyjechałem do Kirgizji, ucieszyłem się widząc, że w godle Kirgizji jest również biały orzeł, że oba nasze narody przyjęły ten sam symbol, ptaka wolnego i dumnego, ptaka który lata wysoko, który nie umie żyć w niewoli...

Muszę się przyznać, że mój toast podobał się chyba wszystkim, pan minister uściskał mnie i zawołał, że mam rację, orły są symbolem ludzi dumnych, orły latają nad szczytami i nie znoszą niewoli, są wolne, tak jak jest wolna Polska i jak w końcu stała się wolną Kirgizja.

Janusz Kamocki

• STEFAN PRZYBYLIK – IN MEMORIAM

W dniu 5 grudnia 2007 r. zmarł w Zakopanem w wieku 89 lat Stefan Przybylik, członek zakopiańskiego Oddziału Związku Sybiraków. Był bardzo skromnym człowiekiem, zawsze uśmiechniętym i życzliwym dla wszystkich, ale droga Jego długiego życia nie powinna być niezauważona i zasługuje na pamięć. Urodził się na Ziemi Olkuskiej, szkołę średnią ukończył w Bielsku Białej i tam 15 sierpnia 1939 r., przed wstąpieniem do Szkoły Podchorążych, został powołany do wojska i oddelegowany do 11 Batalionu Junackich Hufców Pracy w Nowogrodzie koło Łomży. Po wybuchu II wojny światowej, został przeniesiony na granicę polsko-sowiecką, gdzie 17 września 1939 r. wraz z całym Hufcem został rozbity przez wojska radzieckie. Udało się jemu, wraz z grupą kolegów, stamtąd uciec do zgrupowania Wojsk Polskich w Kiercach, tam został aresztowany przez Sowietów przewieziony do Równego, skąd znowu uciekł do Stanisławowa, kierując się w stronę granicy polsko-rumuńskiej. Jednak tam został zatrzymany przez czujkę sowiecką i 15 października 1939 r. oddany w ręce NKWD. Siedział w kilku więzieniach na terenie Polski i ZSRR, skazany na 5

lat łagru został przewieziony do Archangielska, następnie statkiem do ujścia rzeki Peczory. Stamtąd, razem z 800 więźniami, płynąc na barce w górę rzeki Peczory, dotarł do łagru Najman-Mar, a następnie do Peczor-łagru, gdzie pracował w tajdze do 6 marca 1942 r., skąd po ogłoszeniu amnestii dla polskich więźniów dotarł do tworzącej się Armii Polskiej gen. Władysława Andersa, z wojskiem 1 kwietnia 1942 r., w Iranie, gdzie wstąpił do I Kompaniową Kompanią, wyjechał do Iraku, dowództwo Brytyjskie.

*

Stefan Przybylik
(1918-2007)

W czerwcu 1942 r. został przeniesiony do Południowej Afryki na przeszkolenie. 1 września 1942 r. skierowany został do służby wartowniczej na statek „Laconia”, którym transportowano 2000 jeńców włoskich. Statek ten został storpedowany przez niemiecki U-bot i zatonął na Atlantyku, ale S. Przybylik został uratowany przez francuski krążownik „Glorie”, po 5 dniach dryfowania w łodzi ratunkowej, było to 17 września 1942 r. Potem szczęśliwie dotarł do Dakaru, następnie do Casablanki, skąd został internowany do środkowego Maroka. Dnia 6 grudnia 1942 r. przeniesiony został do Wielkiej Brytanii, do bazy w Szkocji, gdzie został wcielony do Oddziałów Specjalnych. Ze Szkocji, po przeszło rocznym przeszkoleniu, został skierowany do Włoch, gdzie przebywał do 15 marca 1944 r. Był jednym z 316 „Cichociemnych” z Oddziału Specjalnego, który 17 października 1944 r. został zrzucony na terytorium okupowanej Polski i przydzielony do 25 Pułku Piechoty Armii Krajowej, gdzie dowodził plutonem łączności dywersyjnej. W czasie walk partyzanckich z Niemcami został złapany i aresztowany przez gestapo, gdy był przewożony do więzienia w Radogoszczy, pociąg został zbombardowany przez sowietów, a Jemu udało się

uciec z transportu i znowu walczyć w podziemiu do 19 stycznia 1945 r. W tym czasie, w Wielkiej Brytanii, zaocznie został z dniem 18 października 1944 r. awansowany na stopień podporucznika.

Po zakończeniu II wojny światowej, był dwukrotnie aresztowany, wyszedł z więzienia na mocy amnestii. Pomimo tych represji ukończył Wyższe Studium Nauk Społecznych i Gospodarczych w Katowicach i po osiedleniu się w Zakopanem pracował w służbie zdrowia do przejścia na emeryturę w 1980 r. W 1989 r. zainicjował zorganizowanie na terenie Zakopanego Oddziału Związku Sybiraków, gdy utworzył się komitet organizacyjny i zaczęło się zgłaszać coraz więcej Sybiraków z Podhala i okolic, przekazał prowadzenie wpierw Koła a potem Oddziału, Panu Józefowi Kulonowi, ponieważ sam był już prezesem Koła Związku Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Był Kawalerem Orderu Virtuti Militari, został uhonorowany Medalem Brytyjskim za wojnę 1939/45, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Zesłańców Sybiru oraz innymi odznaczeniami. Został też awansowany do stopnia kapitana Wojska Polskiego. Spoczął na Powązkach w Warszawie dnia 14 grudnia 2007 r. w kwatrze wojskowej, pożegnany przez Kompanię Honorową Wojska Polskiego i poczet sztandarowy Wojskowej Formacji „Grom” im. Cichociemnych Spadochroniarzy.

Krystyna Wilczyńska

- **KAPLICA ZESŁAŃCÓW SYBIRU
IM. ŚW. RAFAŁA – PATRONA SYBIRAKÓW**

Dnia 13 kwietnia 2008 roku w 80 rocznicę powstania Związku Sybiraków i w 68 rocznicę II masowej deportacji mieszkańców Kresów Wschodnich na Syberię, Daleki Wschód do Kazachstanu i w inne rejony ZSRR miała miejsce podniosła uroczystość. W Bazylice Mniejszej – kościoła garnizonowego Wojska Polskiego pw. św. Elżbiety przy ul. Mikołaja we Wrocławiu o godz. 10⁰⁰ pod przewodnictwem J.E. ks. Mariana arcybiskupa Gołębiewskiego, Metropolity Wrocławskiego z udziałem liczego duchowieństwa oraz kapelana wrocławskich Sybiraków ks. prałata Franciszka Głoda, kustoszy sybirackich Znaków Pamięci, Ojca Stanisława Golca, ks. prałata Wojciecha Tokarza i proboszcza Bazyliki Mniejszej ks. płk. Januarego Wątroby, rozpoczęła się intencyjna msza św. w ceremoniale wojskowym z udziałem orkiestry wojskowej i chóru młodzieży z zespołu Szkół Ekonomiczno-Administracyjnych im. Marii Dąbrowskiej we Wrocławiu.

W mszy św. powitani przez proboszcza ks. płk. Januarego Wątrobę uczestniczyli: minister z Kancelarii Prezydenta RP Jacek Sasin; Wicewojewoda Dolnośląski Zdzisław Średniawski; Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego minister Władysław Stasiak; przedstawiciel Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych mjr L. Karwowski; przedstawiciele władz samorządowych; dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego oraz wojewódzki komendant Policji; prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków Tadeusz Chwiedź i Generalny Sekretarz Związku Edward Duchnowski; komendantka Dolnośląskiej Chorągwi

ZHP hm. Barbara Matuszewska, posłanka Aleksandra Natalli-Świat; radny Rady Miejskiej Wrocławia Jan Chmielewski; przedstawiciele szkolnictwa wrocławskiego; przedstawiciele Organizacji Kombatanckich z pocztami sztandarowymi; przedstawiciele Oddziałów i Kół Związku Sybiraków z pocztami sztandarowymi; młodzież szkolna i harcerska z pedagogami i pocztami sztandarowymi; zaproszeni goście; sponsorzy i darczyńcy; zesłańcy Sybiru zrzeszeni w Związku Sybiraków.

Wzruszającą homilię wygłosił J. E. ks. Marian arcybiskup Gołębiowski, rozpoczynając ją przypomnieniem, że niedziela dnia 13 kwietnia jest czwartą niedzielą po Wielkanocy i na mocy postanowienia Papieża Jana Pawła II jest Niedzielą Dobrego Pasterza i nawiązuje do posługi czynionej dla dobra wiernych. Dla zgromadzonych Sybiraków były to szczególne słowa, ponieważ przez długie lata przymusowej pracy w pasiołkach i łagrach byli pozbawieni posługi duszpasterskiej. To wielkie zadanie przejęły na swe wątle i spracowane ponad siły ramiona, Matki Polki, Matki – Bohaterki, bardzo często nauczycielki, które w konspiracji przed nadzorującą służbą NKWD, nauczały religii i umacniały w wierze ojców, przypominały historię ojczystego kraju i wpajały nadzieję na odzyskanie wolności w poczuciu dumy narodowej i trwania w polskości.

To dzięki Matkom w kruchym, dziecięcym zesłańczym organizmie zaczął wzrastać Kościół, katolicki Kościół. Ten wewnętrzny, piękny i bardzo mocny Kościół przywieźli do Ojczyzny zesłańcy powracający nie do własnych domów po roku 1946, bo inne były już granice powojennej Polski. Padali wówczas na kolana przed ołtarzami dziękując Bogu za Cud Ocalenia. Pod sklepieniami różnych świątyń znaleźli zrozumienie i ukojenie dane im przez duszpasterzy, gdyż jak mówił w homilii J.E. ks. Marian arcybiskup Gołębiowski, nikt nie chciał słuchać prawdy o deportacji, łagrach, zesłańcach, przymusowej pracy, głodzie, chłódzie, chorobach nie leczonych i śmierci, wręcz zabraniając wypowiedzi na ten temat. Mimo wyraźnego zakazu Sybiracy spotykali się u odważnych księży proboszczów i w małych salkach katechetycznych snuli nie tylko opowiadania z tamtych lat pogardy, lecz dokonywali bieżących zapisów, szczególnie osób zmarłych na „Nieludzkiej Ziemi”, ale i zastanawiali się nad przyszłością i koniecznością reaktywowania Związku Sybiraków założonego w roku 1928 przez ojców i dziadów, również zesłańców. Działanie to wpłatało się w ogólnopolskie dążenia do wolności zgodnie z programem głoszonym przez przedstawicieli KOR-u i Solidarności.

Wykorzystując pierwsze symptomy nadchodzącej wolności, kontynuował Metropolita Wrocławski, zesłańcy przystąpili w roku 1988 do reaktywowania swojego Związku Sybiraków, działając prężnie i zdecydowanie. To działanie widoczne było na terenie całej Polski i naturalnie Dolnego Śląska, dokąd kierowano repatriowanych zesłańców. Praca i zaangażowanie Sybiraków zrzeszonych we Wrocławskim Oddziale Związku Sybiraków zasługuje na szczerą gratulację i podkreślenie za ofiarowanie tak znamienego dla duszpasterstwa, kolejnego, pięknego Znak Pamięci jakim jest Kaplica Zesłańców Sybiru im. św. Rafała – Patrona Sybiraków, zesłańca do Usola k. Irkucka – uczestnika Powstania Styczniowego, która jest jeszcze jednym świadectwem i jakże trwałym znakiem martyrologii Polaków na Wschodzie.

Przed błogosławieństwem mszalnym zostało odczytane, przez Jacka Sasi-
na, posłanie Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego do Sybiraków, zawierające

szczerze gratulacje i podziękowania za patriotyczną postawę i niezłomną wolę bycia Polakami. Następnie prezes Związku Sybiraków Oddziału we Wrocławiu, Jan Fenc, w krótkich słowach przypomniał o przeżytej martyrologii na Wschodzie. Po mszy św. nastąpił moment przekazania wiernym Kaplicy Zesłańców Sybiru dokonany przez: ministra z Kancelarii Prezydenta RP Jacka Sasina, ministra z Biura Bezpieczeństwa Narodowego Władysława Stasiaka oraz prezesa Zarządu Głównego Związku Sybiraków Tadeusza Chwiedzia. Poświęcenia Kaplicy dokonał J.E. ks. Marian arcybiskup Gołębiowski, poczem dokonano aktu odznaczenia osób zasłużonych w pracach restauratorskich i pomocy udzielonej Sybirakom. I tak: Złotym Krzyżem Zasługi został odznaczony mgr inż. Architekt Zbigniew Sobek, Honorową Odznaką Sybiraka odznaczono J.E. ks. Mariana arcybiskupa Gołębiowskiego proboszcza Bazyliki Mniejszej ks. płk Januarego Wątrobę, prof. Bronisława Chromego, Mariusza Wasilewskiego, Elżbietę Zielińską, Beatę Flank, Ewę Klimiuk, Zbigniewa Jaworskiego, Srebrnym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej zostali udekorowani Izabela i Zbigniew Sobekowie.

Uczestnicy tej podniosłej uroczystości otrzymali, wydaną staraniem Oddziału Związku Sybiraków we Wrocławiu, przy finansowej pomocy Urzędu m. Wrocławia, publikację zawierającą opisy i piękne fotografie (wykonane przez Romualda Siepsiaka) Kaplicy Zesłańców Sybiru im. św. Rafała oraz innych Znaków Pamięci Sybiru na terenie Wrocławia, w tym Pomnika Zesłańców Sybiru, przy Skwerze Sybiraka i Sanktuarium Golgoty Wschodu z Izbą Pamięci u Ojców Redemptorystów przy ulicy E. Wittiga nr 10.

Głównym przesłaniem Sybiraków w ich zaangażowaniu wznoszenia Znaków Pamięci jest pragnienie, by w „granitowych słowach” zawrzeć nie tylko prawdę historyczną, tak bardzo potrzebną dla przyszłych pokoleń, lecz szczególnie przestrożę przed totalitaryzmem, wojnami i zniewoleniem człowieka. Te „granitowe słowa” będą przemawiały, gdy zesłańcy już mówić przestaną odchodząc na „wieczną wartość” i zgodnie z ich wolą przemawiać będą przez wieki.

Zofia Helwing

• WYSTAWA „KATYŃ” W PUŁAWACH

„W hołdzie Ofiarom Zbrodni Katyńskiej oraz dla uczczenia pamięci wszystkich wymordowanych przez NKWD na mocy decyzji naczelnych władz Związku Sowieckiego z 5 marca 1940 roku, Sejm RP ustanowił 13 kwietnia Dniem Pamięci Zbrodni Katyńskiej” – głosi uchwała z dnia 14.11.2007 roku.

13 kwietnia 1990 roku miało miejsce oświadczenie TASS potwierdzające, że zbrodni dokonało NKWD. – To otworzyło drogę do przekazania Polsce przez Michaiła Gorbaczowa części dokumentacji związanej ze zbrodnią katyńską. Otworzyło także drogę do budowy cmentarza katyńskiego. Proces „odkłamania” zbrodni katyńskiej rozpoczął się wraz ze zmianami ustrojowymi w Polsce oraz zmianami ustrojowymi w ZSRR, a później Rosji.

Na mocy dekretu władz ZSRR, podpisanego przez Stalina 5 marca 1940 roku, 15 tys. Polskich oficerów w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie zostało przez NKWD od kwietnia do maja 1940 roku rozstrzelanych w Katy-

niu, Charkowie oraz Twerze. Ten masowy mord nosi dziś nazwę Zbrodni Katyńskiej.

Tej zbrodni była poświęcona wystawa „KATYŃ” w Puławskim Ośrodku Kultury „Dom Chemika”, otwarta w Dniu Katynia 13 kwietnia. Koncepcję wystawy opracował Adam Wołk – Związek Sybiraków – Komisja Historyczna, a jej przygotowaniem zajęła się Danuta Brajer – Puławski Ośrodek Kultury. Wystawa została wykonana przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Puławy. Otwarcia dokonał Prezydent Miasta Puławy p. Janusz Grobel. Uroczystość ta zgromadziła nadspodziewaną ilość osób (ponad 400). Po otwarciu odbyła się projekcja filmu Andrzeja Wajdy „Katyń”.

Zbrodnia katyńska wyszła na jaw w początku kwietnia 1943 roku, gdy na terenach zajętych przez wojska niemieckie, ludność miejscowa natknęła się, w rejonie wsi Katyń, w lasu sosnowym w Koziej Górze na masowe groby. Po wiadomione o tym władze niemieckie w początku kwietnia podjęły działania mające na celu ustalenie czyje to były groby. Po zachowanych mundurach polskich oficerów oraz znalezionych dokumentach ustalono ponad wszelką wątpliwość, że są to Polacy. W niemieckiej gazecie wydawanej w języku polskim „Goniec Krakowski”, z dnia 16 kwietnia 1943 roku został opublikowany cykl relacji pod wspólnym tytułem „Bezgraniczne bestialstwo bolszewików. GPU zlikwidowało cały obóz polskich oficerów”. Podobne artykuły pojawiły się w tym samym czasie w gazetach w innych miastach, między innymi w Lublinie.

Niemcy sprowadzili do Katynia Międzynarodową Komisją składającą się z dwunastu członków przedstawicieli medycyny sądowej i kryminalistyki z różnych krajów, z udziałem też delegacji Polskiego Czerwonego Krzyża. Komisja w dniach 28-30 kwietnia 1943 roku podjęła badania naukowe grobów polskich oficerów i spisała następnie odpowiedni protokół. Dane te posłużyły do wydania broszury *Katyń*, w języku polskim, zawierającej 38 stron, w tym 26 zdjęć. Puławska wystawa prezentowała tą całą broszurkę. Było to prawdopodobnie jej pierwsze publiczne pokazanie, bowiem w publikacjach znane były jedynie nieliczne zdjęcia z tego wydawnictwa.

Została również wydana książka w języku niemieckim pt. *Amtliches Material zum Massenmord von Katyn, Berlin 1943*. Egzemplarz tej książki został przekazany w 1993 roku do Centralnej Biblioteki Wojskowej w Warszawie. Według listy zawartej w tej książce ofiary są numerowane kolejno, tak jak były wydobywane (nie alfabetycznie). Stanowi ona pierwszą Listę Katyńską, do około 4400 nazwisk, z symbolem AM (Amtliches Material) przy kolejnych numerach.

Władze sowieckie z wielkim uporem, trwającym aż 50 lat, haniebnie wypierały się tej prawdy. Co gorsze, aparat restrykcyjny NKWD oraz UB tępił wszelkie odgłosy mówiące o prawdzie, a niezgodne z sowiecką wersją, że mordu dokonali Niemcy. Dowodem tej perfidii może być ściśle tajna instrukcja Nr 6/52 Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z dnia 12 marca 1952, podpisana przez J. Brystygierową, płk. (NKWD), dyrektora departamentu V MBP. Treść tej instrukcji była pokazana również na wystawie.

Prezentowana na wystawie broszura *KATYŃ*, była w tych trudnych warunkach prześladowań przechowywana od 1943 roku przez puławską harcerkę,

łączniczkę Armii Krajowej, Halinę Gil², w latach powojennych komendantkę Żeńskiego Hufca ZHP w pow. puławskim. Z tych też oczywistych względów tu w Puławach wystawa ta została zorganizowana.

Adam Wołk

² Halina Gil-Wołk (1923-2003) – biogram, [w:] *Sylwetki kobiet-żołnierzy*, wyd. Fundacja „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek”, tom II, Toruń 2006, s. 84-88.

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Czesław Malewski, *Rody szlacheckie na Litwie w XIX wieku. Powiat lidzki*, Wilno 2005, s. 305.

Na okładce książki niszcząca kaplica rodowa Szukiewiczów w Naczy. Mur z północnych gładów narzutowych, pospolitych w okolicy. Dach pokryty blachą częściowo zniszczony. Widoczny jest jeszcze, uszkodzony przez czas, niewielki krzyż naścienny. Dominującym elementem jest jednak w połowie ucięta sosna. Za nią rozległy widok. Na pierwszym planie rzeka, dalej łąki i pola, zarysy zabudowań, oraz zamykający horyzont ciemny las. Trudno o wyrazistszą symbolikę dla tego wszystkiego co stanowi treść książki: ostatnie ślady tego wszystkiego czym żyła ubożająca szlachta Ziemi Lidzkiej w XIX stuleciu. Ona tu została, okaleczona, podobnie jak krajobraz. Nie poddawała się rusyfikacji za czasów carskich, ani eksterminacji podczas okupacji dwóch wrogów: Niemców i Sowietów. Jest jednak coraz mniej materialnych dowodów jej funkcjonowania w tym obszarze w przeszłości. Za kilkanaście lat z pewnością nie pozostanie nawet śladu po kapliczce Szukiewiczów. Teren porosną sosny i brzozy, wśród których ocaleją - być może - tylko grzyby. Jedyne historycy będą wiedzieli, że było to miejsce modłów Wanadalina Szukiewicza, jednego z najwybitniejszych archeologów przełomu XIX i XX wieku. Rosnąca tu dawniej wiekowa sosna została ścięta, by wiatr który ją kiedyś powali, nie zniszczył kompletnie kaplicy. Los był niewątpliwie okrutniejszy dla licznych w okolicy rodów szlacheckich. One już nie wrócą do miejsc gdzie dawniej były dworki ich przodków; rozjechali się w różne strony, inni zmarli bezpotomnie. Przypominać będzie o nich głównie powieść Elizy Orzeszkowej *Nad Niemnem*. Przywołają też niektóre dane o nich tacy entuzjaści, jak Autor prezentowanej książki, ale i księża, odbudowujący zrujnowane za czasów sowieckich kościoły. Nie wszystko zdołano zniszczyć po 1939 roku.

Entuzjaści mogą utrwalić nie jedno z przeszłości na tych terenach. Najlepszym tego przykładem jest działalność Czesława Malewskiego. Ukończył Instytut Pedagogiczny (obecnie Uniwersytet Pedagogiczny) w Wilnie. Jest nauczycielem historii w polskim gimnazjum im. A. Mickiewicza w tym mieście. Zajmuje się genealogią rodów szlacheckich z terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Od 2007 roku jest prezesem, nowo powstałego i jedyne- go na Litwie, Towarzystwa Genealogicznego. Ma przede wszystkim ogromną wiedzę, umiejętność cierpliwego wyszukiwania danych w archiwach, ale także -

zmysł krajoznawcy, bo z aparatem fotograficznym dociera niemal wszędzie tam, gdzie ocalało cokolwiek z przeszłości. Przy tym wszystkim jest badaczem-pionierem w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Któż bowiem, znając realia pracy Polaka na terenach dzisiejszej Litwy i Białorusi, mógłby napisać obszerny rejestr rodów szlacheckich, nie mając świadomości że praca, którą wykonuje jest przede wszystkim posługą. Tym jest ona ważniejsza, że wnosi wiele nowego do ogólnej znajomości dziejów, niewielkiego wprawdzie ale ważnego, obszaru dawnych Kresów Rzeczypospolitej.

Tytuł książki *Rody szlacheckie na Litwie w XIX wieku. Powiat lidzki* zdaje się świadczyć, iż Autor realizuje zamysł monograficznego ujęcia problemu. Rzec rozpoczął od małego, acz z pewnością reprezentatywnego obszaru. Pisał o tym wcześniej skoro na s. 59 odwołuje się do swojej publikacji z 2002 roku *Rody szlacheckie w powiecie lidzkim na Litwie w XIX wieku*. Tym razem zgromadzone materiały przedstawił w dwóch esejach wprowadzających: *Zarys historyczny powiatu lidzkiego do XIX wieku* oraz *Wiek XIX i XX*, a także w opracowaniu podstawowym pt. *Spis rodzin szlacheckich, wsparty Bibliografią*, w której są przeważnie zestawienia teczek z Archiwum Historycznego Litwy w Wilnie. To ostatnie niejednokrotnie treścią przewyższa, o czym niżej, przekazy zawarte w spisie. Dodajmy, że w rozdziale dotyczącym XIX wieku jest imienny spis szlachty represjonowanej w związku z wydarzeniami 1863 r., również dokumentowany źródłami z wymienionego archiwum.

To co budzi zdumienie historyka obeznanego z archiwum wileńskim, ale także z Ziemią Lidzką, jest nieprawdopodobna wręcz umiejętność wychwytywania istotnych dla pracy informacji z dokumentów archiwalnych z lokalizacją tego w terenie. Do tego wykorzystane zostały nie tylko dane o własności (dzierżawie itp.), ale również i zapisy z ksiąg parafialnych. Dzięki temu osiągnięto stosunkowo wysoki stopień ścisłości. W minimalnym stopniu wykorzystano pamiętniki, co jest wadą opracowania, oraz literaturę biograficzną. Tu jednak podkreślić trzeba, że Autor stosunkowo dobrze opanował historyczną i krajoznawczą literaturę okresu międzywojennego, a z powojennych m.in. opracowanie Wiktorii Śliwowskiej, zwłaszcza o zesłańcach polskich okresu międzypowstańowego, i inne.

Ten ogromny materiał analityczny można by było zagospodarować na wiele sposobów. Autor wybrał opcję optymalną: przedstawił rodzaj katalogu rodów szlacheckich, odnotowując podstawowe dane: nazwisko, herb (tu nie zawsze), rodzaj użytkowanej ziemi w określonym czasie, rejestracja w parafii. Dla niektórych rodów objaśnienia ograniczają się wyłącznie do nazwiska, inne - bogatszych i bardziej operatywnych - mają czasem po kilkanaście zdań. Zawsze jest to przekaz bardzo istotny, zwłaszcza dla tych którzy poszukują danych o swych przodkach.

Wyżej wspomniano, że Autor nie zawsze zdołał w *Spisie* wykorzystać posiadane dane. Oto jakże charakterystyczny przykład: Zapis: „Domejko – h. Dołęga. Dwór Zapole, Dowludowo – par[afia] lidzka” (s. 104). W zestawie teczek archiwalnych znajdujemy taką informację: „zesp.[ó] 394, inw.[entarz] 8, vol. 1828 Zapole – Kazimierza Domejki”. Dla poszukującego nowych informacji o rodzinie

filarety Ignacego Domeyki (taki powinien być zapis nazwiska) ustalenie Autora wskazuje, że posiadłość ta była w rękach Kazimierza, brata Ignacego (nb. herbu Dangel). Rzecz dotychczas nieznana, gdyż w Zapolu gospodarował Ignacy do wybuchu powstania listopadowego, ale była to własność stryja Ignacego, co zdecydowało iż majątek nie został skonfiskowany. O gospodarowaniu „po literacku” w Zapolu, więcej znajdziemy w pamiętniku Ignacego Domeyki, dostępnym ostatnio także w przekładzie na język litewski. Dziś dwór w Zapolu już nie istnieje, ale w pobliżu miejsca gdzie stał w 2002 r. ustawiono niewielki pomnik (z błędnym zapisem nazwiska przyjaciela Mickiewicza).

Spis-katalog zespołów archiwalnych ściśle dokumentuje jedynie rejestr zawartości dokumentów w archiwum. Autor nie ponosi odpowiedzialności za nieuctwo lub niestaranność urzędników w XIX wieku, początkowo zwykle samorządu szlacheckiego. Czesław Malewski wiele błędów tychże urzędników sprostował swej pracy. Gdyby chciał wdawać się w poprawianie poszczególnych przypadków potknięć urzędniczych, jego praca musiałaby być powiększoną pięciokrotnie. Zresztą sama szlachta starając się zabezpieczyć majątki przed konfiskatą, lub ich utratą w przypadku braku potomków, wpisywała fakt urodzenia swych dzieci w różnych parafiach (np. Ignacy Domeyko urodził się w Niedźwiadze koło Miru, a jest zapisany także w parafii w Parafianowie, daleko na północ - tam bowiem potomek nowonarodzony zabezpieczał majątność stryja).

Nie mieliśmy dotychczas nic pełniejszego o ile chodzi o spis rodów szlacheckich na Litwie w XIX wieku. Cytowana w *Opracowaniach* praca Tamary Barašauskaitė o samorządzie szlacheckim na Litwie w XIX wieku z 2003 roku, ujmuje nieco inną wiązkę problemową. Zresztą Czesław Malewski uzupełnia ustalenia Autorki o istotne szczegóły. Rzecz zrozumiała, że rozdziały poprzedzające ów *Spis* są bardzo istotne w pracy. Dają tło historyczne Ziemi Lidzkiej od zarania po czasy najnowsze. Czytelnik znajdzie tu dane z prehistorii, walkach z Rusią Kijowską i Moskwą, złożony problem tatarski tych terenów, ale także okrutną politykę rusyfikacyjną po 1795 roku i wymuszoną deklasację szlachty, terror niemiecki i sowiecki i inne nieszczęścia, jakie spadły na tę ziemię. Odnotowano nawet dane o zesłanych do łagrów sowieckich, Niektóre informacje przedstawiono w tabelach, z których część zestawił Autor na podstawie danych archiwalnych.

Wśród zalet tej ważnej książki wymienić należy dobór fotografii. Część z nich to portrety bohaterów dzieła. Są także zdjęcia zabytków, w tym zwłaszcza kościołów. Autor odnotował, że niektóre już nie istnieją. Świątynie stara się odzyskiwać społeczność rzymskokatolicka na Litwie i Białorusi i na ogół doprowadza je do zadawalającego stanu. Wierni na Białorusi są biedni. Nic więc dziwnego, że kapliczka Szukiewiczów w Naczy, i nie ona jedna, niszczeje. Pozostaje mieć nadzieję, że nie wszystko co świadczy o szlachcie na tych ziemiach przed 1939 rokiem zniknie.

Wstęp do książki Czesława Malewskiego napisał prof. dr hab. Czesław Nowiński, specjalista z historii XIX wieku z Uniwersytetu Gdańskiego. Nie ukrywał on zdumienia swego i podziwu dla „benedyktyńskiego trudu” Autora. Podkreślił, że wartość pracy polega na tym, iż będzie ona przydatna przede

wszystkim dla poszukujących korzeni ludzi oderwanych od stron rodzinnych. To jest jedna z kolejnych zalet, tej ważnej książki. Powstaje bowiem wiele sag rodzinnych. Dla licznych rodów litewskich, dziś osiadłych w krajach, zwłaszcza środkowej Europy, zgromadzony materiał jest wręcz bezcenny. Także historycy, jak wskazuje przytoczony wyżej przykład o Ignacym Domeyce, znajdą w tej książce wiele ważnych informacji. Choćby z tego względu jesteśmy wdzięczni Autorowi za owocny trud. Czekamy na książki kolejne.

Zbigniew J. Wójcik

- ***Przez Syberię na Ziemię Gdańską.* Praca zbiorowa pod red. Cecylii Riedl, Gdańsk 2006, s. 328.**

O wydaniu tej książki zdecydował stan potrzeb w dziedzinie dokumentowania polskich losów na syberyjskim zesłaniu w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Potrzebę tę odczuwają historycy badający powikłane drogi naszych rodaków, których zły los rozrzucił po bezkresnych obszarach byłego Związku Radzieckiego. Mamy w zasadzie w miarę dokładny obraz tej problematyki, znane są motywy i polityczne aspekty tego narodowego nieszczęścia, mimo to ukazują się kolejne książki na ten temat. Nie wszystko jednak zostało dokładnie wyjaśnione i opisane, przeto z uznaniem powitać należy inicjatywę Oddziału Związku Sybiraków w Gdańsku, który podjął ambitną próbę wzbogacenia tzw. literatury zesłańczej i opublikował prezentowaną tu książkę. Składa się ona ze wspomnień ponad sześćdziesięciu osób, które zesłane zostały w latach 1940-1952, należących współcześnie do Gdańskiego Oddziału Związku Sybiraków. Ten najobszerniejszy fragment książki poprzedzony jest szkicem zatytułowanym „O literaturze wspomnieniowej”, autorstwa Małgorzaty Książek-Czermińskiej, sięgającym w tradycje polskiej syberystyki.

Teksty wspomnień umieszczone są w kolejności alfabetycznej w obrębie poszczególnych okresów deportacyjnych., tj. od 1940 do 1952 roku. Ktoś może się zdziwić tak wyznaczoną cezurą czasową, generalnie bowiem w powszechnym obiegu funkcjonuje wiedza o czterech masowych deportacjach przypadających na: 10 lutego 1940 roku, 13 kwietnia 1940 roku, na czerwiec 1940 roku i na czerwiec 1941 roku. Tymczasem kolejne wywózki miały miejsce w latach 1944-1945, a potem aż do roku 1952. Te ostatnie dotknęły ludność mieszkającą na ziemiach należących przed 1939 rokiem do Polski, które po zakończeniu wojny znalazły się w granicach Związku Radzieckiego.

Opublikowane relacje to przede wszystkim obraz zesłańczych doświadczeń. Dzięki nim mamy do czynienia ze znacznym poszerzeniem wiedzy o warunkach życia na zesłaniu, a sumujące się nieraz podobne wątki dają pełniejszy obraz życia ludzi w tych ekstremalnych warunkach, ich wyborów moralnych i psychologicznych konfliktów. Są to informacje, którymi żaden badacz nie pogardzi, co więcej niektóre realia sybirackiego życia posiadają ważne znaczenie dla pełniejszych uogólnień.

Książkę poprzedza trzyzdaniowy tekst Prezydenta Gdańska, podkreślający iż książka jest jednym ze znaków pamięci oraz źródłem informacji o lu-

dziach, „którzy z szerokich Kresów Wschodnich, przybyli tragiczną drogą przez syberyjskie zesłania i łagry”, by tu na Ziemi Gdańskiej budować swój nowy dom, skoro ich własny pozostał na Kresach dawnej Rzeczypospolitej. „Słowo wstępne”, autorstwa Stefana Angielskiego i Cecyli Riedl wyjaśnia ideę powstania książki, odsłaniając przed czytelnikiem trud ludzi, którzy uczestniczyli w jej powstaniu. Trud ten wydaje mi się ze wszech miar pożyteczny, warty upowszechnienia wśród innych Oddziałów Związku Sybiraków by włączyły się one do edycji podobnych książek. Byłaby to bardzo cenna wartość w obrazowaniu naszych zesłańczych losów i nie ulega kwestii, że na tym tle zamieszczone relacje są najważniejszą wartością opublikowanego zbioru. Świat w nich przedstawiony odznacza się autentycznością życia, ludzkich trosk i kłopotów i zadbać należało by uchronić go od niepamięci.

Redagująca tom C. Riedl zadbała też o to by opatrzyć go zwięzłym wprowadzeniem w wieloletnie kontaktów polsko-syberyjskich. Poświęcony jest temu szkic pt. „Zesłania na Syberię w polskiej tradycji historycznej” autorstwa profesora Franciszka Nowińskiego z Uniwersytetu Gdańskiego. Jego autorowi udało się sprostać wymogom naukowej rzetelności i w zwięzłej formie przedstawić ten problem. Zgadzam się z przedstawioną w nim faktografią, i to co jest ważne, autor szkicu ustosunkował się do szacunków dotyczących ilości deportowanych obywateli polskich na Syberię w okresie drugiej wojny światowej, a więc kwestii, która do dzisiaj budzi wiele zastrzeżeń ze strony Związku Sybiraków, kwestionującego wyliczenia, które podaje Ośrodek „Karta” i Aleksander Gurianow (w książce zniekształcone nazwisko „Guriew!”) z rosyjskiego „Memoriału” oraz krajowi historycy – A. Głowacki, S. Ciesielski, W. Materski i A. Paczkowski, pisząc w konkluzji: „Ogólna liczba Polaków represjonowanych w latach 1939-1941 szacowana jest na około 1 milion 700 tysięcy, w tym około 1 milion 200 tysięcy było narodowości polskiej. We wspomnianych wyżej deportacjach wywieziono łącznie około 900 tysięcy. Według źródeł rosyjskich – 330 tysięcy.” Podając te dane autor słusznie czyni uwagę, iż „Liczba osób deportowanych i wywiezionych nadal budzi spory i trudno ją ostatecznie zweryfikować”!

Powróćmy jednak do zasadniczej części książki czyli do zesłańczych wspomnień. Są to 62 teksty i trudno w kilku zdaniach ustosunkować się do nich. Przedstawiony w nich świat zatłoczony jest wielością faktów i ktoś kto szukać będzie w nich materiałów do życia codziennego na zesłaniu, o deportacjach i powrotach z niewoli otrzyma odpowiedź satysfakcjonującą. Dlatego ich treść wiedzie do ubogacenia naszej wiedzy o pobycie w „domu niewoli”. Można zatem bez przesady powiedzieć, że jest to zbiór wspomnień nawiązujący do tych, które kiedyś ukazywały się w serii „Wspomnienia Sybiraków” wydawanej przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków, pod red. Janusza Przewłockiego. Docenić trzeba trud autorów relacji, a także redaktorki tomu, która z mozołem dążyła do urealnienia jego edycji. Zgromadzone w nim wspomnienia mają różną wartość poznawczą i formę pisarską, przy czym należy dodać, że otrzymaliśmy ciekawy zbiór i zbudowaną z konkretów panoramę przeróżnych zesłańczych doświadczeń.

Interesującym dopełnieniem książki są teksty przedstawiające dbałość władz samorządowych Gdańska o sprawy współczesnej repatriacji Polaków ze Wschodu, historię Gdańskiego Oddziału Związku Sybiraków, spis jego Członków oraz kalendarium zesłań. Przypomniano także w aneksie twórczość barda sybiraków Mariana Jonkajtysa, wiersz M. Hemara „Katyń” oraz dwa teksty Sta-

nislawy Wiatr-Partyki. Książka jest ważnym dokumentem i każdy czytelnik dostrzeże w niej walory poznawcze, dobrze więc się stało, że dopełnia ona wiedzę o poniewolnych polskich drogach po Syberii, Kazachstanie i Dalekim Wschodzie. Jeśli ostatecznie z domniemań okaże się trafne, to książkę *Przez Sybir na Ziemię Gdańską* można będzie traktować jako zachętę do tego by podobnie postąpiły inne Oddziały Związku Sybiraków.

Bronisław Przesmycki

- **„Echa Polesia”. Biuletyn oddziału brzeskiego Zjednoczenia Społecznego „Związek Polaków na Białorusi”, red. naczelna: Alina Jaroszewicz.**

To już cztery lata upłynęły od ukazania się pierwszego numeru (1:2004) kwartalnika „Echa Polesia”, no i wszystko toczy się normalnie. Oto bowiem ukazał się jego kolejny numer (18: 2008), a pesymiści wróżyli pismu rychły koniec gdy weszła ona na rynek wydawniczy. Podziw i szacunek dla wydawców należy przekazać, bo przecież nie obywa się to bez trudności, które dzielnie pokonują. Zanim jednak przejdę do meritum chciałbym napisać o tym jakie wrażenie wywołuje u mnie ten periodyk. Krótka więc bez zwłoki informuję, że sympatyczne, ba nawet należę do jego entuzjastów i popularyzatorów, bo bywa iż kolejne zeszyty przekazuję znajomym, którzy oddając mi je (a pilnuję tego skrętnie by wracały do mnie) zawsze potwierdzają, że pozostają pod urokiem ich lektury. Pismo pozwala im powracać do uroków Polesia i jego przebogatej historii, a u mnie zawsze budzi się wspomnienie o tym, jak to gdy byłem malcem, moja babunia grała na skrzypcach „Polesia czar”. Wówczas cisza zalegała w całym domu, który zdawało się śpiewa tę pieśń. Oj tak „Polesia czar to dzikie knieje, moczary”! Do dzisiaj słyszę te granie, a najbardziej chyba frazę, „Polesia czar smętny to wichrów jęk”, rzecz można rzewne łkanie strun przekazujących ów „wichrów jęk”!

Pozostawmy jednak osobiste wspomnienia i przejdźmy do podróży po świecie tekstów drukowanych na łamach „Echa Polesia”. Składają się one z różnorodnych opisów dotyczących tradycji tej krainy, jej kultury, ludzi, wydarzeń, dla jednych przypominających te sprawy, dla innych zaś i sądzę, że jest ich więcej – pozwalających wzbogacić zasób wiedzy o Polesiu, wprowadzić ją w obieg by trwała i pełniej rezonowała we wspomnieniach o dawnych polskich Kresach Wschodnich.

Przez wiele lat tzw. PRL-u presje polityczne nie pozwalały na przywracanie pamięci tych Kresów i ich mitu w narodowej kulturze, tak więc i Polesie było zapomniane, a jeśli tu i ówdzie wspomniano o nim, to zawsze w kontekście osiągnięć władzy radzieckiej w „osuszeniu odwiecznych bagien Polesia” i zamienienia ich w urodzajne pola. Dzisiaj wiemy, że była to ekologiczna degradacja tej krainy, która cierpi z tego powodu i zapewne nigdy nie powróci do swej dawnej biologicznej równowagi, pejzażowej krasy, do tych moczarów pełnych ptaków oraz bogatego świata flory i fauny. Tak, dzisiaj takiego Polesia już nie ma, i jedynie za sprawę tekstów publikowanych na łamach poświęconego mu kwartalnika powraca w naszej pamięci ten „Polesia czar”! Zapewne w na-

zwie tytułu i w koncepcji utworzenia pisma zawierał się ten pierwiastek pamięci orientujący jego ideę na taką problematykę.

Im skwapliwiej czytam poszczególne zeszyty tego pisma nabieram przekonania, że „tradycja i współczesność Polesia” narzucają Pani Alinie Jaroszewicz, redaktor naczelnej kwartalnika taką płaszczyznę publikacji i orientowania jej na takie wybory tematów. To właśnie określa jego rolę społeczno-kulturalną w epoce zmienności kontekstów politycznych dzisiejszej Republiki Białoruskiej. Pismo stroni od tych kontekstów i poszukuje tematów ponadaktualnych politycznie, kreuje je na inną formę odradzania polskości na tych ziemiach wiodąca poprzez ukazywanie polskich tradycji i ich współczesnego trwania w tej przeoranej przez wieloletnią indoktrynację sowiecką glebie. Pismo ukazuje dla czytelników perspektywę historyczną Polesia sięgającą lat dawnych a także jego dzisiejszą polskość. Niech więc trwa i chrońmy je od chmur i niepokoju.

Zgadzam się zatem w zupełności ze słowami skierowanymi do Czytelników w drugim (2:2004) numerze „Echa Polesia”, że kwartalnik wymaga „tak wiele troski, opieki i wysiłków, aby mógł się rozwijać dając świadectwo trwania tradycji, tożsamości....[...] Wielkie bogactwo przeszłości ciąży na nas, choćby odpowiedzialnością za właściwy przekaz potomnym szlachetnych czynów takich postaci, jak np.: Kościuszko, Traugutt, Niemcewicz, Naruszewicz, Moniuszko, Mickiewicz, Ogiński, Orda, Karpiński, Kraszewski, Syrokomla św. Andrzej Bobola, Butrymowicz, Orzeszkowa, Rodziewiczówna, Kraheńska, Rejtan oraz wielu innych. A cóż dopiero powiedzieć o współczesnych bohaterach, którzy cierpieli lub oddali swe życie w łagrach lub w nieznanym miejscu. Naszym przeto zadaniem jest przywracanie pamięci i ich dokonań, abyśmy mogli żyć w normalności.”

Truizmem byłoby pisanie, że to jest ważne. Widzimy jednak, że pismo jest wiarygodnym dowodem realizującym te zamierzenia sformułowane u początku drogi i to wszystko stanowi właśnie jego duchową istotę. Tego nie sposób pominąć charakteryzując pismo, które odpowiada wszelkim kanonom solidnej roboty redakcyjnej. Artykuły publikowane w kwartalniku czyta się z wielkim zainteresowaniem i zawsze ulega się ich urokowi i patriotycznej wymowie, co zapewnia pismu sukces czytelniczy. Można też powiedzieć, że kwartalnik „Echa Polesia” stał się lekturą szerokich kręgów czytelniczych. Ich lektura daje wielowątkowy obraz tej ziemi na przestrzeni dziejów o dużej wartości poznawczej

Dodajmy tu jeszcze, że pismo dociera do wszystkich środowisk polskich na Białorusi, do szkół, parafii, większych bibliotek, do organizacji pozarządowych, a dzięki Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza z Lublina jest kolportowane do 19 krajów świata, do polskich bibliotek, instytucji, organizacji kresowych, wszędzie tam gdzie biją serca Kresowiaków: na Antypodach, w Afryce, na Białorusi, w Federacji Rosyjskiej czy w Polsce - czytamy w odezwie redakcji do Przyjaciół tego ze wszech miar interesującego kwartalnika. Są więc „Echa Polesia” periodykiem o dużej wartości poznawczej i zapewne wielu Czytelników „Zesłańca” znających „Polesia czar” ze swych lat dziecińczych i rodzinnej tradycji sięgnie po lekturę tego kwartalnika oraz przyjmie przyjaźnie prośbę o finansowe wsparcie, na które on z całą pewnością zasługuje.

Polesie

Tango 1939 rok

Słowa i muzyka: Jerzy Artur Kostecki¹

Pośród łąk, lasów i wód toni,
w ciągłej, pustej życia pogoni
żyje posepny lud.
Brzęczą much roje nad bagnami,
skrzypi jadący wóz czasami
poprzez grząską rzekę w bród.
Czasem ozwie się gdzieś łosia ryk
albo w gąszczu dziki głuszca krzyk
i znów cisza tak niewzruszona,
dusza śni pustką rozmarzona piękny o Polesiu sen...

Polesia czar to dzikie knieje, moczary,
Polesia czar smętny to wichrów jęk.
Gdy w mroczną noc z bagien wstają opary,
serce me drży, dziwny ogarnia lęk
i słyszę, jak w głębi wód jakaś skarga się miota,
serca prostota wierzy w Polesia cud.

Tam, gdzie sędziwe szumią lasy,
kiedyś ujrzałem pełen krasy
cudny Polesia kwiat.
Słońko jaśniejszym mi się zdało,
wszystko w krąg nas się radowało,
śmiał się do nas cały świat.
Próżno mi o tobie, dziewczę, śnić,
próżno w żalu i tęsknocie żyć.
Nie wrócą chwile szczęścia niewysłowione,
drzemią wspomnienia pogrążone
w mrokach poleskich kniej.

Polesia czar...

¹ Po wkroczeniu wojsk sowieckich na Polesie w roku 1939 autor tej pieśni popełnił samobójstwo.

Informacja o kwartalniku „Echa Polesia”

Od 1 stycznia 2004 roku wydawany jest przez Zjednoczenie Społeczne Związek Polaków na Białorusi O/Brześć kwartalnik „Echa Polesia”. Redakcja mieści się w Brześciu (224023, ul. Moskiewska 344/56, e-mail: klub_polski@wp.pl, tel. 00375-162/424572, natomiast adres korespondencyjny to: Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, 20-611 Lublin, ul. Kazimierza Wielkiego 9/60, tel. (81) 747-6163 lub 525-7160. Redaktorem naczelnym jest Alina Jaroszewicz, która równocześnie pełni funkcję prezesa ZPB O/Brześć.

Kwartalnik wydawany jest – ze zrozumiałych względów – w Lublinie, przy częściowym dofinansowaniu Senatu RP, udziale społecznym korespondentów, drobnych ofiarach darczyńców oraz opłatach za prenumeratę w Polsce i pośród Polonii, natomiast na Białorusi i w innych krajach na Wschodzie kolportowany jest bezpłatnie. Koszt rocznej prenumeraty w Polsce wynosi 40 zł, które należy wpłacić na konto:

Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie
PKO O/Lublin nr 96 1240 5497 1111 0000 5005 2437

Na czeku należy zaznaczyć „na fundusz wydawniczy „EP”, bowiem w ramach Fundacji wydawane i realizowane są także inne tytuły oraz szesroka pomoc świadczona dla dzieci polskich na Polesiu.

Kwartalnik wydawany jest starannie na wysokim poziomie edytorskim w formacie A4, w objętości najczęściej 80 stron, nakładzie 2000 egzemplarzy, coraz częściej w kolorach, na dobrym papierze, w języku polskim (75%) i białoruskim (25%). Do tej pory zostało wydane już 18 numerów kwartalnika. Z licznej korespondencji, jaką otrzymuje Redakcja, wynika znaczne zainteresowanie i szybkie popularyzowanie czasopisma pośród obecnych i byłych mieszkańców Polesia.

Wysokie oceny pisma wskazują na takie jego walory, jak: oryginalność opracowań opartych na materiałach źródłowych, historii, promowanie tematyki polskiej kultury na Polesiu, religii, tradycji, obyczaju, folkloru, martyrologii aż kończąc na aktualnościach z życia Polaków zamieszkałych w tym unikalnym i ekologicznym regionie przyrody świata. Z naturalnych powodów kwartalnik unika tematyki społeczno-politycznej, natomiast akcentuje tematykę oczekiwaną przez czytelników, to jest patriotyzm, wartości kultury chrześcijańskiej, polski ethos oraz idee, którym winniśmy służyć. W korespondencji czytelnicy w pełni akceptują taki właśnie program ideowy kwartalnika.

Łańcuch ludzi dobrej woli, który skupiają „Echa Polesia”, stale rośnie, podobnie jak ilość prenumeratorów w Polsce i w Polonii. Natomiast na Białorusi współpracę z czasopismem deklarują coraz nowi autorzy z kręgów uczelnianych, organizacji społecznych, nauczycieli, duchownych, czy studentów. W ten sposób „Echa Polesia” integrują środowisko nie tylko polskie na Polesiu, lecz

białoruskie, a nawet innych grup narodowościowych we wspólnym działaniu na rzecz dobra wspólnego. (red.)

- **Barbara Zięba, *Listy z Syberii*, Lublin 2008, s. 325.**

Wydawnictwo Archidiecezji Lubelskiej GAUDIUM opublikowało zbiór listów świeckiej misjonarki od 2000 roku pracującej na Syberii. Należy podkreślić niezwykle szybkie przygotowanie tej książki, o której wydanie zwróciła się p. Izabella Bronikowska w imieniu Przyjaciół Kościoła na Syberii, do abpa. Józefa Życińskiego na początku tego roku. Książkę opatrzył On słowem wstępnym już z datą 25 stycznia, a *Imprimatur* Wikariusz Generalny postawił 29 stycznia 2008 r.

Listy z Syberii Barbary Zięby były już czterokrotnie przedstawiane na łamach „Zesłańca”². Posłużę się więc tylko słowami Metropolity Lubelskiego użytymi we wstępie do omawianej książki, nakreślające sytuację w jakiej działa grupa osób, do której należy Barbara: „Kiedy w pamiętną Jesień Ludów 1989 r. chylił się ku upadkowi system komunistyczny, wiele środowisk entuzjastycznie deklarowało swą gotowość podjęcia nowych wyzwań, które umożliwiłyby leczyć bolesne rany przeszłości. Wraz z upływem czasu entuzjazm słabł; tylko echo pozostało z niektórych deklaracji. Pozostało jednak również ściśle grono rozumiejących to, że duchowa pustynia tworzona konsekwentnie od 1917 r. stanowi rozległy teren, który nie może stać się nam obojętny. Znalazło się wtedy środowisko Bożych radykałów, którzy bez patetycznych deklaracji potrafili wyrazić duchową solidarność z przyjaciółmi na Wschodzie. Nie wystraszyły ich ani pionierskie warunki życia, ani przemiany społeczne niosące poczucie niepewności. W kręgu Bożych szaleńców zdecydowanych na ewangelizację terenów, w których imię Boga miało być wspominane jedynie w muzeach ateizmu, znaleźli się kapłani i siostry zakonne, członkowie drogi noekatechumenalnej i wierni świeccy otwarci na duchowe problemy braci ze Wschodu. Znaleźli się także przyjaciele w kraju, którzy nie zapomnieli o potrzebach ani nie ograniczyli się do patetycznych ogólników. Pisali listy, organizowali konkretną pomoc, dawali wyraz, iż są dumni, że ktoś z ich grona zdobył się na odwagę głoszenia Chrystusa w egzotycznych warunkach Syberii.”

Grupa osób z Puław należących do grona Przyjaciół Kościoła na Syberii, podjęła działanie zmierzające do poznania i rozpowszechniania wiedzy o współczesnym Kościele za Uralem, o jego historii, o św. Rafale Kalinowskim. Utworzono „Bank Pomysłów”: wakacje dla Sybiraków, artykuły w prasie, kontakty z radiem i telewizją, konkretny projekt finansowy, przygotowanie materiałów, druków, tłumaczeń, wykorzystanie znajomości.

Od miesiąca marca 2000 roku rozpoczynają się listy z Irkucka od Barbary Zięby, młodej świeckiej misjonarki pochodzącej z Puław. Pisze list „ogólny”, jak go nazywa – do rodziny, bliskich, znajomych, a w nich relacje z podróży. „W listach p. Zięby – wracam do słów abpa Życińskiego – spośród bogactwa wątków kultury w sposób szczególny zostaje ukazany jeden – ludzkie poszukiwanie Boga i przeżywanie wielkiej przygody wiary na syberyjskiej ziemi niespodzianek. Równocześnie zaś utrwalone w listach świadectwa wiary i nadziei

² Nr 23/2005, s.141-142; nr 25/2006, s. 145-149; nr 26/2006, s. 143-144; nr 31/2007, s. 103-117.

idą w parze z wielką wrażliwością na piękno. Jego ślady odnajdujemy, pochylając się nad strukturą kryształów syberyjskiego śniegu, ciesząc się pięknem żółknących jesiennych traw czy słuchając Chopina w rejonie, gdzie wizyta u przyjaciół wymaga przebycia sześciuset kilometrów przestrzeni. Tę przedziwną więź różnorodnych wartości łączy apostołski zapal i poetycka wrażliwość. Dlatego też wyrażam nadzieję, że *Listy z Syberii* trafią do szerokiego grona odbiorców, kształtując ich wrażliwość, odpowiedzialność, solidarność zarówno z bliskimi, jak i z odległymi.”

Autorka listów musiała odbyć w Polsce roczny kurs, aby udać się do Irkucka z misją pomocy osobom uzależnionym i ich rodzinom. Problem narkomanii jest na Syberii olbrzymi, nie do opisanania i nie do zrozumienia – pisze Barbara. Natomiast problem alkoholizmu jest zupełnie apokalipsą, której tu nie uważa się już w ogóle za problem, tylko za rzeczywistość. Po prostu wszyscy piją! Mimo tego, dziwnym trafem autorce listów udało się odszukać wysepki normalności, na których znalazła punkt zaczepienia dla swej trudnej misji. Istniała w Irkucku grupa (jedyna) Anonimowych Alkoholików. W oparciu o parafię została zorganizowana druga grupa i rozpoczęła się mozolna praca na tym zdawałoby się „odłogu”.

Na spotkania przychodzą osoby zarówno z parafii, jak też zupełnie spoza Kościoła. Jest to wielka tajemnica walki Boga i szatana w człowieku! Świadcstwo ludzi podejmujących te zmagania mówią o tym najwyraźniej. Oni jasno i namacalnie doświadczają, że Bóg jest. A przecież wielu z nich nie jest nawet ochrzczonych i nie wiadomo czy kiedykolwiek się na to zdecydują. Jednak oni wiedzą już dokładnie, że jest to COŚ, że jest ten KTOŚ – KOGO byli przez dziesięciolecia pozbawieni. Kogo nie znają z Imienia, bo wykreślono Go z ich życia, o Kim nie wiedza, Jakim On jest: czy się Go bać – czy Mu zaufać, czy zwracać bezpośrednio – czy trzeba się zasłaniać obrzędami, rytuałami, przesądami. Kto potrafi im to powiedzieć i przekazać? Ja chyba nie – kończy wątpliwościami świecka misjonarka.

Książka zawiera 58 listów pisanych od marca 2000 roku do 31 grudnia 2007 roku. Każdy może być ich adresatem. **Wydawnictwo GAUDIUM, ul. Ogrodowa 12; 20-075 Lublin. E-mail: wydawnictwo@gaudium.pl; www.gaudium.pl**

Adam Wolk



Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Przyznajemy, że sił tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy od autorów z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie z języka rosyjskiego ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Stowarzyszenie Sybiraków Polskich w Wiktorii (Australia), otrzymaliśmy też niewielkie kwoty od różnych osób, dzielących się z nami przysłowiowym „wdowim groszem”.

Drodzy Czytelnicy!

Redagowanie pisma to wiele czynności edytorskich oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (\pm 1 egz. na 200 członków!). Niestety, Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież sprzedanie nakładu pokryłoby część kosztów wydawniczych. Rozpoczął się nowy rok 2008, prosimy zatem Oddziały by uporządkowały swoje zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze!

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii dawnej oraz najnowszej aż po współczesność, bo ciągle przecież mamy i będziemy mieć związki z Syberią. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władystok i Czukotkę to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się w większej objętości. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomnienia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na niżej podane konto z jednoczesnym powiadomieniem redakcji o dokonanej wpłacie chcemy bowiem sukcesywnie drukować listę naszych darczyńców:

Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej

LISTY DO REDAKCJI

- List 1

Redakcja „Zesłańca”

Uprzejmie informujemy, iż Oddział nasz na każdy Wasz apel o wsparcie finansowe „Zesłańca” przekazywał w miarę naszych możliwości pewne kwoty pieniężne. Tym razem przelaliśmy 300 złotych na konto Zarządu Głównego z odpowiednią adnotacją.

Chętnie czytamy treści zawarte w „Zesłańcu”, ale prosimy przekazywanie nam wiadomości o polskich zesłańcach z poprzednich wieków. Wiemy, że oni w każdej dziedzinie przysłużyli się do rozwoju tej syberyjskiej krainy. Wiadomości takie pomogą nam w przekazywaniu młodzieży szkolnej wiedzy na ten temat, z którą mamy możliwość spotykania się.

Kończąc życzę dalszej owocnej pracy i bez problemów finansowych.

Z wyrazami szacunku.

*Prezes Zarządu Oddziału
Związku Sybiraków w Zielonej Górze
Łucja C z y r s k a*

Redakcja „Zesłańca” serdecznie dziękuje Oddziałowi Związku Sybiraków w Zielonej Górze za finansowe wspomaganie kwartalnika i popularyzowanie wiedzy o związkach polsko-syberyjskich. Na jego stronach ukazują się teksty wspomnieniowe dotyczące pobytu na zesłaniu w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, ale publikujemy także artykuły omawiające wkład Polaków w badania naukowe na Syberii, w jej cywilizację i zagospodarowanie. Coraz częściej otrzymujemy listy z informacjami, że artykuły poświęcone Polakom w nauce i gospodarce Syberii w XIX i na początku XX wieku budzą szerokie zainteresowanie naszych Czytelników.

Potrzebę popularyzacji tej problematyki zawiera także list Pani Łucji Czyskiej z Oddziału naszego Związku w Zielonej Górze, który podkreśla trafność założeń programowych „Zesłańca”. Tak chcemy czynić dalej i dziękujemy naszym indywidualnym donatorom za finansowe wspieranie kwartalnika „Zesłaniec”.

Oddziały Związku Sybiraków oraz indywidualne osoby wpłacające na fundusz wydawniczy „Zesłańca” proszone są o powiadamianie redakcji o dokonanych wpłatach, chcemy bowiem na łamach pisma drukować listę naszych darczyńców.

Recenzenci pisma wskazują, że jego tematyka potrafiła wzbogacić wiedzę o Polakach na Syberii ukazując całą różnorodność problemów epoki zaborów. Można też mieć nadzieję, że doczekamy się chwili, kiedy „Zesłaniec” stanie się wzorem dla innych

periodyków naukowych i społeczno-politycznych, które nie będą stroniły od tematyki związków polsko-syberyjskich.

• **List 2**

Oto kolejny list z dnia 23 stycznia br. adresowany do redaktora „Zesłańca”. Prosimy Czytelników o pomoc dla Pani Nieoniła Gartman-Jagiello z Górno-Altajaska. Stosowną informację proszę kierować do redakcji „Zesłańca” która prześle ją do naszej Rodaczki mieszkającej w Altajskim Kraju. Mamy nadzieję, że prośba ta spotka się z zainteresowaniem osób czytających ten list, publikowany z zachowaniem jego oryginalnej pisowni.(red.).



Dzień Dobry!

Jestem Nieoniła Gartman, w panieństwie Jagiello. Dowiedziałam się, że Pan mieszka we Wrocławiu, a to jest rodzone miasto moich przodków. Wiem z historii, że nasze nazwisko jest znajome i poważane w Polsce i na Litwie i mówi ono o starożytnych polsko-litewskich korzeniach. Mam wielkie zainteresowanie tą sprawą. Bardzo chciałabym przeczytać książkę o dynastii królowej Jagiello z 14 do 16 wieków i dalej. Ale zwracam się do Pana z wielką prośbą o czasach bliższych. Może Pan [...] pomoże mi znaleźć krewnych we Wrocławiu, albo innych miejscach Polski? Co ja wiem o naszej rodzinie? Ojciec mego dziadka miał na imię Feliks Jagiello i mieszkał we Wrocławiu i był w przybliżeniu 1850 roku urodzenia. Jego syn Waclaw (+ – 1877) był mechanikiem i przed pierwszą wojną światową (+ – 1912-1913 rok) wyjechał do Miasta Baku (Kaukaz) Miał syna Adolfa. W Baku on został wdowcem, a potem spotkał tam Marię Magdalenę Cebulską. Ona też ze swoimi krewnymi przyjechała do Baku. Waclaw i Maria zostali rodzicami mojego ojca Edwarda i stryja Wiktora, którzy urodzili się 10 września 1922 roku.

W 1949 roku, kiedy ja miałam 4 lata, a mój mały brat Feliks tylko 5 miesięcy, nasza rodzina wyjechała na Litwę, gdzie mieszkali krewni babci Cebulskie, Lubowicze, Soroki, Frani i inni. Dziadka Waclawa z nami już nie było, on zmarł w roku 1944 na Kaukazie. Wyrosłam na Litwie, niedaleko od Wilna (miasteczko Ejszyszki i Soleczniki), po szkole uczyłam się w Uniwersytecie Wileńskim (fizyka, matematyka). Moimi rodzonymi językami jest rosyjski, polski i litewski. Języka polskiego nie uczyłam się, ale rozmawiam, czytam i przepraszam Pana za możliwe pomyłki. Ze strony mojej mamusi Emilii też mam polskie korzenie – jej babcię Agatę skradł rosyjski Kozak w roku 1903 w Wojnie Krymskiej. Z nią była mała polska córeczka, która potem stała moją babcią.

W roku 1967 wyszłam za mąż. Mój mąż jest Niemcem z Wołgi, który był zesłany z matką w roku 1941 na Altaj. O to taka „Międzynarodówka” jest w mojej rodzinie. Już 40 lat mieszkamy w niewielkim mieście Górno-Altajsk. Mamy cztery córki, są wnuki. A serce tęskni za Litwą i Polską, skąd poszli moje dziady, gdzie wyrosłam [...]. Tym latem, czerwca 29 [2007], zmarł mój tatuś Edward Jagiello, jest on pochowany w sibirskiej ziemi. Daleko od Ojczyzny.

Jesteśmy bardzo zadowoleni, że mamy tu Polskie Narodowo-Kulturalne Zjednoczenie „Zdrój, a ja jestem wiceprezesem tej organizacji. Prosimy o pomoc w badaniach dotyczących losów Polaków, którzy pozostali daleko od Ojczyzny.

*Życzę zdrowia, powodzenia, z uszanowaniem
Nieonila Gartman-Jagiello*